cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #228 11/2025

Piotr Lisiewicz
O BOHATERSTWIE POLSKICH KSIĘŻY, ZNIENAWIDZONYCH PRZEZ NIEMCÓW

Dawid Wildstein
LEWICOWE ZOO, CZYLI O TYM, JAK POSTĘPOWI IDEOLODZY KOCHAJĄ NATURĘ

Antoni Rybczyński
LEKCJA ESTOŃSKIEGO. TAK SIĘ ŁAPIE ROSYJSKICH SZPIEGÓW

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



Niemcy–Rosja ten pakt niszczy Europę

ZAWSZE RAZEM

ISSN 1895-4960

OKŁADKA MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl 8a2e544ff3

TEMAT NUMERU ▼ 4–15



Wypchnąć USA: wojskowy trójkąt Putina, Merkel i Tuska / 4

IDEE ▼ 16–33



Lewicowe ZOO, czyli o tym, jak postępowi ideolodzy kochają naturę / 16

HISTORIA ▼ 40–62



O bohaterstwie polskich księży, znienawidzonych przez Niemców / 40

KULTURA ▼ 64–72



Krew i piach / 64

ŚWIAT ▼ 78–98



Korea Północna – wyzwanie dla pokoju / 78

Spis treści

TEMAT NUMERU

Grzegorz Wierzchołowski
Wypchnąć USA: wojskowy trójkąt Putina, Merkel i Tuska / 4

Piotr Grochmalski
Niemcy–Rosja. Układ o agresji / 10

IDEE

Dawid Wildstein
Lewicowe ZOO, czyli o tym, jak postępowi ideolodzy kochają naturę / 16

Jakub Maciejewski
Panslawizm – od naiwności do zawłaszczenia / 20

Małgorzata Matuszak
Dzień ciszy, który mówi o życiu / 25

Ewa Polak-Pałkiewicz
Przyczyny zapaści demograficznej, czyli czego socjolog ci nie powie / 28

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
„Proszę pozdrowić Polskę". O bohaterstwie polskich księży, znienawidzonych przez Niemców / 40

Agnieszka Kowalczyk
Święty Jan Paweł II. Człowiek z rodu gór / 46

Dariusz Jarosiński
Spadkobiercy Woltera / 52

Henryk Sienkiewicz
Hołd pruski. Obraz Jana Matejki / 58

Tomasz Łysiak
Plotka o „Weselu" / 60

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Krew i piach / 64

Krzysztof Karnkowski
Chopin na dużym ekranie. Hit czy kit? / 70

ŚWIAT

Hanna Shen
Korea Północna – wyzwanie dla pokoju / 78

oprac. Antoni Rybczyński
Wojna w cieniu. Hybrydowe działania Rosji / 82

Stefan Czerniecki
Polowanie na anakondę / 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 92

Antoni Rybczyński
Lekcja estońskiego. Tak się łapie rosyjskich szpiegów / 94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Od Lizbony po Władywostok ciągle w grze
NA POCZĄTEK 3



Marcin Wolski
Przejdziem Odrę, przejdziem Świnę, będziem Europejczykami
PAPKULTURA 9



Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Misja niedokończona
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 34



Małgorzata Matuszak
Czym jest... gra
KATECHIZM INTELIGENTA 63



Marek Kalinowski
Słoneczne bolera w deszczowej Warszawie
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 73



Krzysztof Wołodźko
Żeromski i patriotyzm krajobrazu. Debata, której nie ma
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 74



Tomasz Sakiewicz
Dekapitalizacja systemu
OSTATNIE SŁOWO 99

„NOWE PAŃSTWO"
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 8a2e544ff3



Katarzyna Gójska

Od Lizbony po Władywostok ciągle w grze

Od dwóch dekad mamy do czynienia z pełzającą wojną, w której celem Rosji jest odtworzenie – w nowej wersji – strefy wpływów z czasów Związku Sowieckiego.

Od początku 2022 roku ta operacja ma charakter wielkoskalowej agresji, w której na setkach kilometrów ścierają się ciężki sprzęt, tysiące żołnierzy, a miejscami toczona jest wielomiesięczna pozycyjna walka. Ale wojna na Ukrainie nie jest wyizolowanym konfliktem dwóch państw, lecz etapem moskiewskiej polityki agresji. Gruzja, Donbas, Krym, a w trakcie jeszcze podporządkowanie Białorusi i uczynienie z niej bazy wypadowej dla rosyjskiej armii i służb specjalnych – Kreml, step by step, realizuje swój niezwykle niebezpieczny plan. W dramatycznych okolicznościach i osamotnieniu ostrzegał przed nim Europę śp. prezydent Lech Kaczyński. Celem Putina nie jest Ukraina, celem Putina jest władza nad terytorium, które Moskwa kontrolowała – z niewielkimi przerwami – przez ponad dwa ostatnie wieki. Ten ludobójca odwołuje się dziś, rzecz jasna, do „dziedzictwa" z czasów komunistycznych, ale przecież ta polityka ma znacznie dłuższą tradycję i jest faktycznie stałym elementem moskiewskiej państwowości. W „Listach starego diabła do młodego" S.C. Lewis pokazuje, że aktywność zła skupiona jest przede wszystkim wokół przekonania wszystkich dookoła, iż ono tak naprawdę nie istnieje. Kontynuator „imperium zła" działa wedle tej właśnie metody. I trzeba przyznać, iż całkiem skutecznie. Niespełna trzy lata po wielkiej napaści na Ukrainę jesteśmy intensywnie przekonywani, że ta wojna nas nie dotyczy. Bo jest efektem niesnasek między dwoma krajami, bo Ukraina to prawie Rosja, a poza tym Moskwa, jako ostoja rozsądku, nie walczy na kilka frontów i zawsze wybiera realny cel. Prawda jest niezmienna od agresji na Gruzję – Kreml realizuje konsekwentnie politykę imperialną wymierzoną przede wszystkim w nasz region. Ukraina, po podporządkowaniu Białorusi, jest niezwykle ważnym etapem tego przedsięwzięcia, ale nie etapem ostatnim. Jeśli zaczniemy, jako państwo i społeczeństwo, patrzeć na niego jako na wyizolowaną sprzeczkę dwóch podobnych narodów, to pewnego nieodległego dnia będziemy zaskoczeni skalą rosyjskiego ataku na nas i kraje bałtyckie. Rozumiem wszystkie aspekty psychologiczne i emocjonalne w relacjach z Ukraińcami i ich rządem. Ale apeluję o rozsądek i nerwy ze stali – nie możemy być zakładnikami uczuć w relacjach z Kijowem, bo staniemy się łatwym łupem propagandy Putina. Wojna na Ukrainie dotyczy terytorium Ukrainy, ale jest etapem do agresji wobec nas. Dlatego dziś najważniejsze jest zabezpieczenie Polski. Choćby przed tysiącami dronów, które „zielone ludziki" wystrzelą w naszym kierunku. Bez doświadczeń ukraińskich, bez ich niezwykle cennej wiedzy wywiadowczej będzie to znacznie trudniejsze. Oczywiście współpraca z Kijowem nie powinna oznaczać rezygnacji z moralnego zobowiązania upamiętnienia Polaków, ofiar ukraińskich ludobójców, przed którym stoimy. Jednak budowanie wokół tego publicznie roztrząsanego szantażu tak naprawdę osłabia naszą skuteczność, bo sprowadzając nasze relacje do emocji, niczego nie osiągniemy, ale za to otworzymy rosyjskiej propagandzie drogę do bałamucenia Polaków, że są bezpieczni, bo napaść na Ukrainę ich nie dotyczy.

Ale trzeba pamiętać, że wojna Putina – ta wojna pełzająca – przez wiele lat toczyła się w atmosferze akceptacji naszych zachodnich sąsiadów. Berlin – bez względu na rządzącą opcję polityczną – budował gospodarcze środowisko tej agresji. Wspieranie militarne, szeroko zakrojone wsparcie technologiczne oraz sieć Nord Stream były paliwem, które rozgrzewało moskiewską machinę zbrodni. I nie można nie wyciągać wniosku z tego oczywistego faktu. Niemcy się nie pomyliły – Niemcy weszły w to z pełną świadomością konsekwencji i dziś ich polityka jest skupiona na markowaniu krytyki wobec Kremla, a nie na jakiejś formie oprzytomnienia i rachunku sumienia. Ani w Berlinie, ani w Moskwie idea strategicznego sojuszu zakładającego budowę Europy od Lizbony po Władywostok nie umarła – ze względów PR-owskich została jedynie wyciszona. Ale inny jej element – który akurat takich trudności propagandowych nie napotyka – jest ciągle w grze: chodzi oczywiście o wypchnięcie Stanów Zjednoczonych ze Starego Kontynentu.

Zagrożenie dla naszej państwowości nie skończyło się wraz z atakiem na Ukrainę. Mamy przed sobą czas, pewnie nie za długi, w którym musimy się skupić na maksymalnym zabezpieczeniu Polski. Szybkie zbrojenie i obecność amerykańska są kluczowe dla przyszłości RP. Ale bezcenne są też doświadczenie i wiedza, które z wojny wynieśli Ukraińcy. Zatem w relacjach z nimi musimy być skuteczni i racjonalni, a nie rozrywani emocjami. Antyukraińskością Polski nie obronimy. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3



Na krótko przed aneksją Krymu i rozpoczęciem wojny w Donbasie, Niemcy, pod rządami Angeli Merkel, realizowały częściowo utajniony program szerokiej modernizacji rosyjskiej armii. Koncern zbrojeniowy Rheinmetall miał zarobić miliard euro na budowie sieci ultranowoczesnych centrów szkoleniowych dla wojsk Putina. W tym samym czasie gdy Berlin stawał się „wymarzonym partnerem zbrojeniowym" Moskwy, proniemiecki rząd Donalda Tuska w Warszawie prowadził bliźniaczo podobną politykę, finalizując bezprecedensową umowę o współpracy wojskowej z Rosją i oddając polski kontrwywiad w ręce FSB. Czy była to akcja, której celem było stworzenie antyamerykańskiego trójkąta wojskowego Berlin–Warszawa–Moskwa, mającego na lata uzależnić Europę Środkową od nowego hegemona?

Grzegorz Wierzchołowski

Wypchnąć USA: wojskowy trójkąt Putina, Merkel i Tuska

eprasa.pl 8a2e544ff3



ILUSTRACJA MARIUSZ TROLINSKI

eprasa.pl 8a2e544ff3

Wszystko zaczęło się od kompromitacji rosyjskiej armii podczas wojny z Gruzją w 2008 roku. Władimir Putin, upokorzony fatalnym stanem swoich sił zbrojnych, zarządził ich gruntowną modernizację. Jak ujawnili w swojej nowej książce dziennikarze śledczy Katja Gloger i Georg Mascolo, „wymarzonym partnerem tej współpracy zbrojeniowej miały być Niemcy". Ówczesny rząd w Berlinie, kierowany przez Angelę Merkel, przyjął tę propozycję „z nastawieniem więcej niż pozytywnym". Klimat polityczny tamtych dni szczerze podsumował emerytowany generał Josef Niebecker, który w rozmowie ze „Spieglem" przyznał: „Istniało polityczne zalecenie, aby dobrze przyjmować rosyjskie życzenia współpracy i w miarę możliwości je realizować".

Osią współpracy miało stać się ultranowoczesne centrum szkolenia bojowego Bundeswehry w Altmark w Saksonii-Anhalt, które Rosjanie zapragnęli skopiować na swoim terytorium. Projekt był imponujący. Niemiecki gigant zbrojeniowy Rheinmetall już 17 czerwca 2011 roku podpisał kontrakt o wartości około 135 mln euro na budowę w rosyjskim Mulino pierwszego z ośmiu planowanych centrów szkoleniowych. Jak z dumą informował wówczas koncern: „Tym samym do 2014 r. w regionie Wołgi powstanie najnowocześniejsza na świecie baza szkoleniowa z symulacją, w której rocznie będzie mogło szkolić się do 30 000 żołnierzy".

Skala przedsięwzięcia była jednak znacznie większa. Z dokumentów ujawnionych przez WDR Investigativ wynika, że całościowe plany opiewały na około miliard euro. Ta „bezprecedensowa" współpraca, jak określił ją „Der Spiegel", była tak zaawansowana, że planowano nawet wspólne niemiecko-rosyjskie ćwiczenia wojskowe na poligonie pod Petersburgiem. Kooperację przerwano dopiero po nielegalnej aneksji Krymu przez Rosję w marcu 2014 roku, kiedy Berlin, pod potężnym naciskiem sojuszników, był zmuszony do wycofania się z tych ryzykownych projektów. Jednak szokujące jest nie tylko to, co działo się w Berlinie, lecz także fakt, że niemal w tym samym czasie bardzo podobny scenariusz pisano w Warszawie.

Dwa resety, jeden generał

Fundamenty pod strategiczną współpracę Berlina z Moskwą położono już w marcu 2009 roku, podczas posiedzenia specjalnie powołanej Niemiecko-Rosyjskiej Komisji ds. Uzbrojeń. Dokumenty przeanalizowane przez redakcję WDR Investigativ wykazują, że kluczowe ustalenia dla projektu centrum szkoleniowego zapadły „w dużej mierze przy udziale ministerstwa obrony". Co istotne, resortem tym kierował wówczas Franz Josef Jung z CDU. Kilka lat po odejściu z polityki zasiadł on w radzie nadzorczej Rheinmetall – koncernu, który miał stać się głównym beneficjentem zbrojeniowego sojuszu z Rosją.

Projekt zyskał nie tylko aprobatę, lecz także potężne wsparcie niemieckiego rządu. W czerwcu 2011 roku na uroczyste podpisanie kontraktu z Rheinmetall do Niemiec przybył osobiście ówczesny rosyjski minister obrony Anatolij Sierdiukow oraz szef sztabu generalnego, generał Nikołaj Makarow. Następca Junga na stanowisku ministra obrony, Thomas de Maizière, kontynuował tę politykę z pełnym przekonaniem. We wrześniu 2011 roku, podczas wizyty w Moskwie, wręcz euforycznie oceniał relacje z Rosją: „Nasze stosunki z Rosją nie są dobre. Są bardzo dobre!", dodając, że Niemcy są zainteresowane „nowoczesną, dobrze dowodzoną rosyjską armią". Jego rosyjski odpowiednik, Sierdiukow, zachwycał się z kolei „ogromnym potencjałem współpracy między Rosją a Niemcami". Współpraca kwitła na wszystkich szczeblach – rosyjscy generałowie regularnie gościli w niemieckim centrum w Altmark, a Bundeswehra wysyłała swoich żołnierzy do Mulino, by – jak to ujęto w dokumentach Rheinmetall – „szkolić rosyjskich żołnierzy na miejscu w zakresie nowej technologii".

Podczas gdy Berlin zacieśniał wojskowy sojusz z Moskwą, rząd Donalda Tuska w Warszawie prowadził uderzająco podobną politykę. Jak ujawniła podkomisja Antoniego Macierewicza, załączając do końcowego raportu smoleńskiego projekt stosownego dokumentu, na kilkanaście dni przed katastrofą smoleńską finalizowano z Rosjanami zaskakującą umowę o współpracy wojskowej. Między 22 a 24 marca 2010 roku w Moskwie przebywała delegacja polskiego wojska, która przygotowywała projekt „Komunikatu dotyczącego współpracy między Siłami Zbrojnymi Rzeczypospolitej Polskiej a Siłami Zbrojnymi Federacji Rosyjskiej". Dokument miał zostać podpisany w maju 2010 roku w Warszawie podczas wizyty… generała Nikołaja Makarowa. Tego samego, który był kluczową postacią w rozmowach z Niemcami.

Proponowany przez polski rząd zakres współpracy był szokująco szeroki i w dużej mierze zbieżny z duchem ustaleń niemiecko-rosyjskich. Jak czytamy w projekcie „Komunikatu", Warszawa oferowała Moskwie „zapoczątkowanie (rozwoju) obszarów współpracy wojskowej w następujących dziedzinach": „kontakty robocze między jednostkami wojskowymi Wojsk Lądowych, Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej stacjonującymi w strefie przygranicznej"; „planowanie, prowadzenie i obserwacja ćwiczeń oraz szkoleń wojsk i dowództw"; „planowanie oraz prowadzenie operacji wspierania pokoju i reagowania kryzysowego, w tym wsparcie inżynieryjne w operacjach reagowania kryzysowego […]".

Braterstwo służb i tajne układy

Oficjalne komunikaty nie oddawały skali wojskowej współpracy Berlina z Moskwą, która na długo przed 2014 rokiem była głęboko zinstytucjonalizowana. Pro-

eprasa.pl 8a2e544ff3

jekt centrum szkoleniowego w Mulino był jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Specjalnie powołana Niemiecko-Rosyjska Komisja ds. Uzbrojenia była ciałem, które miało konsolidować tę „bezprecedensową" współpracę. Jak przyznawali sami niemieccy wojskowi, tego typu format bliskiej kooperacji powinien „istnieć tylko z sojusznikami i państwami zaprzyjaźnionymi". Plany, które omawiano, były niezwykle ambitne. Jak ujawnił „Der Spiegel", posunięto się nawet do pomysłów powiązania wojskowych struktur dowodzenia, co jest praktyką stosowaną zazwyczaj wyłącznie w ramach państw NATO.

Zaangażowanie niemieckiego przemysłu w modernizację rosyjskiej armii wykraczało daleko poza głośny projekt koncernu Rheinmetall. Istniała cała sieć firm, które, często z naruszeniem lub na granicy prawa, dostarczały Moskwie zaawansowane technologie podwójnego zastosowania. Najbardziej jaskrawym przykładem tego procederu był transfer kluczowych komponentów do budowy tajnego, podwodnego systemu o kryptonimie „Harmonia" (Garmonija). Był to strategiczny projekt rosyjskiej marynarki wojennej, którego celem było stworzenie na

z lukratywnej, choć skrajnie niebezpiecznej dla bezpieczeństwa NATO współpracy. Tego typu działania były możliwe dzięki politycznemu klimatowi stworzonemu przez rząd w Berlinie, który w tamtym czasie stawiał na budowę „strategicznego partnerstwa" i zaufania z rosyjską armią, często ignorując ostrzeżenia sojuszników.

Zażyłość relacji militarnych potwierdzały plany zorganizowania w 2014 roku wspólnych, niemiecko-rosyjskich ćwiczeń wojskowych z udziałem żołnierzy Bundeswehry pod Petersburgiem – przedsięwzięcia ostatecznie odwołanego pod presją sojuszników z NATO. Jak gorzko podsumował to emerytowany pułkownik Bundeswehry w rozmowie ze „Spieglem": „Niemieckie firmy widziały w Rosji rynek wart miliardy, a polityka Merkel nie stawiała barier".

Niemal w tym samym czasie, gdy Niemcy zacieśniały więzi z Moskwą, podobny proces miał miejsce w Polsce. We wrześniu 2013 roku Służba Kontrwywiadu Wojskowego (SKW), kierowana wówczas przez gen. Janusza Noska, zawarła formalną umowę o współpracy z rosyjską Federalną Służbą Bezpieczeństwa (FSB). Porozumienie, na które zgodę musiał wyrazić premier Donald Tusk, ofi-

Fundamenty pod strategiczną współpracę Berlina z Moskwą położono już w marcu 2009 roku, podczas posiedzenia specjalnie powołanej Niemiecko-Rosyjskiej Komisji ds. Uzbrojeń.

dnie Morza Barentsa stacjonarnej sieci nasłuchowej, zdolnej do wykrywania i śledzenia najnowocześniejszych okrętów podwodnych państw NATO, w tym jednostek o napędzie atomowym.

Jak ujawniło międzynarodowe śledztwo dziennikarskie, do Rosji trafiały setki kilometrów specjalistycznych kabli światłowodowych, czujniki hydroakustyczne (sonary), podwodne złącza i roboty zdolne do pracy na dużych głębokościach. Sprzęt ten, pochodzący m.in. z Niemiec, był niezbędny do stworzenia podwodnej „pajęczyny" sensorów. Transakcje te były realizowane w sposób, który miał na celu ukrycie prawdziwego, wojskowego odbiorcy końcowego – Głównego Zarządu Badań Głębinowych (GUGI), elitarnej i tajnej jednostki rosyjskiego Ministerstwa Obrony. W procederze kluczową rolę odgrywały firmy przykrywki, takie jak zarejestrowana na Cyprze spółka Mostrello Commercial Ltd., która formalnie kupowała zaawansowany sprzęt na Zachodzie, a następnie potajemnie reeksportowała go do Rosji. Ten mechanizm pozwalał omijać kontrole i ewentualne restrykcje, a zachodnim firmom umożliwiał czerpanie zysków

cjalnie dotyczyło m.in. współpracy w ramach walki z terroryzmem oraz zabezpieczenia wycofania polskiego kontyngentu z Afganistanu. Jednak sam fakt nawiązania tak bliskiej, sformalizowanej relacji z główną służbą specjalną państwa, które w 2008 roku dokonało agresji na Gruzję i prowadziło wrogą działalność wywiadowczą przeciwko NATO, budził ogromne kontrowersje. Raport Podkomisji ds. ponownego zbadania wypadku lotniczego (2023), serial „Reset" Sławomira Cenckiewicza i Michała Rachonia oraz ustalenia komisji ds. rosyjskich wpływów pod kierownictwem prof. Cenckiewicza dowiodły, że na długo przed formalizacją tej polsko-rosyjskiej współpracy (od 2009) prowadzono nieoficjalne kontakty, w tym wizyty oficerów SKW w Rosji i funkcjonariuszy FSB w Polsce.

Energetyczne przymierze

Równie ważnym, co militarny, fundamentem specjalnych relacji Berlina i Moskwy była energetyka. Strategicznym projektem, który na lata uzależnił Niemcy od

eprasa.pl 8a2e544ff3

rosyjskiego gazu, stał się gazociąg Nord Stream. Jego budowa, oficjalnie zainaugurowana w kwietniu 2010 roku, od początku była postrzegana przez Polskę i kraje bałtyckie jako zagrożenie – projekt polityczny, a nie czysto ekonomiczny. Jego głównym celem było ominięcie tradycyjnych krajów tranzytowych, co dawało Rosji potężne narzędzie do wywierania presji politycznej. Twarzą tego kontrowersyjnego sojuszu stał się były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder, który zaledwie kilka tygodni po odejściu z urzędu w 2005 roku objął stanowisko przewodniczącego komitetu akcjonariuszy spółki Nord Stream AG, a później także Nord Stream 2 AG.

Podpisana 2 listopada 2009 roku w Berlinie przez Angelę Merkel i Dmitrija Miedwiediewa umowa w sprawie Nord Stream była przedstawiana jako gwarancja stabilnych dostaw. Jednak „Frankfurter Allgemeine Zeitung" już wtedy podkreślała, że projekt zapewnia Niemcom stabilne dostawy, omijając Ukrainę i Polskę. W 2012 roku, gdy Unia Europejska rozważała sankcje wobec Rosji, to właśnie Niemcy najbardziej stanowczo się im sprzeciwiali. Współpraca energetyczna Berlina z Moskwą była absolutnym priorytetem polityki Angeli Merkel, mimo ostrzeżeń ze strony USA i Polski.

W czasie gdy na dnie Bałtyku układano rury Nord Stream, rząd PO-PSL finalizował negocjacje z Gazpromem w sprawie nowej, skrajnie niekorzystnej (dla Polski) umowy na dostawy gazu. W październiku 2010 roku wicepremier Waldemar Pawlak podpisał porozumienie, które radykalnie zwiększało wolumen rosyjskiego gazu i przedłużało jego dostawy aż do 2022 roku. Umowa ta została zawarta po cenach uznawanych za jedne z najwyższych w Europie i zawierała klauzulę „take-or-pay", zmuszającą Polskę do płacenia nawet za niewykorzystany gaz. Co istotne, rozmowy z Rosjanami były prowadzone w duchu resetu. Instrukcje negocjacyjne rządu Donalda Tuska zakładały rezygnację z wielu postulatów gwarantujących Polsce bezpieczeństwo energetyczne, w tym z rezygnacji z dochodzenia roszczeń w arbitrażu, co, jak szacowano, kosztowało Polskę miliardy złotych.

Działania te były częścią szerszej strategii hamowania dywersyfikacji. Już w marcu 2008 roku w Ministerstwie Gospodarki rozwiązano Departament Dywersyfikacji Dostaw Nośników Energii. Długoterminowy, drogi kontrakt z Gazpromem osłabiał ekonomiczny sens budowy terminalu LNG w Świnoujściu, który miał być kluczowym elementem uniezależniania się od Rosji. Rząd Donalda Tuska opóźnił budowę gazoportu, pierwotnie planowaną na 2011 rok, a w efekcie Polska pozostawała silnie uzależniona od jednego dostawcy: gaz z Rosji stanowił ponad 80 proc. całego importu tego surowca. Jakby tego było mało, w latach 2011–2014 Gazprom Export i EuRoPol Gaz sfinansowały program stypendialny dla doktorantów na Uniwersytecie Warszawskim. Laureaci, pod pretekstem badań naukowych, analizowali m.in. „integrację gazową Wschód-Zachód", realizując miękką propagandę na rzecz rosyjskiego giganta. Program wstrzymano dopiero po aneksji Krymu.

Antyamerykański trójkąt

Co ciekawe, ten sam niemiecki minister obrony, Franz Josef Jung, który w marcu 2009 roku kładł podwaliny pod strategiczne partnerstwo zbrojeniowe z Rosją, niemal w tym samym czasie prowadził rozmowy o zacieśnieniu współpracy wojskowej z Polską. W maju 2008 roku, podczas spotkania w Warszawie z ówczesnym szefem MON Bogdanem Klichem, zapadła decyzja o stworzeniu wspólnej, polsko-niemieckiej grupy bojowej w ramach Trójkąta Weimarskiego.

W świetle tego, co wiemy dzisiaj po publikacjach „Spiegla", owa dwutorowa polityka Berlina nabiera złowrogiego znaczenia. Z jednej strony Niemcy i Polska, sojusznicy z NATO, planowali fasadową, wspólną grupę bojową. Z drugiej, zarówno Niemcy, jak i Polska niemal w tym samym czasie i za pośrednictwem tego samego rosyjskiego generała Nikołaja Makarowa negocjowały z Rosją Putina ramy ścisłej współpracy wojskowej.

Ten trójstronny wojskowy „układ" miał swoje dokładne odbicie w sferze polityki. Był nim tzw. Trójkąt Kaliningradzki – zainaugurowana w lutym 2011 roku forma współpracy Berlina, Warszawy i Moskwy, mająca na celu „skoordynowanie" polityki tych trzech państw. Jak bez ogródek pisał jesienią 2011 roku magazyn rosyjskiego MSZ „International Affairs", celem tej inicjatywy było zjednoczenie sił w celu stworzenia „odpowiedzi na amerykańską dominację na kontynencie europejskim".

Cała koncepcja miała wyraźnie antyamerykański i antytransatlantycki wektor, idealnie wpisując się w rosyjską wizję „wielkiej Europy od Lizbony do Władywostoku". Warto przypomnieć, że w tym samym czasie Niemcy były głównym hamulcowym wejścia Ukrainy do NATO. Rząd Donalda Tuska, w przeciwieństwie do rządu PiS i prezydenta Lecha Kaczyńskiego, konsekwentnie torpedował projekt budowy w Polsce amerykańskiej tarczy antyrakietowej, kluczowego elementu strategicznego bezpieczeństwa Polski i całego regionu. Działania te nie były przypadkowe, lecz stanowiły realizację politycznego celu, jakim było osłabienie więzi transatlantyckich i zwrócenie Europy Środkowej w stronę Berlina i Moskwy.

Ideologiczne podstawy tego sojuszu najlepiej oddają słowa prorosyjskiego „geopolityka" Leszka Sykulskiego, czołowego promotora Trójkąta Kaliningradzkiego w Polsce, który w 2012 roku pisał: „Polska dyplomacja (także ta wojskowa) powinna dążyć do włączenia się naszego kraju do inicjatywy niemiecko-rosyjskiej. Zamiast straszyć obywateli ćwiczeniami »Zachód« czy »Ładoga«, warto ściśle współpracować na niwie militarnej z Niemcami i Rosją". ■

eprasa.pl 8a2e544ff3



Marcin Wolski

Przejdziem Odrę, przejdziem Świnę, będziem Europejczykami

Jak łatwo można realizować marzenia, zwłaszcza cudze, dowodzi uchwała polskiego Sejmu w sprawie powołania Parku Narodowego Dolnej Odry. Przekreśla on wprawdzie ambitny projekt uregulowania wicekrólowej polskich rzek i zrobienia z niej istotnego ciągu transportowego. Po co? Uregulowane rzeki w rodzaju Renu, Łaby i Wezery doskonale spełniają rolę wodnych autostrad, podobnie jak lotniska w Hamburgu, Berlinie czy we Frankfurcie skutecznie pobierają opłaty cargo, których za naszego życia nie doczeka się Centralny Port Komunikacyjny w budowie.

W Zjednoczonej Europie, która wybetonowała swe koryta, zmeliorowała nieużytki, wycięła lasy, a nawet zniwelowała góry, niepotrzebny jest jeszcze jeden ściek ani prężny kraj przemysłowo-rolniczy. Wystarczy rezerwat – już Wolter porównywał nas do Irokezów. I pora dorównać do tych wyobrażeń.

Dzięki wspaniałej inicjatywie naszego parlamentu ostaną się siedliska grzybieńczyka bagiennego, salwinii pływającej i starca bagiennego. Nikt już nie zrobi szarej wierzby na szaro. Nie wyginą: szuwar pałkowy, błotniak zbożowy, kania (przepraszam za wyrażenie) ruda i zagrożona wyginięciem wodniczka. Pozostanie w dzikiej ostoi nasz królewski orzeł bielik, nawet jeśli pozbędziemy się już flagi, hymnu i herbu…

Kiedyś marzyło nam się zostanie drugą Japonią. O wiele bardziej ucieszy wszystkich druga Arkadia. Gdyby dziś żył Mickiewicz, to na zamówienie Barbarelli Nowackiej pisałby o Skansenie Narodów, a Chopin (nawet zapakowany w całun) skomponowałby „Etiudę Ewolucyjną".

Niech przed oczami zachwyconych Europejczyków pojawi się obraz Polaków, którzy na fujarkach grają Pendereckiego, a w Koniakowie z zapałem wycinają hołubce. Już niedługo w Zakopanem krakowiacy w strojach łowickich zaczną częstować turystów z półwyspu arabskiego dobrym niemieckim piwem, a na leśnych polanach rozneglizowane Słowianki uraczą staropolską gościnnością według reguł wyniesionych ze szkolnej edukacji zdrowotnej. Zrobią to tym chętniej, jeżeli przybysze będą żółci, czarni i beżowi, bo nic tak nie ubogaca kraju jak mieszanki genetyczne.

Bez fałszywej skromności nauczymy świat, jak robić na okrągło ten sam bigos, malować sobie jaja i rozróżniać na pierwszy rzut oka ruskie od leniwych. Oczywiście nie zabraknie przykładów nowoczesności, która z oporami, ale jednak, wdziera się w nasze życie – na przykład w ramach popieranych ceremonii świeckich zobaczymy samoślub piosenkarki Anny Rusowicz. Czyli związek z samą sobą. Za dodatkową opłatą można będzie obejrzeć reportaż z nocy poślubnej i miodowego miesiąca. Wszytko zgodne z naturą. Człowieka.

Ochrona przyrody zjawiskiem nowym, planową gospodarkę leśną prowadzili przed tysiącami lat Indianie amerykańscy, o ochronę gatunkową pewnych zwierząt troszczyli się królowie, o czym mogli się przekonać banici z lasu Sherwood, zanim Robin Hood nauczył ich, jak walczyć z ekologistami. Podobnie działo się również na naszych ziemiach, gdzie przetrwały żubry i niedźwiedzie, a jedynie turom ta sztuczka się nie udała.

Za to na naszych oczach udało się ocalić, i to bez wsparcia Grety Thunberg, takie ginące gatunki jak komuch pospolity – comunis vulgaris, esbek krzykliwy – praetorius clamosus czy współpracownik tajny – collaborator occultus. Oczywiście środkiem takiego wielkiego skansenu powinien być Centralny Park Rozrywki, zlokalizowany na przykład wokół zamku w Stobnicy, zamienionego na reedukacyjne więzienie dla czołowych przedstawicieli opozycji. Byłby to taki polski Pisneyland! Oczywiście przewodnikami byliby bohaterowie narodowi, na przykład znani w świecie sportowcy, jak Małysz jako Donald, Świątek jako Myszka Miki i Robert Lewandowski – Pies Pluto. Natomiast w gabinecie grozy można byłoby spotkać słynnych polskich politcelebrytów: Żurka, Bodnara, Giertycha i Nowaka.

Miłośnicy widowisk plenerowych mogliby podziwiać wyścigi w workach w wykonaniu członków Państwowej Komisji Wyborczej oraz spektakl pt. „Operacja Śluza" pokazujący, jak grono ludzi dobrej woli w składzie: Władysław Frasyniuk, Agnieszka Holland, Franek Sterczewski i Barbara Kurdej-Szatan powstrzymało polską agresję na pokój miłującą Białoruś i uniemożliwiło eksterminację zgromadzonych tam uchodźców.

Czy taki park mógłby cieszyć się powodzeniem? Powiem otwarcie – wielkim!

Sąsiedzi zza Odry będą przybywali, żeby nacieszyć się Polakami we właściwych dla nich rolach, a przede wszystkim rozgrzać.

Idzie zima, a w przypadku powyłączanych elektrowni i zamkniętych gazociągów u siebie może być chłodno i głodno.

Park Narodowy Dolna Odra w Dennej Polsce to naprawdę znakomity pomysł.

Dla sąsiadów! ■

eprasa.pl 8a2e544ff3

Niemcy–Rosja. Układ o agresji

Piotr Grochmalski



Reinhard Bingener i Markus Wehner w książce „Niemiecki łącznik" pokazali ogromny proces korumpowania i niszczenia Niemiec i UE przez rosyjską sieć wpływów zbudowanych wokół Gerharda Schroedera, Angeli Merkel i Olafa Scholza. To Putin stworzył instrumenty, za pomocą których demoralizował niemieckie elity i pchał je do polityki, która otwierała Putinowi drogę do agresji na Ukrainę i doprowadziła do katastrofy energetycznej UE.

eprasa.pl 8a2e544ff3



ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl

Na konwencji PiS w Katowicach w piątek, 24 października 2025 roku, Jarosław Kaczyński stwierdził, że Polska ma przed sobą dwie opcje: niemiecko-brukselską, która zakłada powstanie „państwa hegemonalnego", lub zreformowanej UE „w stronę powrotu do suwerenności państw". Pierwsza ma zostać sfinalizowana „jako wielkie zwycięstwo Niemiec i powstanie czegoś w rodzaju nowego imperium", w którym nie będzie miejsca dla suwerennej Polski, druga ma się opierać na zorganizowaniu, pod egidą USA, państw demokratycznych, z których każde „musi wydawać co najmniej 5 proc. PKB na obronę". Gdy śp. prezydent Lech Kaczyński przemawiał na Westerplatte 1 września 2009 roku i stwierdził, że „Imperializmowi nie wolno ustępować, nie wolno ustępować nawet skłonnościom neoimperialnym", miał na myśli nie tylko Rosję, lecz także Niemcy.

„Europa stała się niemiecka"

Ulrich Beck, bardzo wpływowy w świecie socjolog, urodził się w trakcie wojny, 15 maja 1944 roku w Słupsku, zmarł w Monachium w 2015 roku. Jego swoisty testament „Das deutsche Europa", wydany w Berlinie w 2012 roku, przetłumaczony na polski w 2013 roku i opublikowany przez Wydawnictwo Naukowe PWN pt. „Niemiecka Europa", nie wywołał żadnego szoku w Polsce. Przeszedł bez echa. A przecież dla Polaka to jedna z najbardziej groźnych i szokujących publikacji pokazujących, jaki ma być nasz los. Już w czwartym zdaniu przedmowy autor brutalnie stwierdza: „Każdy to wie, lecz wypowiedzenie głośno tego stwierdzenia oznacza złamanie tabu: Europa stała się niemiecka". Piotr Sztompka w swojej „Socjologii XXI wieku" uznaje Becka za twórcę nowoczesnego kosmopolityzmu. Człowiek ma być trwale pozbawiony tradycyjnej tożsamości społecznej, a więc odcięty od swoich korzeni etnicznych i narodowych. Ale w jego „testamencie" to rzekomy niemiecki uniwersalizm ma wypełnić europejską przestrzeń. Brytyjski historyk Timothy Garton Ash, który stał się radykalnym wrogiem polskiego patriotyzmu, w lutym 2012 roku na łamach „Der Spiegel" stwierdził: „Przemawiając w 1953 roku do studentów w Hamburgu, Tomasz Mann zaklinał ich, by nie dążyli do »niemieckiej Europy«, lecz do »europejskich Niemiec«. Formułę tę nieustannie powtarzano w dniach zjednoczenia [Niemiec]. Dziś jednak przeżywamy wariant, który niewielu tylko przewidziało: europejskie Niemcy w niemieckiej Europie". Agresja Rosji na Ukrainę pokazała skalę zakłamania takich narracji. Reinhard Bingener i Markus Wehner w książce „Niemiecki łącznik" pokazali ogromny proces korumpowania i niszczenia Niemiec i UE przez rosyjską sieć wpływów zbudowanych wokół Gerharda Schroedera, Angeli Merkel i Olafa Scholza. To Putin stworzył instrumenty, za pomocą których demoralizował niemieckie elity i pchał je do polityki, która otwierała Putinowi drogę do agresji na Ukrainę i doprowadziła do katastrofy energetycznej UE.

Nowe oszustwo Niemiec

18 października Friedrich Merz niespodziewanie ogłosił, że jest przeciwny przebudowie UE w państwo federalne. Oznaczałoby to, że rzekomo chce wysadzić w powietrze całą dotychczasową, realizowaną od dziesięcioleci politykę Berlina. W wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung" stwierdził: „Nigdy nie wierzyłem w tę ideę [europejskiej federacji – przyp. P.G.]. Należałem do polityków, którzy wykreślili słowo »Stany Zjednoczone Europy« z programu CDU. To pojęcie wywoływało mylne skojarzenia z USA i było pomyślane zbyt centralistycznie". Trudno powiedzieć, czy jest to efektem jego rosnącej niechęci do Waszyngtonu, stąd rażą go wszelkie skojarzenia z Ameryką. Takie słowa mogą też uczynić go w oczach obywateli jakimś niepojętym radykałem. Bo przecież fundamentem myślenia jego rodaków jest przeświadczenie, że ich misją ma być zbudowanie silnej Unii Europejskiej, dzięki której Berlin stanie się stolicą globalnego imperium. Ale Merz idzie dalej. Przekonuje, iż obecna metoda integracyjna przy 27 krajach „dotarła do granic swoich możliwości. (…) Teraz chodzi przede wszystkim o współpracę między rządami. Dlatego szukam porozumienia z Francją, Polską, Włochami oraz krajami Europy Północnej. Metoda międzyrządowa pozwala osiągać rezultaty, jak chociażby europejską reakcję na wojnę w Ukrainie". Merz jest wręcz zaniepokojony. Przekonuje, że „Unia Europejska może się zapędzić w kozi róg, ponieważ obecnie zbyt wiele drobnych spraw podlega regulacji". Twierdzi, że od kilku lat pogłębienie wspólnego rynku ograniczało się do „zagęszczenia regulacji", co nie wyszło mu na dobre. Ale to oznaczałoby, że UE jest już dziś bardziej scentralizowana i przygnieciona tysiącami regulacji w wielu obszarach życia od USA, bo trudno sobie wyobrazić, aby prezydent Stanów Zjednoczonych forsował wprowadzenie przytwierdzonych nakrętek na butelki albo ulegał szaleństwu ETS2 czy próbował narzucić jednorodne przepisy dotyczące prawa jazdy. W USA życie codzienne obywatela w 96 proc. jest regulowane ustawodawstwem stanowym, a w UE wszystko jest postawione na głowie. Już dzisiaj nawet najdrobniejsze kwestie naszej egzystencji są narzucane przez Brukselę i Berlin.

W rzeczywistości słowa wypowiedziane przez Merza stoją w jaskrawej sprzeczności z jego doktryną, którą ogłosił 8 września 2025 roku na spotkaniu w Berlinie ze ściągniętymi z całego świata niemieckimi dyplomatami. Zakłada ona uczynienie z Niemiec globalnego gracza i kierowanie się przez Berlin interesem narodowym. A drogą do tego miałoby być podporządkowanie i wykorzystanie w tym celu UE. Nie ma miejsca w doktrynie Merza dla Polski, która ma być zmarginalizowana. Jego stosunek do Rzeczypospolitej wynika z doświadczeń jego rodziny. Jego ojciec Joachim Merz pochodził z Wrocławia. Wywodził się z rodziny wojskowej. W czasie II wojny światowej walczył w Wehrmachcie na froncie wschodnim. Potem został sędzią w Arnsbergu w Nadrenii Północnej-Westfalii. A dziadek od strony matki

eprasa.pl 8a2e544ff3

obecnego kanclerza, Josef Paul Sauvigny, był przed wojną burmistrzem Brilonu. Należał do NSDAP i był członkiem Narodowosocjalistycznej Ligi Prawników, której założycielem był Hans Frank, twórca hitlerowskiej Akademii Prawa Niemieckiego. W 2004 roku obecny kanclerz z dumą wypowiadał się o swoim nazistowskim przodku. Gdy został za to skrytykowany, oświadczył, że jego dziadek wcale nie był jego największym politycznym wzorem do naśladowania. Nie sposób znaleźć niemieckiego polityka z czystą kartą wobec Polski.

Merz znów kłamie

Zaledwie dzień przed ową zadeklarowaną przez Merza niechęcią wobec centralizacji UE, 17 października, sędzia Dariusz Łubowski nie ugiął się pod presją Berlina. Fakt, że niemieckie państwo chciało sterroryzować Polskę i próbowało wymusić wydanie w ich ręce Wołodymyra Żurawlowa, który jest podejrzany o wysadzenie w 2022 roku gazociągu Nord Stream, ujawnia, jak silne są nadal relacje niemiecko-rosyjskie. I jaką rolę ma do spełnienia w Warszawie ekipa 13 grudnia. Trudno nie dostrzec politycznego charakteru owego niemieckiego śledztwa dotyczącego uszkodzenia rosyjskiego gazociągu. Sędzia Łubowski nie tylko odmówił Niemcom wydania Żurawlowa Niemcom, lecz także nakazał niezwłoczne zwolnienie go z aresztu. Podkreślił ponadto w uzasadnieniu, że nawet gdyby rzeczywiście ten ukraiński płetwonurek współuczestniczył w zarzucanym mu czynie, to tego rodzaju operacja dokonana przez siły specjalne w trakcie toczącej się wojny przeciw Ukrainie nie jest bezprawna. Wręcz przeciwnie – była uzasadniona, racjonalna i sprawiedliwa. Wykonywał ważną misję bojową w imieniu napadniętego państwa. Sędzia Łubowski zaznaczył też, iż wysadzenie gazociągu nie miało miejsca na terenie Niemiec, ale na wodach międzynarodowych, a Nord Stream nie jest podmiotem niemieckim. Aż bije po oczach owa nadgorliwość Berlina w sprawie uszkodzenia rosyjskiego gazociągu. Przy czym Niemcy forsują wersję wydarzeń politycznie korzystną dla nich. To pokazuje, jak głęboko w niemieckich głowach siedzi ów geopolityczny projekt osi Moskwy i Berlina.

Uderza też oczywisty udział w zakulisowych działaniach wobec dochodzenia prokuratorskiego Federalnej Służby Wywiadu (BND), największej niemieckiej specłużby. Rok temu, jeszcze za rządów Scholza, były szef BND August Hanning w wywiadzie dla „Die Welt" dokonał rzeczy skandaliczniej – oskarżył polskiego prezydenta o współudział w całej operacji. Jak stwierdził: „Najwyraźniej były tu zaangażowane polskie służby. I nie sądzę, że chodzi tylko o służby, lecz myślę, że była to umowa pomiędzy najwyższymi szczeblami władzy w Polsce i na Ukrainie. Najwyraźniej ukraiński zespół dywersyjny przeprowadził zamach, ale tylko dzięki silnemu wsparciu logistycznemu z Polski. Takie decyzje zapadają na najwyższym poziomie politycznym. Myślę, że doszło tu do umowy między prezydentem Zełenskim a prezydentem Dudą, aby przeprowadzić ten zamach". August Hanning jest mocno powiązany z rosyjskimi służbami. Odegrał też istotną rolę w działaniach operacyjnych, które miały wspierać realizację Nord Stream. W wywiadzie zaznaczył, że w związku z „udziałem polskich i ukraińskich instytucji", które przyniosły Niemcom szkody, rząd będzie ubiegać się o odszkodowanie. Fakt, iż nowy kanclerz daje zielone światło do dalszej eskalacji sprawy dotyczącej eksplozji gazociągu, mówi wszystko o Merzu.

Imperialny sen Niemiec

Ale bulwersująca sprawa Nord Stream to zaledwie wierzchołek góry lodowej, ujawniający rzeczywiste interesy Niemiec. Cała biurokracja RFN jest głęboko przesiąknięta prorosyjskim nastawieniem. To efekt trwającego przez ponad pół wieku procesu budowania strategicznych relacji Berlina i Moskwy. Ich celem było zdominowanie Europy przez tandem rosyjsko-niemiecki. Wolfgang Münchau w swojej książce „Kaput. Koniec niemieckiego cudu gospodarczego" przestrzega, że Berlin zmierza ku ekonomicznej katastrofie. To efekt szalonych decyzji, a także uzależnienia się energetycznego od Rosji. Niemieckie elity polityczne widzą ratunek w przyspieszonej centralizacji UE i podporządkowaniu Berlinowi. Jednym z elementów tej szalonej strategii forsowanej przez Merza jest umowa Unii Europejskiej z Mercosur. Były premier Mateusz Morawiecki uważa, że „to śmiertelne zagrożenie dla polskiego rolnictwa. Tania żywność z Ameryki Płd. to też wsparcie dla Putina. Zamiast zostać w Europie, pieniądze popłyną do Brazylii… i dalej do Rosji. Co robi rząd?". Mercosur ma uratować niemiecki przemysł kosztem zniszczenia europejskiego rolnictwa. Ale też spowoduje to ogromne zagrożenie dla zdrowia ludzi. Wszystko w imię niemieckich interesów.

Jak zauważa Jacek Saryusz-Wolski, „…w produktach rolnych w Brazylii jest stosowanych 326 pestycydów, z których większość jest zakazana w Unii. Przez to otwarcie one wjadą na terytorium Unii, tylko już niedostrzeżone". Głównymi producentami owych pestycydów dla Brazylii są niemieckie koncerny Bayer i BASF. Środki, których nie można stosować w europejskim rolnictwie, wysyłają do Ameryki Południowej, a stamtąd po klepnięciu umowy Mercosur, w pewnym sensie trafią one do nas z powrotem. Ale jest drugie dno całej tej historii. Warto przypomnieć, że koncern Bayer był jednym z głównych inicjatorów wykorzystywania więźniów obozów koncentracyjnych, w tym z Auschwitz. Domagał się od SS sprawnych osób do pracy, wywierał więc presję na likwidację osób chorych i osłabionych. Także BASF ma ścisły związek z ludobójstwem. Powstał na bazie I.G. Farben, który umieścił swoją fabrykę w Auschwitz, a produkowany gaz cyklon B przez konsorcjum Degesch, w którym udziały miał I.G. Farben, był wykorzystywany w obozach do mordowania ludzi. Co więcej, po II wojnie światowej szczególnie Ar-

eprasa.pl 8a2e544ff3

gentyna i Brazylia stały się miejscami schronienia dla wielu niemieckich zbrodniarzy wojennych. Nabywali oni tam wielkie farmy.

W kontekście umowy Mercosur wraca dobrze znana twarz Niemiec. Ale to też powtórka – w innym formacie – Nord Stream. Co gorsza – owa umowa, o którą brutalnie walczą Niemcy – ma otworzyć drogę przed kolejnymi rynkami. Już trwają wstępne przygotowania do otwarcia UE dla gigantycznego rynku indyjskiego. Są to procesy, które mają doprowadzić do głębokiego zubożenia i zdegradowania państw Europy Środkowej i podporządkowania ich ekspansji niemieckiej. Umowa Mercosur jest już wynegocjowana przez Komisje Europejską, ale żeby wejść w życie, musi zostać zaaprobowana przez parlament zwykłą większością głosów. Niemcy osiągną to bez problemów. Potem musi zostać „klepnięta" kwalifikowaną większością głosów przez Radę Europejską, a więc 27 członków UE. Niemcy, Hiszpania, przy wsparciu Komisji Europejskiej, mocno prą do tego, aby jak najszybciej przeforsować umowę. Merz jest sfrustrowany. Obawia się, że może nie zebrać większości kwalifikowanej. Tak naprawdę wszystko w rękach Polski. Gdyby Tusk twardo blokował mniejszość blokującą, byłby w stanie przyhamować umowę. 3 grudnia 2025 roku zostanie rozstrzygnięty los polskiego rolnictwa, a dwa dni później formalnie zostanie podpisana część handlowa dokumentu. Jeśli do tego dojdzie, UE zbliży się do kolejnej katastrofy. I tym razem będzie ona skutkiem przekształcania się UE w niemiecką Europę.

Merkel i Merz – ta sama niemiecka twarz

Ale Merz – ten rzekomy przeciwnik centralizacji UE – chce też przekształcić Niemcy w największą potęgę militarną Europy, aby czynnik siły był dodatkowym instrumentem przerabiania Europy w niemiecką przestrzeń. Jens Stoltenberg, były szef NATO, w swojej biografii przywołuje pewien epizod z relacji z Merkel, który pokazuje niemiecki, imperialny sposób działania. Berlin chciał, aby stanowisko jego zastępcy objął Niemiec, Martin Erdmann. Bardzo naciskali. Ale Stoltenberg uważał, że większe kwalifikacje ma Amerykanka Rose Gottemoeller. USA mocno ją też wspierała. Ostatecznie wybrał właśnie ją ze względu na jej duże doświadczenie w kontaktach z Rosją. Jak zauważa: „Pod koniec czerwca zdecydowałem postawić na Gottemoeller, która otrzymała oficjalną nominację na zastępcę sekretarza generalnego 27 czerwca 2016 roku. Natychmiast otrzymaliśmy wiadomość mailową od doradcy Angeli Merkel do spraw polityki bezpieczeństwa. Niemcy byli głęboko rozczarowani. Przez cały czas mnie wspierali i tak im się za to odwdzięczyłem". Merkel pokazała swoje niezadowolenie już na najbliższym szczycie UE, na którym był obecny Stoltenberg. Udawała, że go nie dostrzega. Jak wspomina były szef NATO: „Wychodząc z sali, w końcu odwróciła się w moją stronę. Przygotowałem się, żeby powiedzieć kilka miłych słów. Merkel miała inny plan: – Bardzo mnie rozczarowałeś, Jens – powiedziała. – Wziąłeś pod uwagę wyłącznie interesy USA. Stany Zjednoczone nie mogą decydować o wszystkim, co dzieje się w NATO".

Zabójczy cios w Polskę

Pięć dni po owych deklaracjach Merza, że jest przeciwny centralizacji UE, Niemcy przypuścili totalny atak. W parlamencie Europejskim, z mocnym wsparciem ze strony Berlina, 22 października 2025 roku przegłosowana została rezolucja „w sprawie skutków instytucjonalnych negocjacji w sprawie rozszerzenia UE", która otwiera drogę do totalnego zaorania suwerennej woli narodów. W imię reform instytucjonalnych, a faktycznej centralizacji UE, ma być – wbrew traktatowi – wycięte prawo veta państwa w kluczowych obszarach, w których nadal państwo posiada swoją suwerenność. Budowę niemieckiej Europy wsparli swoimi głosami Robert Biedroń, Joanna Scheuring-Wielgus i Michał Kobosko. Jak alarmowała na portalu X Ewa Zajączkowska-Hernik: „Pod płaszczykiem reform instytucjonalnych i przygotowań do rozszerzenia UE eurokraci znowu próbują zrobić to, czego nie udało się wcześniej – zabrać resztki suwerenności narodowej i stworzyć z UE superpaństwo zarządzane z Brukseli". Rezolucja przewiduje totalne zaoranie traktatu. Daje przyzwolenie na likwidację zasady jednomyślności w Radzie Europejskiej, co jest rozwiązaniem zabójczym dla Polski. Wszystkie największe katastrofy, jakich doświadczyła od 2004 roku UE, są pokłosiem forsowanych na siłę przez Berlin rozwiązań. Teraz nawet namiastki hamulca bezpieczeństwa zostaną zlikwidowane. Nikt już nie zatrzyma katastrofy, do której prowadzi nas Berlin. Bo rezolucja otwiera też drogę do wzmocnienia kompetencji Komisji Europejskiej i stłamszenia państw. Trybunał Sprawiedliwości ma uzyskać też pozycję ostatecznego arbitra, który nie pozwoli państwom na tzw. naruszenia. Kwestie te ujęte są w punkcie 12 rezolucji, w którym proponuje się „wzmocnić i zreformować procedurę przewidzianą w art. 7 TUE przez zniesienie jednomyślności w decyzjach Rady Europejskiej, wprowadzenie jasnych ram czasowych i uczynienie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej arbitrem w przypadku naruszeń". Majstrowanie w art. 7 traktatu UE, który – ze względu na swoje mętne zapisy – został wykorzystany przez Berlin do politycznej wojny z Polską, pokazuje, że ma być on jeszcze bardziej skuteczną maczugą zabijającą wolność i demokrację w UE.

Pokazowy lincz Berlina na Warszawie, możliwy dzięki wsparciu V kolumny, ma stać się normą. Każde z państw, które będzie próbowało bronić się przed brutalną władzą Berlina, zostanie zgniecione i gospodarczo zdegradowane. Bo jednocześnie, zgodnie z pkt 16 rezolucji, ma zostać zwiększony budżet UE powyżej obowiązującego 1 proc. PKB, a wypłacanie z niego środków będzie zależne od „oceny praworządności", czyli od uległości wobec Niemiec. Ca-

eprasa.pl 8a2e544ff3

ła treść punktu 16 budzi ogromne zaniepokojenie. Czytamy w nim, że UE musi podnieść swój budżet, bo „sprawozdania Draghiego i Letty wykazały, iż aby do 2030 r. UE stała się bardziej konkurencyjna, ukończyła sprawiedliwą i ekologiczną transformację oraz była w stanie samodzielnie bronić się przed agresją Rosji, potrzebne są znaczne dodatkowe zasoby własne". A to oznacza, iż nie wyznacza się żadnego progu zwiększania obciążeń państw na rzecz UE, a owe środki mają być przeznaczane na realizację radykalnie sprzecznych celów – konkurencyjność i ekologię. Dziś nie jest już tajemnicą, że to właśnie niemieckie zielone szaleństwo zmasakrowało konkurencyjność gospodarki europejskiej. Państwa, pod groźbą politycznego linczu, mają więc ograbić swoje budżety na rzecz eurokasy, aby jeszcze bardziej zmasakrować gospodarkę UE. To czyste szaleństwo.

Jak Niemcy zbroiły Rosję

Równie szalonym pomysłem Niemiec był tajny sojusz militarny z Rosją. Ostatnio ujawnione informacje ukazują skalę finansowania i współpracy wojskowej Berlina i Moskwy. Merkel miała dać zielone światło na gigantyczne projekty w Rosji dla niemieckiej zbrojeniówki. Jak ujawnił „Der Spiegel", za zgodą kanclerz niemieccy wojskowi mieli uczyć rosyjską armię, jak skutecznie prowadzić działania wojenne. Bundeswehra miała szkolić żołnierzy Putina. Planowane było stworzenie wspólnych struktur dowodzenia. To wszystko miało miejsce po tym, jak Merkel w 2008 roku zablokowała w Bukareszcie ścieżkę wejścia Ukrainy i Gruzji do NATO. Tę blokadę Berlina Putin wykorzystał do przyspieszenia radykalnych działań wobec tych państw – agresji kilka miesięcy później na Gruzję i ataku na Ukrainę sześć lat później.

Atak na kaukaskie państwo ujawnił fatalny stan rosyjskiej armii. To wtedy Putin zwrócił się do Merkel o wsparcie Niemiec przy modernizacji jego armii. Otrzymał zielone światło. Współpraca miała przyspieszyć dzięki specjalnie powołanej Niemiecko-Rosyjskiej Komisji ds. Uzbrojenia. Plan z 2011 roku zakładał budowę centrum szkolenia bojowego w Mulino i siedmiu kolejnych takich ośrodków we wszystkich okręgach wojskowych. Całość miała być ukończona do 2020 roku. Główną firmą, która miała realizować kontrakt, był Rheinmetall wspólnie z firmą usługową rosyjskiego ministerstwa obrony. Miała też na tej bazie powstać wspólna spółka do naprawy i modernizacji rosyjskiej broni. W centrach szkolenia bojowego mieliby służyć również niemieccy żołnierze i eksperci Rheinmetall. Umowę z Rosjanami podpisano w czerwcu 2011 roku w Unterlüss w Dolnej Saksonii. Koszt „centrum treningowego" armii rosyjskiej wynosił 135 mln euro. Za opracowanie koncepcji odpowiadał gen. Walerij Gierasimow, który rok później stanął na czele Sztabu Generalnego FR, a w 2014 roku dokonał agresji na Krym. Dziś kieruje wojną przeciwko Ukrainie. Niemcy wycofały się z umowy w 2014 roku, ale to właśnie na poligonie w Mulino Rosja ćwiczyła przygotowania do wojny.

Niemcy prowadzą Europę do kolejnej katastrofy

Tak naprawdę niewiele różni politykę Merkel, Scholza, Schroedera czy Kohla od działań Merza wobec Polski i Rosji. Jej istotę dobrze ujął prokremlowski geopolityk Aleksandr Dugin. Stwierdził, iż w strategicznym, wspólnym interesie Moskwy i Berlina jest osłabianie lub ostateczne zniszczenie Polski. Po zjednoczeniu Niemiec pewne procesy radykalnie przyspieszyły. Prezydent Lech Kaczyński tuż przed śmiercią wskazał zasadniczy cel owej polityki Berlina wobec nas: „Chodzi o to, aby nie pozwolić Polsce stanąć na drodze Niemiec do statusu mocarstwa w skali globalnej". To jest istotą polityki wszystkich kolejnych kanclerzy – także Merza. Za każdym razem gdy wzmacnialiśmy swoją pozycję, wywoływało to prawdziwą furię w Berlinie. Adolf Muschg, wybitny intelektualista szwajcarski, stwierdził przed laty: „Wszyscy sąsiedzi są zgodni co do tego, iż nie należy naruszać podziału Niemiec, który jest źródłem widocznych, wielorakich korzyści, wyniesionych z wojny. W duchu wdzięczni jesteśmy wszystkim Niemcom oraz ich rządom, gdy nie poruszają tej sprawy. To rzeczywiście miło ze strony Niemców, że dla nikogo nie chcą już być problemem, i to raz na zawsze".

Dziś znów Berlin prowadzi Europę do kolejnej katastrofy. Tuż przed agresją Rosji na Ukrainę pyszałkowaci Niemcy do końca bronili Putina. Media zalewała fala prorosyjskich wypowiedzi pełnych zrozumienia dla Putina. Deutsche Welle 24 stycznia 2022 roku zauważała, iż Thomas Kunze, szef moskiewskiego biura Fundacji Konrada Adenauera, a więc fundacji powiązanej z CDU, jest zdania, iż Rosja odniosła znaczące sukcesy dyplomatyczne w tej fazie rywalizacji. Podkreślał, iż Rosjanie „osiągnęli to, że negocjują z Amerykanami na równych zasadach" o strefach wpływów. Podobnie proputinowski był Reiner Schwalb, były attaché wojskowy w ambasadzie niemieckiej w Moskwie. Uważał, że Niemcy są kluczem do obecnych wysiłków dyplomatycznych wobec Kremla. Według niego Rosja postrzega pozytywny wpływ na siebie Niemiec. „Oni zasadniczo akceptują politykę niemiecką". A obecny kanclerz Friedrich Merz stanowczo sprzeciwiał się, aby – w ramach potencjalnych sankcji wobec Rosji, gdyby dopuściła się agresji na Ukrainę – wykluczyć rosyjskie banki z sieci transakcji płatniczych Swift, która obsługuje globalne transfery finansowe, ponieważ „zaszkodziłoby to" interesom gospodarczym Niemiec. Ta ówczesna manifestacja putinizmu nad Sprewą wywołała nawet szok w samym FRN. Ulf Poschardt, redaktor naczelny opiniotwórczego „Die Welt", z irytacją stwierdzał wówczas: „My, Niemcy, staliśmy się kiepskim żartem". ■

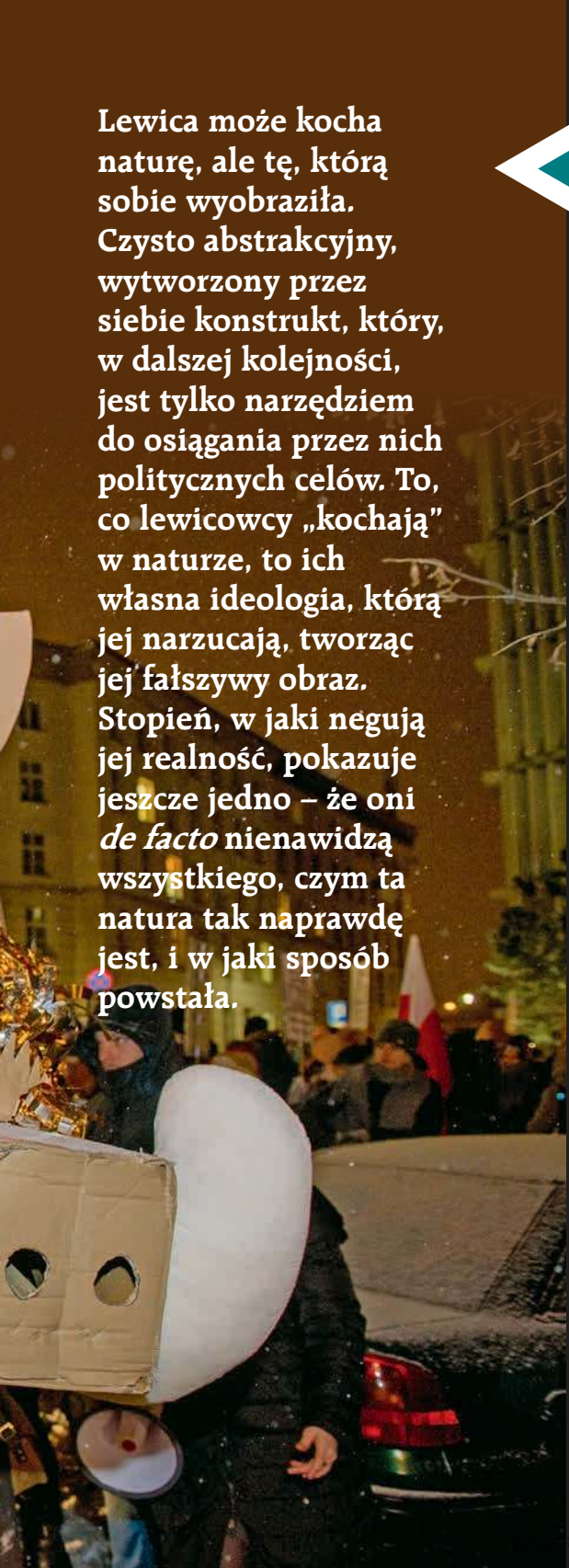
eprasa.pl 8a2e544ff3

Dawid Wildstein



Lewicowe zoo, czyli o tym, jak postępowi ideolodzy kochają naturę

Lewica może kocha naturę, ale tę, którą sobie wyobraziła. Czysto abstrakcyjny, wytworzony przez siebie konstrukt, który, w dalszej kolejności, jest tylko narzędziem do osiągania przez nich politycznych celów. To, co lewicowcy „kochają" w naturze, to ich własna ideologia, którą jej narzucają, tworząc jej fałszywy obraz. Stopień, w jaki negują jej realność, pokazuje jeszcze jedno – że oni *de facto* nienawidzą wszystkiego, czym ta natura tak naprawdę jest, i w jaki sposób powstała.



FOT. MARCIN PEGAZ/GAZETA POLSKA

Wśród wielu muzeów w Krakowie jest jedno, bardzo ciekawe, acz niezbyt rzucające się w oczy. Chodzi o Muzeum Przyrodnicze na ulicy św. Sebastiana. Nic dziwnego, że w byłej stolicy Polski, mieście wręcz przepełnionym zabytkami, nie jest ono pierwszym wyborem większości zwiedzających. Szkoda, znaczna część jego ekspozycji jest naprawdę warta obejrzenia. Jednocześnie właśnie w nim można zobaczyć to, do jakiego absurdu, zwyczajnej głupoty i kłamstw prowadzi lewicowa ideologia dotycząca ekologii i przyrody.

Peace and love w naturze

W jednym z pomieszczeń wspomnianego muzeum znajdują się wypisane na ścianach cytaty sławnych ludzi, mające na celu pokazanie, w wymiarze idei, czemu ta instytucja służy, jaki duch nią kieruje. Brzmią one następująco: „Życie nie przejęło świata przez walkę, ale przez współpracę» – Lynn Margulis; „Prawo ewolucji jest takie, że przetrwają najsilniejsi, tak, a najsilniejsi, w istnieniu jakiegokolwiek gatunku społecznego, są ci, którzy są najbardziej społeczni, w kategoriach ludzkich, najbardziej etyczni... nie ma siły, którą można zyskać, krzywdząc się nawzajem, tylko słabość" – Ursula K. le Guin; „Jedną z kwestii, która oddziela nas od zwierząt, jest fakt, że zwierzęta produkują dokładnie tyle, ile potrzebują. Ludzie produkują więcej. Jesteśmy istotami nadmiaru" – David Graeber i David Wengrow; „Biologiczna bujność to przede wszystkim afirmacja witalności i nieskończonych możliwości: spojrzenie na świat, które jest jednocześnie pierwotne i futurystyczne, w którym płeć jest kalejdoskopowa, seksualności są wielorakie, a kategorie mężczyzny i kobiety są płynne i zmienne" – Bruce Bagemihl. Powyższe „mądrości" to oczywiście typowy zestaw hasełek i quasi-dogmatów, którymi raczy nas współczesna lewica, o zacięciu ekologicznym, które mają uczyć rodzaj ludzki, jak właściwie postępować i w jaki sposób postrzegać rzeczywistość. Okazuje się, że natura ma być wzorem dla nas, ludzi, w zakresie empatii, miłości, tolerancji, LGBT (plus aktualne dodatkowe literki) oraz ograniczenia konsumpcjonizmu. Zaś wspaniała lewica, która potrafi to piękno natury dostrzec, stara się teraz, dla naszej lepszej przeszłości, zaszczepić te naturalne zasady i w naszym społeczeństwie.

Mamy tu oczywiście do czynienia z ideologiczną propagandą, co – zważywszy na naukowy charakter placówki – jest samo w sobie dość skandaliczne. Jednak jeszcze mocniejsze jest co innego – otóż te „mądrości" to po prostu brednie. Elementarna znajomość biologii, wiedza na temat tego, w jaki sposób przebie-

2e544ff3

gała ewolucja, każe uznać te cytaty za kłamstwa wprowadzające w błąd odwiedzających. W dwóch wypadkach to kłamstwo jest także efektem, zapewne celowego, wyrwania słów autorów z szerszego kontekstu.

Brednia goni brednię

Zacznijmy od Margulis. Jej słowa odwołują się do tzw. hipotezy Gai, samej w sobie kontrowersyjnej (zwłaszcza w wydaniu tej autorki). Niemniej wyrwane z kontekstu, są one po prostu wyjątkową głupotą.

Jednym z najważniejszych momentów rozwoju życia na ziemi była tzw. eksplozja kambryjska, opisywana przez ewolucjonistów z zacięciem literackim jako wręcz swoisty rodzaj wyścigu zbrojeń. W relatywnie krótkim czasie, z powodu konkurencji o pokarm i rozwinięcia się drapieżnictwa, doszło do niebywałego wybuchu zróżnicowania form organizmów wielokomórkowych. Idźmy dalej, za powód wyjścia na ląd kręgowców uważa się konieczność coraz większej walki o zasoby w wodzie. Przykłady tego typu można mnożyć właściwie w nieskończoność – i żaden z tych kamieni milowych nie był efektem „współpracy" między organizmami.

Teraz spójrzmy na cytat ze skądinąd wspaniałej pisarki Ursuli K. Le Guin. Podobnie – wyrwany z kontekstu – okazuje się on niebywałą wprost brednią. Po pierwsze, jest nieuprawnionym przekładaniem kategorii ludzkich na inne części natury, bo jak w ten sposób opisać na przykład owady społeczne? Po drugie, nawet przy okazji organizmów dużo nam bliższym (a nawet nas samych) ta myśl nie jest niczym więcej jak myśleniem życzeniowym. W stadach szympansów nie ma zasady, że najbardziej „społeczni / etyczni" (abstrahujemy tu od polisemii tych pojęć) wygrywają, tak samo i we wspólnotach ludzkich, nie mówiąc już o tym, że w wypadku tych ostatnich jest to skrajnie uzależnione od typu kultury, jaki reprezentują.

Przyglądając się trzeciemu cytatowi, znów nie do końca wiadomo, co autorzy mają na myśli, odnosząc się do „zwierzęcej produkcji". Zapewne chodzi o jakiś rodzaj równowagi, który inne gatunki są w stanie utrzymać w relacji z ekosystemem, w jakim żyją, w przeciwieństwie do tych strasznych ludzi. To kolejne kłamstwo. Owa równowaga trwa tylko pewien okres i prędzej czy później zostaje zaburzona. Dominujące w nowych warunkach zwierzęta będą się rozwijać kosztem innych gatunków, prowadząc do zupełnego przeobrażenia danego ekosystemu. Przykładem szczury i to, w jaki sposób zniszczyły tysiące endemicznych faun i flor na rozmaitych wyspach.

Ostatni cytat, ten o płciach, jest już wyjątkowym bełkotem i brednią, o czym świadczy chociażby odnoszenie kategorii „mężczyzna" i „kobieta" do innych stworzeń niż ludzie. Owszem, bywają organizmy, które rozmnażają się na zasadzie partenogenezy, albo takie, których osobniki są hermafrodytami, bądź – w zależności od okoliczności – zmienia się ich płeć. Jednak jest to efekt milionów lat konkretnej ewolucji, która stworzyła dany gatunek, dostosowała go w wyjątkowy dla niego sposób do wyzwań ekosystemu. Nie ma więc żadnego „kalejdoskopu", jak sugeruje autor, w sensie jakiegoś swobodnego wyboru. Zaś samo pojawienie się dwóch płci w naturze było gigantycznym bodźcem ewolucyjnego rozwoju.

Obłe galarety

Jak więc widać, lewica może kocha naturę, ale tę, którą sobie wyobraziła. Czysto abstrakcyjny, wykreowany przez siebie konstrukt, który, w dalszej kolejności, jest tylko narzędziem do osiągania przez nią politycznych celów. To, co lewicowcy „kochają" w naturze, to ich własna ideologia, którą jej narzucają, tworząc jej fałszywy obraz. Stopień, w jaki negują jej realność, pokazuje jeszcze jedno – że oni *de facto* nienawidzą wszystkiego, czym ta natura tak naprawdę jest i w jaki sposób powstała. Cała różnorodność biologicznego świata, niesamowite bogactwo form i sposobów życia wypływa m.in. z ciągłej walki. Wilk, pies łowczy czy lampart są z ludzkiej perspektywy piękne właśnie z tego powodu, z tego wynika taka, a nie inna ich forma oraz sposób zachowania. Ta walka odbywa się nie tylko między innymi gatunkami, lecz nawet „wśród swoich" – to, jakie formy przybierają samce, bardzo często uzależnione jest od tego, w jaki sposób walczą o samicę etc. Gdyby postarać się wyobrazić, jak wyglądałby świat natury, gdyby kierował się prawidłami lewicy, to poza tym, że jest to właściwie niemożliwe, zapewne zamiast sierści, pazurów, kłów i najróżniejszych form mielibyśmy korowód obłych, pozbawionych specyficznych cech galaretowatych tworów, za to pełzających obok siebie w idealnej zgodzie. W lewicowym zoo może nie trzeba byłoby klatek, takie stwory nie przedstawiałyby żadnego zagrożenia tak dla siebie, jak i odwiedzających, byłyby też pod pełną kontrolą lewicowych strażników – tylko po co do takiego zoo iść?

Lewica nie może poprzestać tylko na wymyśleniu na nowo natury, a następnie samonamaszczeniu się na jej „obrońcę", musi także wskazać wroga, przed którym będzie jej bronić. Jak zwykle obrywa się przy tej okazji chrześcijaństwu. Religia ta ma być tym, co oddziela nas od przyrody, co ją neguje i niszczy. Chce ją sobie podporządkować, w myśl biblijnej frazy „czyńcie ziemię sobie poddaną". Trzymając się tego passusu, zauważmy jednak fundamentalną różnicę

eprasa.pl 8a2e544ff3

między nim a tym, co „oferuje" lewica. Otóż w biblijnej perspektywie podstawą jest Boski ład, którego tak człowiek, jak i natura są częścią. Owszem, ludzie mają uprzywilejowaną pozycję, jednak jednocześnie zostaje na nich narzucona konieczność ochrony tego, co dostali. Człowiek nie może być Bogiem, to myśl naczelna Pisma Świętego, więc nawet czyniąc ziemię sobie poddaną, nie wolno mu na nowo kreować natury, przeobrażać jej, zamieniając siebie w demiurga. Może z niej korzystać w wymiarze, w którym została mu ona dana, ale nie może stać się jej stwórcą. Tymczasem jak widzimy na przykładzie „ekologów", ci są gotowi negować wszystko, co dla biologicznego świata konstytutywne. Z płci i sposobów reprodukcji robić korowód LGBT, z agresji i ewolucyjnej walki między gatunkami jakąś quasi-utopię komunizmu. Stopień ingerencji, jakiego wymagałoby dostosowanie natury obrzydliwy i patologiczny, jest zagrożeniem, jest przeciwstawiany temu mitycznemu, lepszemu światu „natury", jest zwyrodnieniem. Oczywiście jak zwykle na lewicy – nie wszyscy jednak są tymi potworami, bowiem istnieją lepsi – elita, która stoi po stronie „natury", i są to oczywiście postępowi lewicowcy. Ta pogarda i dystynkcja jako podstawa pseudomiłości do natury potrafi, zwłaszcza w swojej popwersji, przyjąć niebywale groteskowe formy, jednocześnie pokazując, że domniemany obiekt tej miłości jest zupełnie nieistotny.

Otóż nie tak dawno większość polskiego internetu, a także polskie media rozgrzało zdjęcie, na którym widać, jak kobieta tuli się do potrąconej w wypadku sarny, właściwie się na niej kładąc. Dlaczego? Niby w ten sposób „ratowała ją przed wyziębieniem", póki nie przyjechały odpowiednie służby.

Lewica nie może poprzestać tylko na wymyśleniu na nowo natury, a następnie samonamaszczeniu się na jej „obrońcę", musi także wskazać wroga, przed którym będzie jej bronić. Jak zwykle obrywa się przy tej okazji chrześcijaństwu.

do tego typu lewackich dyrdymałów, jest prawdziwym i ostatecznym poddaniem jej pełnej kontroli człowieka i jego zachcianek.

▶ Tulmy ranne sarenki!

Mówiąc jednak o chrześcijaństwie, trudno nie przywołać myśli św. Franciszka, do którego przecież czasem i lewica usiłuje się odwołać.

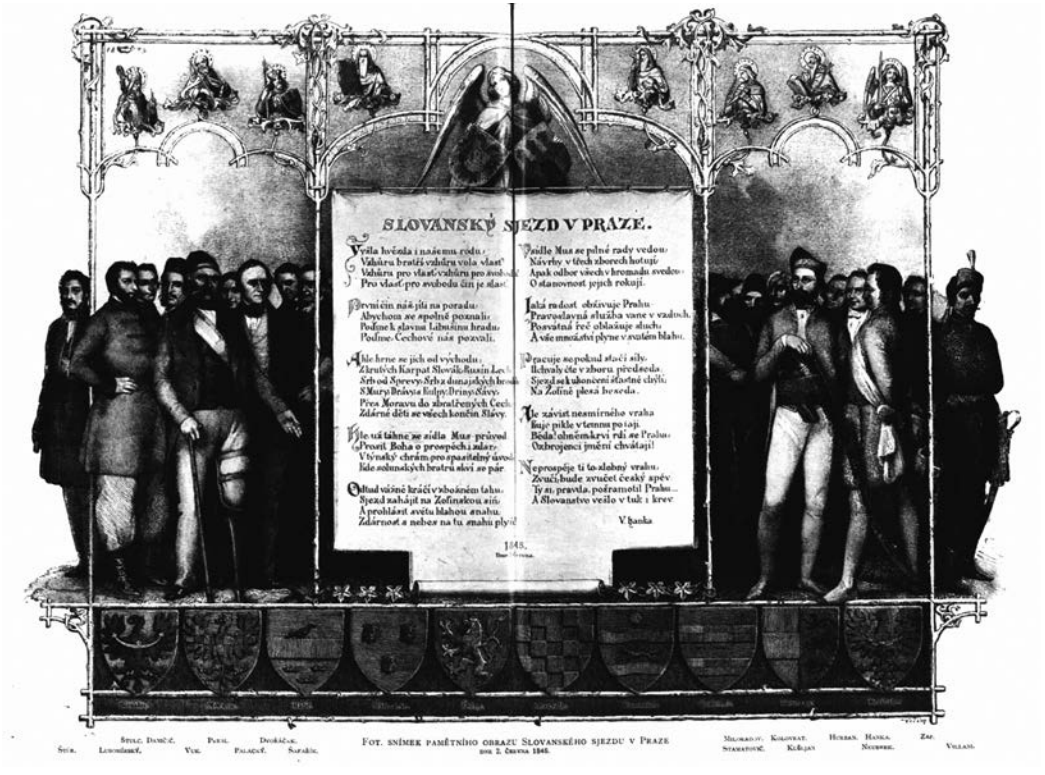
Na tym przykładzie widać dość typową dla lewicowego dyskursu cechę, jaką jest przetwarzanie myśli faktycznie chrześcijańskich, ale jednoczesne ich skrajne wypaczanie, przez co stają się swoją karykaturą, z którą poza powierzchownym podobieństwem nie mają nic wspólnego, która służy celom odwrotnym do pierwotnej myśli.

W ujęciu św. Franciszka świat jest więc pewną całością, zaś człowiek, z racji dobroci Boga, ma obowiązek, a także niesamowitą możliwość świadomego współuczestniczenia w tym cudzie, obserwowania go. W jego myśli istnieje element wszechogarniającego optymizmu, który, po pierwsze, nie neguje tego, jak naprawdę wygląda natura; po drugie, odnosi się do człowieka, w końcu także bytu będącego składową tego cudu. Tymczasem u naszej lewicy ekologia okazuje się elementem dystynkcji i pogardy. Człowiek jest

Cały ponury dowcip tej sytuacji polegał na tym, że ta kobieta zrobiła coś niedopuszczalnego, co mogło tę sarnę wręcz zabić (a także ją samą narazić na znaczny uszczerbek na zdrowiu). Ta kobieta nie wiedziała w końcu, co zwierzęciu jest, więc tulenie się do niego mogło tylko pogłębić uraz (zresztą w wypadku ludzi, pamiętajmy, obowiązuje dokładnie ta sama zasada), nie mówiąc już o upiornym stresie dla zwierzęcia. Jeśli nawet, na co nie ma żadnych dowodów, w tym wypadku przyniosło to pozytywny skutek, to ten model zachowania jest czystą patologią i okrucieństwem wobec zwierząt, co potwierdzał każdy, kto zajmuje się tym tematem. No ale ten niuans nikogo już nie interesował. Liczyło się bowiem co innego. Nagle tysiące komentujących mogło poczuć się, razem z tulącą kobietą, lepszymi. Właściwie większość komentarzy uderzała dokładnie w ten sam ton: „odzyskałam wiarę w ludzi", „durny Polak tego nie zrozumie", „istnieją jeszcze ludzie w Polsce, którzy mają uczucia, polski Janusz zrobiłby z niej kiełbasę" etc.

Jak widać, cierpiące zwierzę jest tylko narzędziem do poprawiania własnych emocji i określania swojego statusu (tu moralnego) względem reszty społeczeństwa. Nawet kosztem dobrostanu tego cierpiącego stworzenia. To chyba mówi wszystko o tym, na ile tego typu „miłość do natury" jest prawdziwa. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3



FOT. SNÍMEK PAMĚTNÍHO OBRAZU SLOVANSKÉHO SJEZDU V PRAZE

Jakub Augustyn Maciejewski



PANSLAWIZM

– od naiwności do zawłaszczenia

Sama idea jedności wszystkich narodów słowiańskich brzmiała sielankowo, choć od początku zawierała fundamentalne błędy, które sprawiały, że jej realizacja była zupełnie niemożliwa. Ale później wzięli się za nią Rosjanie – i stało się jeszcze gorzej. Zwłaszcza dla Polski.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Poczucie bliskości narodów słowiańskich obserwuje się w życiu codziennym dość powszechnie. Podczas podróży do krajów z tej samej grupy kulturowej każdy żywo odnotowuje, które słowa brzmią tak samo, które podobnie, a które śmiesznie lub odwrotnie. Po rosyjsku słowo „zapomnij» oznacza „zapamiętaj», a więc odwrotnie niż u nas, ale ewidentnie słowa „kuda» i „dokąd» mają wspólnego przodka. Język czeski w internetowej popkulturze nazywany jest „funny Polish», a w naszych narodowych dowcipach i memach wiele jest drwin z brzmienia różnych fraz u naszych południowych sąsiadów. Ta wspólnota językowa nie jest tak powierzchowna – Serbowie bałkańscy i Serbołużyczanie w Niemczech mieli swoich wspólnych praprzodków, którzy prawdopodobnie pospierali się jakieś 1300 lat temu i rozeszli w dwóch różnych kierunkach. Pierwsi ewangelizatorzy naszych terytoriów – św. Cyryl i Metody – uznali, że naszej mowie potrzebny jest alfabet inny niż łaciński czy grecki. Nawet wtedy widziano, że język był dla Słowian ważniejszy niż dla innych ludów – wszak sama nazwa tej grupy pochodzi od wyrazu „słowo", a zupełnie niezrozumiały naród jest jak „niemy", jest „Niemcem". Miewamy podobne nazwy miesięcy i dni tygodnia oraz pór roku, co pokazuje sentyment do krajobrazu i wspólny dla wszystkich klimat. Anglosaski, połaciński (choć przyjęty też w Rosji) miesiąc grudzień jako „dekjabr" /„december" przypomina o tym, że w starożytnym Rzymie był to 10. miesiąc roku, ale nie opowiada o ziemi zmarzniętej, twardej na grudę (grudzień). Możliwe więc, że narody słowiańskie mają też jakieś wspólne elementy mentalności, jakąś psychologiczną charakterystykę, skoro w historii znane były z niechęci do wojen najeźdźczych, spokojnego osiedlania się, toczenia walk właściwie obronnych, zamiłowania do życia na prowincji. „Sławianie, my lubim sielanki" – pisał wybitny znawca tej części Europy Adam Mickiewicz, wykładając to w Paryżu w latach 30. XIX wieku. Ale właśnie w tamtych czasach mitologizowanie przeszłości i ludowych wierzeń doszło do szczytowego punktu historii i zanadto – w owej właśnie epoce romantyzmu – przeszło w wyobrażenia polityczne. Niemcy jednoczyli się po tysiącleciu rozdrobnienia feudalnego, Francuzi czuli się narodem po zdobyczach Napoleona, Włosi marzyli o stworzeniu jednej politycznej Italii i oto Polacy, Czesi czy Chorwaci, którzy także nie mieli swojego odrębnego państwa, przeszli w analogiczne rozważania o wielkim zjednoczeniu. Choć przecież analogii tu nie było – Niemiec z Wirtembergii i Niemiec z Saksonii doprawdy byli bardzo podobnymi do siebie Niemcami, ale Polak z Podlasia, Czech z Pragi i Serb z pogranicza tureckiego należeli do różnych światów i odrębnych tradycji polityczno-historycznych. Próbowano jednak uwierzyć w coś innego.

Zjazd naiwny

W 1848 roku liberalne społeczności Europy zerwały się do buntu przeciwko autorytarnym reżimom. W czasie wiosny ludów przedparlament takich Niemców we Frankfurcie wzywał – oprócz postulatu o utworzeniu demokratycznego Związku Niemieckiego – do poszanowania odrębności Polaków. Wielu Słowian było poddanymi cesarza austriackiego – Polacy, Czesi, Słowacy, Chorwaci, Serbowie i Słoweńcy zamieszkiwali to środkowoeuropejskie imperium z istniejącą nadzieją, że może to będzie także ich imperium. O niepodległości mało kto wtedy – poza Węgrami – myślał. 2 czerwca 1848 roku do Pragi zjechali przedstawiciele narodów słowiańskich, także z Polski, nawet tej pod zaborem rosyjskim. Jednym z przedstawicieli był Aleksander hrabia Wielopolski, ten sam, który po 15 latach będzie orędownikiem polskiego posłuszeństwa wobec rosyjskich carów. Wszystkich delegatów było 340, z czego 50 Polaków. Wśród nich byli i demokraci spod znaku Karola Libelta, i konserwatyści w postaciach Jerzego Henryka Lubomirskiego, Leona Sapiehy czy przedstawiciele paryskiego Hotelu Lambert księcia Adama Czartoryskiego. Byli też jednak Polacy ze Śląska, na przykład Paweł Stalmach.

Zjazd w Pradze uznaje się za początek instytucjonalnego panslawizmu, bo z kręgu poezji, baśni i biesiad pomysł wspólnoty narodów tej grupy językowej przekuwał się w debatę polityczną w stolicy jednego ze słowiańskich krajów.

Polacy mieli w tym gremium pozycję relatywnie najsłabszą, choć przecież prezentowali najliczniejszy słowiański naród. Podzieleni na trzy zabory, mieliśmy jednak mniejszą siłę oddziaływania, choć najważniejszy spór dotyczył innej różnicy – stosunku Polaków do Rosji i Węgrów. Czechom Rosjanie nie kojarzyli się źle, Polakom – jak najbardziej. Z kolei Węgrzy byli od wieków naturalnymi sprzymierzeńcami Krakowa czy Warszawy i Polacy sympatyzowali z powstaniem węgierskim przeciwko Wiedniowi. W dziesięciodniowych debatach powstawały nadzieje o tym, że Austria może stać się opiekunką narodów słowiańskich, które będą mogły zachować tu swoją odrębność kulturową. Zredagowano nawet Manifest do ludów Europy, który definiował Europę jako wspólnotę kręgów narodowych, wśród których każda z nich wykazywała znaczne różnice. Słowianie byli właśnie bardziej pokojowi, nie dokonywali podbojów, cenili wolność. „Słowianie, którzy zdawien

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 8a2e544ff3

dawna wolność tem więcej i namiętniej kochali, im mniej czuli w sobie żądzy i popędu do panowania i podboju; którzy przez wrodzoną ku niezawisłości skłonność wszelkiemu wyrabianiu się wyższej centralnej władzy stawali zawsze sami na przeszkodzie, – Słowianie w biegu wieków popadali plemię po plemieniu w stan zależności; przez politykę, w oczach świata dawno już wedle zasługi potępioną, został na koniec bohaterski Naród szlachetnych braci naszych Polaków politycznego bytu swego pozbawionym». I oto działacze zjazdowi apelowali o uznanie praw „najmłodszych, ale nie najsłabszych" ludów – czyli Słowian. Miało się to dokonać za pomocą wielkiego kongresu międzynarodowego, czegoś na kształt obrad wiedeńskich 1815 roku. Zamiast rozmów dyplomatów przyszły austriackie armaty. Zamieszki przeciw władzy w czeskiej stolicy sprowokowały austriackiego księcia Alfreda Windischgrätza do stłumienia powstania – pociski artyleryjskie i kawaleria z pałaszami pięć dni doprowadzały Pragę do pierwotnego początku. Zszokowani panslawiści (może poza przyzwyczajonymi do działań zaborców Polakami) rozjechali się do domów.

Przykładów oderwania od rzeczywistości było tam więcej – Polacy przecież z Rusinami (Ukraińcami) więcej czuli antagonizmów niż powodów do porozumienia, administracja z Wiednia umiejętnie też te różnice rozgrywała. Rosjanie też nie za bardzo Słowian przypominali. Jeden z agentów księcia Czartoryskiego, Bystrzonowski, nakreślił przedstawicieli jako dość marnych: „[…] cała owa Słowiańszczyzna jest w rzeczywistości daleko niżej od naszych wyobrażeń o niej […]. Kroaty zepsuci i bez uczucia narodowości […] Serbowie austriaccy sami przez się onej nie posiadają lecz są poczciwi. Serbskie księstwa są w opłakanym stanie moralnym».

Panslawiści definiowali siebie jako stroniących od podbojów, spokojnych, uprawiających własne pola – trudno o widok bardziej sprzeczny z naturą rosyjską, która tak bardzo została zdominowana przez mongolskie podboje. Naiwny ten zjazd pozostawił sporo sentymentu, ale zero konkretów. Choć tajnej policji rosyjskiej pomysł ten nie umknął w analizach. Bo może by tak zamiast wizji Austrii protektorki podsunąć Rosję protektorkę? Dwie dekady później powtórzono zjazd, choć w cynicznej i groteskowej formie.

Zjazd imperialny

Zjazd panslawistów w Moskwie 1867 roku nie doczekał się poważnego opracowania, bo piszący o nim Mieczysław Tanty nakreślił go w czasach komunistycznych zgodnie z cenzorskimi i ideologicznymi wymogami. A był to zjazd nie tak spontaniczny i naturalny, jak chcieli go przedstawiać Rosjanie. Choć w literaturze przedmiotu opisuje się skromność przedsięwzięcia, to mało kto wskazuje na dowody, że tajna carska policja polityczna czuwała nad tym projektem dla realizacji planów kremlowskich pod-

„Sławianie, my lubim sielanki" – pisał Adam Mickiewicz, wykładając to w Paryżu w latach 30. XIX wieku. Ale właśnie w tamtych czasach mitologizowanie przeszłości i ludowych wierzeń doszło do szczytowego punktu historii i zanadto – w owej właśnie epoce romantyzmu – przeszło w wyobrażenia polityczne.

bojów. Skąd więc wiemy, że intelektualne rozmówki przedstawicieli narodów słowiańskich w kwietniu 1867 roku w Moskwie nie były takie niewinne i szczere?

Organizatorem zjazdu był Słowiański Komitet Dobroczynny, założony w 1858 roku przez Michaiła Katkowa i Iwana Aksakowa. Powiązani z imperialną polityką ministerstwa spraw zagranicznych działacze byli pod ścisłą kontrolą władz carskich i sami zresztą wspierali najradykalniejsze wersje ówczesnego imperializmu. Aksakow pisał na przykład: „Rosja nie może ukrywać wspólnoty plemiennej i związku z 80 milionami Słowian, ani swego pokrewieństwa ze znajdującymi się poza jej granicami, jak by nie było 30 milionami austriackich i tureckich poddanych". Szkic tego tekstu był dopuszczony przez cenzurę po konsultacji z ministerstwem spraw zagranicznych Rosji, kierowanym wówczas przez Aleksandra Gorczakowa. Promowanie panslawizmu i Rosji jako przyjaciółki i opiekunki Słowian odbywało się poprzez delikatne balansowanie pomiędzy budowaniem wspólnoty z Czechami czy Bułgarami a niedrażnieniem Wiednia i Stambułu, którym te na-

eprasa.pl 8a2e544ff3

rody podlegały. Wszak prasa Habsburgów ostrzegała, piórem dziennikarza gazety „Debatte", że „braterstwo na panslawistycznej postawie to spisek przeciwko Austrii". Dlatego przejęcie idei „braterstwa" Słowian musiało odbyć się bardziej dyskretnie, pod jakimś niepolitycznym pretekstem. Dobrą okazją była organizacja wystawy antropologicznej w Moskwie. Wielka carska Rosja miała pokazać codzienność licznych ludów syberyjskich, środkowoazjatyckich czy kaukaskich, padła więc i propozycja stworzenia osobnego działu „słowiańskiego". W ten pomysł włączył się na przykład Mikołaj Pogrebow, mer Petersburga, a więc ścisły wykonawca poleceń cara. Na „wystawę słowiańską" zaproszono więc intelektualistów z Austrii i Bałkanów, przecież rozmowa o zwyczajach ludowych i starych baśniach nie ma w sobie za grosz prowokacji. A jednak do realizacji planu ruszyli w teren specjalni rosyjscy agitatorzy. Na Ukrainie do panslawizmu i do odwiedzenia Moskwy zachęcał Józef Liwczak, do Czechów pojechał Kornysl z Rakowic, zachęcono też redakcję chorwackiej gazety „Pozor» do zareklamowania moskiewskiego wydarzenia. Słowiański Komitet Dobroczynny rozesłał listy do lokalnych autorytetów z Czech czy Bałkanów, zaś szef rosyjskiej żandarmerii Piotr Szuwałow załatwiał darmowe bilety kolejowe i przepustki do łatwiejszego przekroczenia granicy, a admirał Freigang sfinansował przyjazd przedstawicielom uboższej wspólnoty Serbów Łużyckich. Po drodze delegaci spotykali się z uroczystym przyjmowaniem w poszczególnych miastach, gdzie zjawiały się lokalne władze i zespoły ludowe z kwiatami i miejscowymi pieśniami. Wiele z tych praktyk przeszło później wprost do tradycji sowieckich ustawek dla zagranicznych gości.

Kolejnym dowodem na ścisłe powiązania zjazdu z operacją tajnej policji było koordynowanie prasy rosyjskiej na potrzeby panslawistów. Petersburski „Gołos" stał się oficjalną trybuną dla referatów zjazdu, zaś najważniejsza słowianofilska gazeta, „Moskwa", na czas wydarzenia przestała się ukazywać – obawiano się eskalacji oczekiwań i prowokowania Austrii i Turcji.

Polaków nie było

Entuzjazm do tego projektu był dalece mniejszy niż na zjazd praski, ale na przykład Czesi okazali się jego sporymi entuzjastami, a i inne narody przysłały ciekawych działaczy. Wśród Słoweńców był na przykład Matija Majar, który orędował stworzenie i przyjęcie jednego języka słowiańskiego. Z Serbii przyjechał sam minister sprawiedliwości Milan Petronijević. Polaków nie było.

I tu trzeba przypomnieć, że rok 1867 był ledwie drugim rokiem po ostatecznym upadku polskiego powstania styczniowego, krwawo stłumionego przez władze rosyjskie. Sami Rosjanie, choć w opozycji do cara, przyjmowali to za antysłowiańską hańbę. Aleksander Hercen wspominał przy okazji zjazdu 1867 roku „okrwawione pola słowiańskiej Polski zdławionej przez słowiańską Rosję". Podczas obrad rozpowszechniano antypolski sceptycyzm wobec nieobecności delegacji z Warszawy i Krakowa. Badacz tamtego wydarzenia, M. Tanty, tak scharakteryzował postawy wobec naszego kraju: „Słowianofile byli gotowi przyjąć Polaków do rodziny słowiańskiej, ale tylko pod warunkiem pokajania się i wyrzeczenia się przez nich zasad Zachodu". Zwłaszcza katolicyzm Polaków i marzenia o niepodległym państwie drażniły organizatorów zjazdu. Rosyjski ekspert ds. polskich, książę Włodzimierz Czerkasski, nie potrafił nawet wymówić na głos nazwy Polski, mówiąc jedynie o „guberniach nadwiślańskich Cesarstwa". Próbowano wręcz rozpętać antypolskie nastroje, skoro Katkow stwierdzał, że Polska obok Rosji istnieć po prostu nie może, a wielki książę Konstanty proponował nowy podział Polski – Rosja miała sięgać do Wisły, a zachodnia część kraju miała być włączona do federacji z Czechami. Rozpowszechniano oszczerstwa na temat polskiej szlachty i powstania styczniowego i planowano, jak zmusić nasz kraj do panslawizmu. W tych dywagacjach większość uczestników zjazdu nie brała udziału, a niektórzy otwarcie Polski bronili – na przykład ukraiński działacz Platon Kostecki. Z emigracji zaś wielki autorytet rosyjskiej inteligencji pisał: „Zabrawszy temu narodowi wszystko, zostawcie mu przynajmniej jego żałobę, jego nieobecność na waszych ucztach".

Owoce zjazdu nie były spektakularne

Celem organizatorów było wzbudzanie sympatii do Rosji jako oparcia dla narodów słowiańskich. Tonowano jednak oczekiwania, mówiono o „punkcie oparcia", o „idei słowiańskiej", chociaż rozmówcom wymsknęły się i poważne wizje polityczne. Otoczenie carskiego brata, Konstantego, wspominało o pozarosyjskich krajach słowiańskich jako „secundogeniturze" Romanowów. A więc najstarszy syn byłby carem, a młodszy – królem reszty Słowian, gdy rozpadną się już Austria i Niemcy. Jeden z delegatów, Emanuel Vavra, wspominał nawet o Federacji Rosyjskiej, co nie odbiegało zbytnio od dzisiejszej rosyjskiej konstytucji. Jeden z Serbów nazywał Rosję przyszłą wyzwolicielką, inny z delegatów wyrażał nadzieję na hegemonię Rosji w przyszłym słowiańskim świecie.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Owoce zjazdu nie były spektakularne, ale przetarły ścieżkę Moskalom. Polacy w całej Europie gwałtownie krytykowali rosyjski koncept, wielu działaczy z innych krajów ulegało polskiej stanowczości i ostracyzmowi. Julian Klaczko w Paryżu demaskował cały panslawizm jako rosyjską zabawkę do podporządkowania sobie kolejnych połaci Europy, na panslawistów patrzono jak na zdrajców.

Słowiański Komitet Dobroczynny próbował założyć swoje oddziały w różnych stolicach Europy Środkowej, ale z mizernym skutkiem. Agenci niemieccy, austriaccy i osmańscy czuwali, by te spotkania za bardzo nie wyrosły. Późniejsze o dwie-trzy dekady komitety rewolucyjnych socjalistów gładko weszły w buty panslawistów, jednak zamiast podbitych narodów słowiańskich za przedmiot troski postawiły „klasę robotniczą". Bolszewicy zaś z entuzjazmem podchwycili panslawizm dla swoich dalekosiężnych celów. Zwłaszcza Stalin umiał na tym instrumencie zagrać.

Panslawiści sowieccy

Stalin był wielkim znawcą historii Rosji, a jego specjalizacja w pierwszym bolszewickim Politbiurze dotyczyła właśnie polityki narodowościowej. Szybko zaadoptował dawne rosyjskie pomysły do czerwonej rzeczywistości. I tak jak dla panslawistów Rosja miała być starszą siostrą w aspekcie narodowym, tak dla bolszewików Rosja miała być starszą siostrą socjalistyczną. Ale sentymentów słowiańskich Stalin nie porzucił. Jeszcze w 1921 roku postulował politykę tworzenia republik „socjalistycznych treści, ale narodowych w formie». Wyrażał przekonanie, że „nie można iść wbrew historii i dlatego rozwój kultur narodowych jest zobowiązaniem dla komunistów». Akcent na samym panslawizmie położono szczególnie po 1941 roku, gdy Niemcy napadły na Związek Sowiecki i Moskwa potrzebowała wykreować solidarność narodów przeciwko nazistom. Wtedy właśnie powstał Komitet Pansłowiański, przekształcony później w Słowiański Komitet ZSRS, wydający czasopismo „Sławianie". Członkowie komitetu napisali łącznie 16 tys. artykułów, upierając się przy tezie odwiecznego słowiańskiego braterstwa, podporządkowując złożoną historię regionu nie tylko drodze ku socjalizmowi, lecz także słowiańszczyźnie (a nie tylko walce klas) jako motorowi historii tej części świata.

Stalin stanowił spiritus movens tej intelektualnej koncepcji. Zaszczepiał ją stanowczo swoim wasalom. W grudniu 1943 roku, podczas bankietu na Kremlu na cześć współpracy z Czechosłowacją, mówił Eduardowi Beneszowi o „konieczności wzajemnej współpracy Słowian". Prezydent z Pragi usłyszał, że „do tej pory Niemcy byli w stanie dzielić Słowian, współpracując z jednymi Słowianami przeciwko drugim i zwracając ich przeciwko sobie. Od tej pory Słowianie muszą być zjednoczeni". Z kolei Polacy w kwietniu 1944 roku słyszeli o bitwie pod Grunwaldem jako przykładzie słowiańskiego zjednoczenia, które jest marzeniem Stalina.

W marcu 1945 roku, gdy zakres wpływów Kremla na mapie Europy był już znany, Stalin tak mówił czechosłowackiej delegacji: „Jesteśmy nowymi słowianofilskimi leninowcami, słowianofilskimi bolszewikami, komunistami, którzy opowiadają się za jednością i sojuszem narodów słowiańskich. Uważamy, że bez względu na różnice polityczne i społeczne, niezależnie od różnic społecznych i narodowościowych, wszyscy Słowianie muszą sprzymierzyć się ze sobą przeciwko wspólnemu wrogowi – Niemcom. Historia Słowian uczy nas, że ich sojusz jest niezbędny do obrony Słowiańszczyzny". A kto Słowian miał bronić przed Rosją? O tym, rzecz jasna, nie mogło być mowy.

Nie tylko ideologia potwierdza powiązania socjalizmu z panslawizmem. Powojenna mapa Europy przypomina najśmielsze marzenia delegatów zjazdu z Pragi czy Moskwy 1867 roku i zasięg sowieckich wpływów na Łabie i po Adriatyk pokrywa się z najdalszymi wpływami średniowiecznej słowiańszczyzny. Socjalizm i sowietyzm jako ideologia szersza niż panslawizm pozwoliły gładko w orbitę rosyjskiego starszeństwa wpisać jeszcze niesłowiańską Rumunię i Węgry, a nawet NRD. Tutaj wystarczyło oprzeć się na zróżnicowaniu losów Zachodu i Wschodu Europy, pozostawiając jednak tych samych wrogów, na przykład niemieckich militarystów (wtedy: zachodnie Niemcy).

***

Dziś nie ma już oficjalnych instytucji, które promowałyby panslawizm jako całościową ideę lub adoptowałyby ją do nowych realiów. A jednak w punktowej rosyjskiej propagandzie próbuje się ten sentyment jakoś podtrzymać. Wspominano o jedności Słowian podczas bombardowania Serbii w latach 90., łączy się słowiańską sielankowość z dawną, rzekomą, spokojnością czasów socjalistycznych. Gdzieniegdzie pojedynczy influencerzy na Bałkanach promują „hymn słowiański» albo zachwycają się podobieństwami języków czy kultur ludowych naszego regionu. Nie ma jednak wątpliwości, że ta niewinna fascynacja może przerodzić się w polityczną naiwność lub kolejną operację kremlowskich instytucji. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3



FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

Małgorzata Matuszak



DZIEŃ CISZY, KTÓRY MÓWI O ŻYCIU

Jak przypomina Martin Heidegger – świadomość śmierci nie odbiera życiu sensu, lecz go przywraca. Tylko ten, kto wie, że umrze, potrafi naprawdę żyć. Wszystkich Świętych nam tę świadomość przywraca: każda świeca zapalona na grobie to nie tylko znak pamięci, lecz także akt odwagi wobec przemijania.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Uroczystość Wszystkich Świętych bywa postrzegana jako dzień zadumy nad śmiercią, jako czas ciszy, odwiedzin cmentarzy i wspomnień o tych, którzy odeszli. Ale w swojej najgłębszej warstwie to święto nie święci śmierci, lecz życie. Życie, które ma sens, nie kończy się bowiem w chwili przemijania. Życie, które domaga się pamięci, wiary i wdzięczności. W świecie, który coraz bardziej unika milczenia i refleksji, te dni są jednym z nielicznych momentów, kiedy człowiek może się zatrzymać i zadać pytanie: po co żyję? ku czemu zmierzam? To nie tylko chrześcijańskie święto pamięci, lecz także okazja do przebudzenia – duchowego, moralnego i egzystencjalnego. Bo może dopiero w blasku zniczy i w ciszy cmentarzy zaczynamy naprawdę widzieć, jak żyjemy.

Diagnozy współczesności: życie bez *sacrum*

Nie sposób zrozumieć, do czego wzywa nas uroczystość Wszystkich Świętych, jeśli nie przyjrzymy się najpierw temu, jak żyje człowiek współczesny. Jego codzienność to rytm wielkich miast, ekranów i pośpiechu – świat, który coraz częściej pozbawiony jest *sacrum*. Ten rytm wielkich miast przeniósł się dziś także do mniejszych miejscowości. Dawne oazy spokoju stają się coraz bardziej podobne do metropolii: tempo życia przyspiesza, ludzie żyją w pospiechu, z oczami utkwionymi w ekranach. Ci z małych miast marzą o przeprowadzce do większych, by „naprawdę zacząć żyć", a ci z wielkich uciekają na prowincję w poszukiwaniu spokoju, lecz często przynoszą tam własny niepokój. Internet zrównuje wszystkich, odbierając miejscom dawny rytm i to, co stanowiło o ich lokalnym *sacrum*.

Współczesny człowiek, nawet jeśli odczuwa potrzebę transcendencji, ma trudność, by ją zaspokoić w rzeczywistości zdominowanej przez użyteczność, technologię i konsumpcję. Jak pisał Charles Taylor, człowiek nowoczesny nie tyle odrzucił Boga, ile żyje w świecie, w którym „Bóg przestał być oczywistością". Przestrzeń życia została „odczarowana", a dawne rytuały utraciły swą moc. Mircea Eliade zauważył, że człowiek religijny potrzebuje „osi świata" – miejsca świętego, które nadaje sens jego egzystencji. Dzisiaj tę oś zastąpiły centra handlowe, aplikacje i portale społecznościowe. Nasze „święte miejsca" stały się przestrzeniami konsumpcji. Zamiast *sacrum*, w centrum współczesnego życia znajduje się kultura przyjemności. W świecie późnego kapitalizmu i cyfrowej rozrywki człowiek podąża za tym, co natychmiastowe, błyskotliwe i łatwe. Zygmunt Bauman nazwał to „płynną nowoczesnością" – rzeczywistością, w której wszystko jest tymczasowe: relacje, praca, przekonania, a nawet tożsamość. W takim świecie nie ma przestrzeni na refleksję o wieczności.

Święto Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny ze swoją ciszą i skupieniem stają się więc kontrapunktem dla hałasu współczesności. Są przypomnieniem, że nie wszystko można przeliczyć na zysk, a nie każdą wartość da się zamknąć w ekranie. W świecie, który unika pytań o sens, święto to może stać się momentem duchowego zatrzymania.

Czy jednak człowiek XXI wieku, który często odwraca się od instytucji religijnych, może jeszcze odnaleźć *sacrum*? Być może tak, choć często robi to w nieuświadomiony sposób. Szuka go w naturze, w ciszy, w sztuce, w spotkaniu z drugim człowiekiem. Duchowość nie zniknęła, lecz często zapomina o swoim źródle. A przecież dla chrześcijan ma ona Imię: Bóg, który jest Miłością i w którym każda chwila, nawet przemijanie, ma sens.

Śmierć i pamięć jako formy obecności

Jednym z najbardziej charakterystycznych rysów współczesnej kultury jest zaprzeczenie śmierci. W reklamach, filmach i mediach społecznościowych króluje kult młodości, zdrowia i energii. Starzenie się traktowane jest jak „błąd systemu", który należy jak najszybciej ukryć. Jak pisał Ernest Becker w książce „Zaprzeczanie śmierci"(„Denial of Death"), cała kultura Zachodu to ogromny mechanizm obronny, mający na celu wyparcie świadomości śmierci.

W przeciwieństwie do dawnych pokoleń, które oswajały się ze śmiercią przez rytuał, modlitwę i symbolikę, współczesny człowiek unika jej jak temat tabu. Nawet w języku unikamy słów „śmierć", „umarł", zastępując ją eufemizmami: „odszedł", „zasnął", „zgasł". Tymczasem – jak przypomina Martin Heidegger – świadomość śmierci nie odbiera życiu sensu, lecz go przywraca. Tylko ten, kto wie, że umrze, potrafi naprawdę żyć. Wszystkich Świętych nam tę świadomość przywraca: każda świeca zapalona na grobie to nie tylko znak pamięci, lecz także akt odwagi wobec przemijania. W kulturze, która woli halloweenowe maski niż ciszę cmentarza, powrót do prawdziwego znaczenia tego święta może być formą duchowego sprzeciwu wobec zapomnienia.

Kultura pamięci odgrywa zaś kluczową rolę w zachowaniu duchowej tożsamości. W epoce cyfrowej, w której wszystko staje się chwilowe, pamięć o zmarłych ma wymiar oporu wobec zapomnienia. Każdy grób to nie tylko ślad przeszłości, lecz także zobowiązanie – by pamiętać, kontynuować, trwać. Jak pisał Cyprian K. Norwid, „bo nie jest światło, by pod korcem stało" – człowiek, który pamięta, niesie w sobie światło poprzednich pokoleń. Współczesność próbuje zastąpić pamięć archiwum – plikiem w chmurze, algorytmem wspomnień. Prawdziwa pamięć nie jest jednak zapisem danych, tylko aktem miłości.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Dlatego Wszystkich Świętych można odczytywać nie tylko jako wspomnienie tych, którzy odeszli, lecz także jako wezwanie do odpowiedzialności za własne dziedzictwo. Życie nie kończy się w dniu śmierci, jeśli zostawimy po sobie dobro, troskę, wartości. W ten sposób żyjemy dalej w pamięci innych – nie jako wspomnienie, lecz jako obecność.

W ten sposób wszystkich Świętych może stać się mostem między tym, co religijne, a tym, co uniwersalne. To dzień, w którym nawet osoby niewierzące przystają w zadumie. Cmentarze wypełniają się światłem zniczy, jakby w milczeniu rodziła się wspólna modlitwa za istnienie. W tym sensie uroczystość ta może być punktem spotkania między pokoleniami, światopoglądami, a nawet wiarą i niewiarą.

Samotność – o zanikaniu pamięci i dziedziczenia życia

Drugim znakiem naszych czasów jest samotność – paradoksalna, bo dziejąca się w epoce nieustannej komunikacji. Człowiek współczesny, choć otoczony ludźmi i połączony z całym światem przez sieci cyfrowe, coraz częściej czuje się wewnętrznie pusty. Media społecznościowe oferują iluzję więzi – lajki zamiast spojrzeń, komentarze zamiast rozmów, emotikony zamiast obecności. Życie współczesne przypomina fast food – szybkie, intensywne, kolorowe, lecz bez smaku. Relacje są krótkie, funkcjonalne, podporządkowane przyjemności. Współczesny człowiek boi się zaangażowania, bo ono wymaga odpowiedzialności i wyrzeczeń. Woli więc pozostać w stanie „pół-bliskości", bez ryzyka bólu i zobowiązania.

Samotność współczesnego człowieka nie jest już jednak tylko jego prywatnym doświadczeniem, ale staje się cywilizacyjnym znakiem. Coraz częściej dotyka całych wspólnot i rodzin, które przestają pełnić swoją dawną funkcję źródła oparcia i pamięci. Tam zaś, gdzie zanika zdolność tworzenia głębokich więzi, pojawia się też niechęć do ich przekazywania dalej – do rodzicielstwa, do budowania ciągłości pokoleń. Widać to we współczesnym kryzysie rodziny i coraz bardziej powszechnej bezdzietności z wyboru. Coraz więcej ludzi wybiera życie samotne lub w bezdzietnym związku, odkładając decyzję o dzieciach na „później", która często nigdy nie nadchodzi. Wychowany w kulcie indywidualizmu człowiek współczesny postrzega rodzicielstwo jako ograniczenie wolności, przeszkodę w samorealizacji, a nie – jak kiedyś – jako sposób przekroczenia własnego życia i nadania mu sensu. Dopóki jest młody i otoczony ruchem miasta, nie dostrzega, że wybiera drogę ku samotności. Dopiero z wiekiem, gdy gwar cichnie, pojawiają się pytania: kto mi poda rękę w chorobie, kto będzie o mnie pamiętał, kto zapali kiedyś świeczkę na moim grobie? Czy życie przeżyte tylko dla siebie może być naprawdę dobre?

Jednak nawet i ci, który mają dzieci, nie zawsze unikają samotności. W rytmie pracy, migracji i cyfrowych więzi brakuje dziś miejsca na powolność i obecność. Starsi ludzie często doświadczają opuszczenia, niekiedy nie z braku miłości, lecz z braku czasu. Wspomnienie o nich przenosi się do sieci, w świat zdjęć pozbawionych dotyku i poczucia prawdziwej bliskości.

Święto Wszystkich Świętych boleśnie uświadamia, jak wiele z tych więzi zanikło. Coraz więcej jest grobów, przy których nikt się nie zatrzymuje – milczących świadectw życia przeżytego w izolacji. A przecież tylko w relacji z drugim człowiekiem, w trosce o tych, którzy przyjdą po nas, nasze życie może zyskać wymiar trwania. Być może właśnie o tym przypomina nam również to święto: że pamięć o innych i troska o przyszłe pokolenia są formą zwycięstwa nad śmiercią.

Refleksje na cmentarzu

Cmentarz to jedno z niewielu miejsc, w których możemy spojrzeć na siebie z dystansu. Wobec ciszy grobów ustaje hałas codzienności, a pytania, od których uciekaliśmy, wracają z całą mocą. Kim jestem? Co po mnie zostanie? Czy żyję w prawdzie wobec tego, co przemija? Być może właśnie ten coroczny rytuał odwiedzania grobów naszych bliskich ma szansę obudzić nas z letargu współczesności. Może przypomni, że nasze życie, choć krótkie, ma sens wtedy, gdy jest darem – dla innych, dla przyszłych pokoleń, dla dobra, które nas przerasta.

Chrześcijaństwo nas uczy, że śmierć nie jest końcem, lecz przejściem, wstępem do pełni życia. Ale nawet poza wiarą myśl o śmierci może być początkiem mądrości. Bo dopiero wtedy, gdy uznamy własną kruchość, możemy naprawdę zrozumieć wartość chwili, drugiego człowieka i własnego istnienia. Uroczystość Wszystkich Świętych jest zatem nie tylko wspomnieniem tych, którzy odeszli, lecz także duchowym wezwaniem dla nas, żyjących – byśmy potrafili żyć w świetle wieczności, a nie w cieniu chwilowej przyjemności.

Dzień Wszystkich Świętych przypomina, że człowiek nie jest samotną wyspą w czasie, lecz częścią większej wspólnoty – tej ziemskiej i tej wiecznej. Że życie, nawet w epoce pośpiechu i rozproszenia, może być święte, jeśli się je przeżywa w świetle wiary, pamięci i miłości. Śmierć nie jest końcem, lecz bramą; przemijanie nie musi być klęską, jeśli prowadzi do pełni. W świecie, który tak często mówi o braku sensu, to święto jest cichym świadectwem nadziei – że w Bogu każda łza, każda pamięć i każdy gest miłości znajdują swoje ocalenie. To nie dzień żałoby, lecz święto życia, które trwa. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3



Ewa Polak-Pałkiewicz



Przyczyny zapaści demograficznej, czyli czego socjolog ci nie powie

Dlaczego, mimo że na tylu ślubach pęka olbrzymia bania szczęścia, a młodzi i starsi szaleją wprost z radości, małżonkowie coraz rzadziej chcą mieć dzieci? Skąd pogłębiająca się niemal z dnia na dzień zapaść demograficzna i towarzysząca jej alarmująca liczba rozwodów? Skąd fakt, że wzrasta liczba młodych, którzy nie chcą się pobierać? Zmieniło się coś bardzo podstawowego – same kryteria szczęścia. I samo rozumienie małżeństwa.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Ekonomia to potęga! Tak uważano nie tylko w naszym XX i XXI wieku nadzwyczajnego postępu gospodarczego – i najzręczniejszej w historii szarlatanerii ekonomicznej, zwanej także nauką o zysku. Tak było już w 1798 roku, gdy anglikański duchowny, ekonomista i historyk Thomas Robert Malthus[1], cieszący się opinią autorytetu w tej dziedzinie, ujawnił swe przemyślenia w „Eseju o zasadzie populacji". Przeludnienie naszej planety uznał za przyczynę światowego ubóstwa. „Przytłoczony groźną wizją rzeszy nienarodzonych jeszcze dzieci, zaludniającą miasta i konsumujących wszystko w zasięgu wzroku, wziął iluzję stworzoną przez rewolucję przemysłową za rzeczywistość i uległ panice, zaszczepiając swój niepokój Johnowi Stuartowi Millowi, Robertowi Owenowi i licznym XIX-wiecznym reformatorom" – pisze amerykańska pisarka Solange Hertz[2]. Nie liczono się wówczas z innymi dowodami naukowymi przeczącymi tej hipotezie, zachłystywano się prostotą i skutecznością oraz pozorną neutralnością moralną zaproponowanych przez Malthusa środków zaradczych, a były nimi „stare manichejskie praktyki" prowadzące do tego, że małżeństwa nie miały dzieci lub miały ich dużo mniej. Dziś tego rodzaju praktyki traktowane są powszechnie jako „katolicka kontrola narodzin", zgodna z naturą i w pełni usprawiedliwiona – bo lęk z powodu narodzin nadmiernej liczby dzieci nie służy przecież żadnemu małżeństwu. Przekonanie to zyskało niezwykłą popularność i stało się niemal dogmatem.

Wielodzietność to koszmar!

W wielu środowiskach ludzi zamożnych w Europie i Ameryce już w początkach XX wieku było czymś wstydliwym posiadanie gromadki dzieci, wielodzietność kojarzyła się z biedą i zacofaniem. Portret wynędzniałej wielodzietnej matki, kobiety w łachmanach, z nizin społecznych straszył w eleganckich magazynach, książkach i filmach. Cytowana wyżej amerykańska autorka przypomina, że wtedy właśnie, w ślad za Malthusem, pierwszym siewcą strachu przed dziećmi, ruszyły do boju zastępy nauczycieli odważnego przeciwstawiania się martwym tradycjom, dumnych z posługiwania się przyrodzonym rozumem, by kłaść fundament pod „modelowe wioski, sztuczne wspólnoty i narody". Uszczęśliwianie biednej, zagubionej ludzkości, która wciąż miała potomstwo i nie widziała w tym żadnego przestępstwa, stało się hasłem światowej rewolucji, która zastąpić „miała wolę Boga prawami człowieka". Jeszcze w dziś wydawanych encyklopediach przy nazwisku Malthusa pojawia się kuriozalne stwierdzenie: „Zasługą Malthusa było podkreślenie roli czynnika demograficznego w procesie rozwoju społeczno-gospodarczego". Uwierzono, że dzięki jego przenikliwości objawi się ten lepszy świat, w którym nie rodzą się już niepotrzebne ludziom dzieci.

Tego rodzaju wizje nie były czymś odosobnionym w protestanckich krajach Zachodu już w czasach Malthusa. Martwiono się i głowiono, co uczynić, by ów róg obfitości, jakim zdawały się być uprzemysłowione regiony Europy wraz z bogactwami naturalnymi innych kontynentów, pozostał nigdy niewyczerpującym się zasobem cywilizacji, która chce uszczęśliwić w życiu ziemskim jej mieszkańców – zwłaszcza tych wybranych, z racji ich pozycji społecznej – nie martwiąc się zbytnio, co będzie potem, kiedyś, gdy staną już na progu wieczności.

Naturalne, czyli najbardziej moralne

Dla mentalności aborcyjnej, dla wszystkich głosicieli antykoncepcyjnego wyzwolenia kobiety i zwolenników praw reprodukcyjnych wymyślona została katolicka alternatywa, pod nazwą naturalne planowanie rodziny. Ale czy w istocie była to katolicka alternatywa dla sztucznej antykoncepcji? Tak utrzymywano przez wiele dziesięcioleci. O tym, jak wielką akceptację i szeroką popularność zdobyły tzw. metody naturalne, jak prawdziwie przeorały sposób myślenia ludzi o najszlachetniejszych nawet motywacjach, świadczy choćby przemówienie Matki Teresy z Kalkuty, wygłoszone w 1979 roku, w którym nie omieszkała podkreślić, że „»w samej tylko Kalkucie w ciągu sześciu lat […] zanotowaliśmy o 61 273 narodzin mniej w rodzinach, w których nie mogły przyjść na świat [dzieci], ponieważ praktykowały one naturalne metody kontroli urodzin«. Siostry z jej zgromadzenia podróżowały po Indiach od domu do domu nauczając tej

[1] Thomas Robert Malthus (1766–1834) – brytyjski ekonomista, historyk, duchowny anglikański. W badaniach, które prowadził – z pogranicza ekonomii i socjologii – zajmował się teorią ludności oraz zagadnieniem płac i pieniądza. W 1805 roku został pierwszym w Anglii profesorem ekonomii politycznej. W książce „An Essay on the Principle of Population", wydanej anonimowo po raz pierwszy w 1798 roku, podkreślił korelacje zachodzące pomiędzy przyrostem ludności a poziomem zamożności społeczeństwa, upatrując we wzroście demograficznym zagrożenie prowadzące nieuchronnie do klęski głodu i nędzy.

[2] S. Hetrz, „Beyond Politics", tłum. Tomasz Maszczyk, [w:] Carey J. Winters, „Naturalne planowanie rodziny – Katolicka antykoncepcja?", za: „Zawsze wierni", styczeń 2012.

FOT. NAC

eprasa.pl 8a2e544ff3

metody i propagując ją"[3]. Takie było dość powszechne przekonanie po ostatnim soborze – pokutujące aż do dziś. Ludzie Kościoła, nierzadko biorący udział w międzynarodowych konferencjach na temat zaludnienia i rozwoju, nie wahali się wskazywać na „wielki potencjał" planowania rodziny, gdy „ludzkość rośnie w liczbę w tempie, które mogłoby w przyszłości wywołać trudności dla [pokojowego] współistnienia między narodami". Stąd interwencje, które mają na celu ukierunkowanie demografii populacji, zdaniem ekspertów katolickich i osobistości postawionych wysoko w hierarchii Kościoła, stają się w zupełności uprawnione i pożądane. Tak twierdzono jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku. Dziś dla odmiany podnosi się alarm o katastrofie demograficznej i słychać głośno bijące dzwony wieszczące kataklizm zwłaszcza w krajach Zachodu. Jak doszło do popełnienia tak niesłychanego, chciałby się powiedzieć, szczenięcego błędu przez „poważnych ekonomistów" i badaczy zmian populacyjnych, owocującego dzisiejszym, daleko potężniejszym niż tamten przed dziećmi strachem przed wyludnieniem?

Jak być wiecznie szczęśliwym albo płacz nad rozlanym mlekiem

Czy nie jest dziś tak, że dla wielu najlepszych nawet, kochających się i „chodzących do kościoła" rodzin wakacje na Krecie, nowy dom czy samochód bywają większym świętem, ważniejszym wydarzeniem cementującym rodzinę niż przywitanie nowego dziecka? Jak nastąpiła zmiana mentalności? Żyjemy wygodnie i nowocześnie i w ten sposób wypełniamy nasz obowiązek wobec rodziny – zdaje się mówić coraz większa część rodziców, nawet nie podejrzewając, że może istnieć jakiś większy cel, rozleglejszy plan, bardziej sprzyjająca ich prawdziwemu szczęściu wizja. Wizja samego Boga, który małżeństwo stworzył właśnie dla tego celu. Są przecież tysiące usprawiedliwień, wymówek i zdroworozsądkowych zaleceń, by rodzina się nie powiększała – bo pies, bo kot, bo awans w pracy, przedszkole i żłobek, opiekunka i starzy rodzice, co powiedzą sąsiedzi i czekające wciąż jeszcze podróże na koniec świata… Może jednak najbardziej na dzisiejszej mentalności lęku przed dzieckiem zaważyło odrzucenie dawnej, obowiązującej w świecie chrześcijańskim zasady, że wszystkie prawa pociągają za sobą obowiązki. Założenie rodziny, małżeństwo to nie prosta przepustka do raju, gwarancja przyszłości bez problemów, bo przeżywanej we dwoje, jak twierdzi duża liczba młodych, idealistycznie nastawionych do życia ludzi, ale wspólne dźwiganie ciężarów przyjętych na siebie zobowiązań.

Jeszcze w 1948 roku, gdy tzw. naturalna metoda regulacji poczęć uznawana była w Kościele za rzecz do bardzo rzadkiego, wyjątkowego stosowania przez ludzi wierzących, obwarowana wieloma warunkami, ks. Hugo Calkins OSM nie wahał się przestrzegać katolików: „Sprawa wymknęła się spod kontroli. Metoda, mająca być jedynie okresowym rozwiązaniem krytycznych sytuacji, stała się sposobem życia – samolubnego, zmaterializowanego i rozkochanego w luksusie"[4]. Już wtedy mnożyły się jak grzyby po deszczu wykłady, rekolekcje, programy nauk przedmałżeńskich itd., przygotowywane właśnie po to, by małżeństwa katolickie mogły „cieszyć się przywilejami bez żadnych obowiązków małżeńskich". Bardzo szybko zaowocowało to mentalnością ignorującą cele, jakie Bóg wyznaczył małżeństwu. Fakt, że w promowanie tych metod zaangażowali się duchowni, był najczęściej dla ludzi świeckich wystarczającym argumentem, by przyjąć je bez zadawania zbędnych pytań. To dla dobra naszych dzieci, powtarzano sobie często, tych, które już są. „Och, Bóg po prostu nie ma pojęcia o tych sprawach! Zajmiemy się tym sami, wykorzystując naturalne metody planowania rodziny. Jednak to planowanie rodziny koncentruje się na tym, jak nie mieć rodziny" – przestrzegał ks. Calkins. Propagatorzy tych metod troszczą się w sposób obsesyjny, by kobieta mogła uniknąć ciąży, podsumowywał. „Ludzie ci utracili wiarę w Bożą Opatrzność".

Ksiądz Ludwik Ziętek, autor książki „Małżeństwo z ustanowienia Bożego", przypominał w tym samym czasie (1947 rok): „Prawdziwy związek mężczyzny i niewiasty uczynił Chrystus instytucją religijną, obdarowując go szczególną łaską Bożą". To dlatego Kościół zawsze przeciwstawiał się rozwodom, nie ulegał w tej sprawie nigdy naciskom monarchów i nadal nie akceptuje rozwodów.

Było sobie… piękne marzenie

Gdy dziś oglądamy fotografie ślubne – te nieco wyblakłe, czarnobiałe, sprzed 100 czy 80 lat – uderza zazwyczaj powaga nowożeńców. „Jacy oni sztywni, chyba nic ich nie łączy!" – wyrywa się mimowolnie niejednemu z nas. Zwłaszcza młodym ludziom dzisiaj wydaje się bardzo dziwne, że rzadko kto na tych fotografiach się uśmiecha. Przyzwyczailiśmy się, że zawarcie ślubu to nade wszystko olbrzymia

[3] Tamże

[4] Tamże

eprasa.pl 8a2e544ff3

porcja radości; zatem wszyscy – nie tylko młoda para – muszą być obowiązkowo roześmiani. Małżeństwo jawi się większości młodych ludzi jako najpewniejsza droga do szczęścia. Cóż, w końcu odnaleźliśmy się jako mężczyzna i kobieta; czeka nas już tylko wspaniała nagroda.

Co więc się stało? Dlaczego, mimo że na tylu ślubach pęka olbrzymia bania szczęścia, a młodzi i starsi szaleją wprost z radości, małżonkowie coraz rzadziej chcą mieć dzieci? Skąd pogłębiająca się niemal z dnia na dzień zapaść demograficzna i towarzysząca jej alarmująca liczba rozwodów? Skąd fakt, że wzrasta liczba młodych, którzy za żadne skarby świata nie chcą się pobierać? Zmieniło się coś bardzo podstawowego – same kryteria szczęścia. I samo rozumienie małżeństwa.

Porównania bywają zawodne, nie da się zestawiać ze sobą różnych epok, bez ryzyka idealizacji. Nie mogę jednak zapomnieć o moich nieodległych przodkach. Dziadkowie moi mieszkali w sąsiednich wioskach i poznali się na odpuście. Ich narzeczeństwo trwało trzy miesiące. Żadne z nich nie roztrząsało w nieskończoność pytania, czy na pewno razem będzie im dobrze. Decydowała dobra opinia sąsiadów – instytucja swatów bywała nieoceniona – stan zdrowia i gospodarki obydwojga. Zawarcie ślubu było nade wszystko traktowane jako wypełnienie obowiązku – wobec Pana Boga, rodziny, a w patriotycznych środowiskach także ojczyzny. Mimo że wybuchła I wojna światowa i mój dziadek krótko po ślubie przymusowo wcielony został do armii carskiej, z wojny wrócił z nadszarpniętym zdrowiem, w ich domu pojawiło się wkrótce, rok po roku, pięcioro dzieci. Jedno z nich, mój ojciec, dostało przed wojną uniwersyteckie wykształcenie – na co złożył się wysiłek całej rodziny. Wszystkie dzieci założyły rodziny. Byli swego rodzaju wzorem dla swojej wsi, dzielności, solidarności i wiary.

Pradziadek i prababcia mojego znajomego spotkali się przed ślubem dwa razy. Pierwszy raz, gdy on się jej oświadczył. Dwa tygodnie później, już przed kościołem, gdzie czekał na nich ksiądz i gdzie wzięli ślub. Doczekali się licznej gromadki dzieci, kilkudziesięciorga wnuków i jeszcze większego grona prawnuków. Wszyscy, którzy ich bliżej znali, twierdzili, że było to udane, zgodne, szczęśliwe małżeństwo.

Małżonkowie i przyszli rodzice zawierając ślub, myśleli niegdyś przede wszystkim w kategoriach swoich obowiązków – wobec Boga i bliźnich – nie tylko praw, nie tylko wygód, choć i rzecz jasna szczęścia, jakie przynosi wzajemna miłość, wierność, cierpliwość i wyrozumiałość. Przynosi owo szczęście jednak wtedy, gdy realizuje się wspólny cel. To zupełnie inna perspektywa niż ta, w której wspólne życie kobiety i mężczyzny jawi się jako romantyczna przygoda. I to łączyło niegdyś ludzi bardziej niż najczulsza więź uczuciowa. Jakoś nie zapominano, że uczucia bywają, a raczej z natury są zmienne i nietrwałe.

Czy to znaczy, że młodzi w „wieku poborowym" byli kiedyś mądrzejsi? Na pewno małżeństwo było traktowane, dużo powszechniej niż dziś, jako poważny obowiązek do spełnienia, który z natury rzeczy czeka dorosłego człowieka. Świadomość odmienności ról mężczyzny i kobiety była ugruntowana, kobieta nie wchodziła w męskie role, mężczyzna rzadko bywał zniewieściały; potrafili szanować swoją odrębność i się uzupełniać. To był fundamentalny warunek udanego małżeństwa. Rozumiano, że z porządkiem naturalnym, z naturalnymi predyspozycjami, nie można walczyć. Dzisiejsze „oficjalne odrzucenie ideału męskości przejawia się najdobitniej w nieustannej dyskusji na temat rosnącej wciąż liczby »praw człowieka«. W miarę jak sfera stosowania tych »praw« rośnie, kurczy się sfera prawdziwej męskości" (Peter Chojnowski). Wydaje się, że jest to obecnie lepiej rozumiane niż jeszcze kilkanaście lat temu, gdy prawa kobiet jawiły się jako jedna z największych cywilizacyjnych zdobyczy.

Misja mężczyzny, honor kobiety

Pete Hegseth, sekretarz Departamentu Wojny USA, wygłaszając niedawno swoje słynne przemówienie do amerykańskich wojskowych, nie mówił tylko do nich. Wbrew niektórym opiniom nie szydził z grubych generałów i mężczyzn przebranych w sukienki dla osobistej satysfakcji i z wrodzonej złośliwości; tak jak i nie robił dla efektu show z wojny, obrony kraju i poprawnościowych standardów do niedawna obowiązujących w armii. To była surowa diagnoza stanu współczesności wyzutej z męskości. Tak naprawdę Pete Hegseth apelował do mężczyzn w swoim kraju – a także w krajach Zachodu, który chce pozostać Zachodem – by stali się na powrót mężczyznami. Przypomnieli sobie, że ich misją, ich powołaniem jest obrona słabszych: kobiet, dzieci i cywilów, którzy nie są w stanie utrzymać w ręku broni. Ta misja wynika z natury mężczyzny; jest on obrońcą słabszych. Galowy mundur z jego powściągliwą formą i wyprostowana sylwetka żołnierza – właśnie to wyrażają i podkreślają. Jeśli świat sobie o tym nie przypomni, wszyscy ugrzęźniemy w bezzębnym pacyfizmie i „kochajmy się, bo jesteśmy braćmi", zamiast posługiwania się rozumem, zdrowym rozsądkiem i naturalnymi predyspozycjami.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Jeśli Hegseth mówi, że żołnierz musi być silny, żeby zabijać, to dlatego, że wierzy, iż on naprawdę potrafi kochać tych, których ma bronić. Było to przemówienie afirmujące naturę mężczyzny. Także, w jakiejś mierze, apel do kobiet, by nie walczyły ze swoją kobiecością, by jej nie niszczyły i nie odrzucały, by można je było kochać. By można w nich widzieć także przyszłe czy obecne matki. Rozebrana kobieta na ulicy jest w pewnym sensie tak samo niebezpieczna jak otyły generał w armii, bo jest kimś, kto przestał rozumieć i szanować samego siebie. Hegseth nazwał po imieniu chorobę, która toczy świat. I zawsze kończy się niepotrzebną wojną.

Istotna zmiana

Romano Amerio nie wahał się w swojej książce, podsumowującej zmiany, jakich w Kościele i w świecie dokonał ostatni sobór, nawiązać do nowej koncepcji miłości małżeńskiej i małżeństwa. Przeniknęła ona do mentalności zarówno duchowieństwa, jak świeckich katolików pod obiecującym szyldem „odnowienia duchowości małżeństwa" (Unitatis redintegratio, nr 6). Sobór stwierdził, że „przemiany charakteryzujące współczesne społeczeństwo »często wydobywają, i to na różne sposoby, prawdziwą naturę tej instytucji«". Zaczęło się mówienie o nowej duchowości, jakby istniała jakaś stara, przebrzmiała. Konstytucja soborowa Gaudium et spes wychwala pomoc, jaką niesie dzisiejsze społeczeństwo małżeństwu i rodzinie. „Wydaje się więc, że ani zalegalizowane we wszystkich państwach rozwody, ani tak popularne małżeństwa na próbę, ani antykoncepcja (która nie tylko stała się legalna, ale w niektórych przypadkach jest wręcz wymagana), ani fakt powszechnej dopuszczalności przerywania ciąży – czyli żadne z tych zjawisk, nad którymi przy innych okazjach tak ubolewał Sobór – nie są w stanie zmącić ogólnego dobrego samopoczucia" – podsumowuje Amerio dodając, że „zmiana tradycyjnej doktryny o małżeństwie podważa jednoczący i prokreacyjny wymiar związku małżeńskiego"[5].

„Naturalnym owocem pożycia małżeńskiego jest nowe życie. Właśnie prokreacja jest bez wątpienia wewnętrznym celem małżeństwa, skoro dwoje ludzi się kocha i natura okazuje się płodną"[6]. Nowoczesna chemia i medycyna pozwalają jednak ją skutecznie ubezpłodnić. Pozostaje wtedy tylko drugi z celów małżeństwa – podtrzymywanie wzajemnej więzi i pomoc wzajemna, ustanowiony przez sobór równorzędnym z tym dotąd pierwszym – wydaniem na świat potomstwa. W imię wygody coraz więcej młodych małżeństw rezygnuje z potomstwa i nikt nie potrafi autorytatywnie i z mocą przekonać ich, że popełniają wykroczenie przeciw prawu naturalnemu. Choć Kościół potępia antykoncepcję, nie ma nic przeciwko metodom naturalnej regulacji poczęć, które są niczym innym jak inną metodą antykoncepcji. To, co przez wieki słyszeli młodzi ludzie w Kościele, zamarło dziś na ustach tych, których powinnością jest przypominanie podstawowych zasad.

„Tradycyjna koncepcja małżeństwa, rozumianego jako związek mający na celu głównie prokreację, została osłabiona przez Sobór Watykański II, traktujący małżeństwo przede wszystkim jako »wspólnotę życia i miłości« (Gaudium et spes, nr 48), której konsekwencją jest prokreacja. Pomimo uznania w jednakowym stopniu obu celów małżeństwa, w doktrynie Soboru walor prokreacji zdaje się być poniekąd uboczny względem wartości związanej ze wspólnym dążeniem do rozwoju osobowego. Ale ponieważ utrzymana została równość obu celów, doktryna ta nadal wyraźnie różni się od czysto biologicznej koncepcji miłości, gdzie, ulegając przemożnemu popędowi, ludzie stają się bezwolnym instrumentem ekspansji gatunku"[7].

Coś cenniejszego niż zakochanie

Katolicy wierzyli, że błogosławieństwo, które otrzymują w sakramencie małżeństwa, jest czymś cenniejszym niż zakochanie. Byli często świadkami – uczono ich tego w domu i w Kościele – że pewniejsza, głębsza i trwalsza więź niż tylko więź uczuciowa wytwarza się właśnie dzięki niemu. Sakrament zapewniał ową trwałość, obiecywał pomoc Boga w wypełnieniu przyrzeczeń małżeńskich. Zapewniał ją także wspólny cel obydwojga nowożeńców. Cel, uznawany za coś obiektywnego, któremu małżeństwo powinno służyć, był w naszej cywilizacji (zresztą nie tylko w niej) ważniejszy niż najbardziej płomienne uczucie. Uczucia miały swoje miejsce, niekoniecznie jednak pierwsze i najważniejsze. (Oczywiście, choć sądzono tak dość powszechnie, czego dowodem był brak rozwodów, nie obywało się bez niezliczonych wyjątków).

To fakt bezsporny, że małżeństwo bez wolnej woli zarówno mężczyzny, jak kobiety jest nieważne. Ale wolna wola obydwojga nie stanowi w małżeństwie

[5] R. Amerio, „Iota unum, Analiza zmian w Kościele katolickim w XX wieku", Wydawnictwo Antyk – Marcin Dybowski, Komorów.

[6] Tamże.

[7] Tamże.

eprasa.pl 8a2e544ff3

o wszystkim. Zawierający małżeństwo nie mają prawa decydowania o charakterze instytucji małżeństwa. Istota małżeństwa jest ustanowiona przez Boga. I to jest sprawa najważniejsza, dziś praktycznie pomijana i zapomniana. Dlatego całkiem słusznie część ludzi, którzy chcą ominąć krępującą ich instytucję małżeństwa, nawet cywilnego, wchodzi w relację, która z małżeństwem nie ma nic wspólnego, którą sami określają mianem związku partnerskiego.

„Twórcza wola Boża – pisał ks. Ludwik Ziętek – ustanawia instytucję małżeństwa, wyznacza jej cel, obowiązki i dobra; wolna wola mężczyzny i wolna wola niewiasty stanowią, iż obydwie strony oddają sobie i przyjmują nawzajem wraz z obowiązkami i dobrami pełne prawo, właściwe prawdziwemu małżeństwu". Taka jest podstawa trwałości i siły małżeństwa w pełnym tego słowa znaczeniu, czyli sakramentalnego.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu w świecie katolickim rozgraniczano owe przywołane wcześniej dwa cele małżeństwa. Pierwszym było wydanie na świat potomstwa, w drugiej kolejności wymieniało się wzajemną więź małżonków. Dlatego w czasach naszych dziadków nie rozważano w nieskończoność pytania: „Czy pasujemy do siebie?". Ludzie potrafili lepiej znosić swoje wady, bo nie idealizowali siebie tak często jak dziś, gdy przykłada się do własnego życia kliszę romantycznych filmów i piosenek o miłości, które wprowadzają, zwłaszcza dzieci i młodych ludzi, w fikcyjny świat, w którym miłość jest nieprzemijającą idyllą. Nie przyjmowano jako aksjomatu twierdzenia, że niezbędnym warunkiem udanego małżeństwa jest gorące, a czasem wręcz „szalone" uczucie. Wychowawcy, księża, rodzice potrafili przestrzegać, że uczucia nie są czymś trwałym, że nie da się zbudować przyszłości rodziny jedynie na uczuciach, że ważniejszy od nich – dla wypełnienia obiektywnych celów małżeństwa – jest ukształtowany charakter (oprócz umysłowych i fizycznych sprawności, rzecz jasna).

Wieś nie hamletyzowała

Mieszkańcy wsi jeszcze do niedawna rozwiązywali sprawę przyszłości swojego potomstwa prosto i surowo (dziś wielu humanistów powiedziałoby: brutalnie): jeśli jesteś fizycznie sprawny, masz założyć rodzinę i mieć dzieci, bo to jest przyszłość. Dzieci są potrzebne, by miał kto pracować w gospodarstwie, pilnować ziemi i żeby było co jeść. Ta filozofia może dziś gorszyć i co wrażliwszych przerażać, ale dzięki temu, że małżeństwa zawierane były w kościele i że na wsi z reguły praktykowało się wiarę, patologicznych rodzin było dużo mniej niż dziś. Zwarta, trzymająca się razem, duża wiejska rodzina była pewnego rodzaju normą. Jeśli dziś zdecydowanie więcej dzieci rodzi się na wsiach niż w miastach, to jest to jeszcze skutek tradycyjnego wiejskiego wychowania, które oparte było na bojaźni Bożej i zdrowym rozsądku.

Ci dawni Polacy mogli być zatem spokojni o przyszłość swoich rodzin i kraju, nie prześladowała ich wizja wyludnienia i zalewu przybyszy z innej kultury – nie dlatego, że byli herosami, lecz dlatego, że byli nastawieni realistycznie do świata i do drugiego człowieka.

Kultura masowa wprowadziła w obieg społeczny kult namiętności i zmysłowości. Chłoną go już najmłodsi. Bohater tej kultury prezentuje się jako ktoś całkowicie bezsilny wobec swych namiętności. Czy ktoś taki może, dźwigając trudy życia małżeńskiego i rodzinnego, ujawnić hart ducha i poczucie odpowiedzialności? Te cechy nie są dziś przedmiotem uznania i zainteresowania. Silny mężczyzna i kobieca młoda dziewczyna rzadko bywają bohaterami i idolami; od dziesięcioleci w obrazach filmowych i innych produktach kultury masowej intryguje, zachwyca i inspiruje ktoś, kto daje się z miejsca usidlić porywom emocji i zmysłowym podnietom. Cierpią na tym dzieci – te, które przychodzą na świat, i te, którym ich rodzice nie pozwolili się narodzić. Tych ostatnich przybywa w zawrotnym tempie.

„Zbyt wielu ludzi próbuje bawić się w Boga" – konkluduje ks. Hugh Calkins. Jakbyśmy zupełnie zapomnieli, że to „On jest dawcą nowego życia i nie potrzebuje do tego histeryzujących lekarzy, rozpaczających rodziców ani nawet bezmyślnych księży, próbujących wchodzić w jego kompetencje i decydować, kiedy ma się narodzić człowiek. Tego, czego od nas oczekuje, to dobrowolna współpraca z Jego wolą. To jedyny wkład, jaki możemy wnieść. Jedyne, czego Bóg wymaga od małżonków, to chęć przyjęcia dzieci, które zdecyduje się im zesłać. Ludzie idą do nieba przez pełnienie woli Boga, a nie przez układanie za Niego planów". Czy nie jest to w istocie problem współczesnego życia, także politycznego? Świat Zachodu przestał wierzyć, że Pan Bóg ma najlepszy plan dla człowieka i społeczeństw. Próbuje zatem iść swoimi drogami, zostawiając za sobą koślawy, chybotliwy ślad, staczając się ze skrajności w skrajność, wpadając w pułapki własnego rozumowania. Zapominając o celu, dla jakiego powołani zostaliśmy do życia, łudząc się, że celem tym jest po prostu dobre życie. Bezwzględnie ujawniają tę maskaradę pustoszejące miasta i miasteczka w Polsce; są one niczym pieczęć, certyfikat wydany temu szaleństwu, który niektórzy uparli się nazywać utratą „wiary w cywilizację". Tę, której przyszłość tak obiecująco kreślił w swoich wizjach Malthus. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3

Krzysztof Wołodźko



Misja niedokończona

– Parę razy byłem w Muzeum Historii Polski w ciągu ostatniego roku, choć zawsze towarzyszą temu mieszane uczucia. Z jednej strony jestem dumny z tego, co zrobiłem wraz z moim zespołem. Z drugiej – pozostaje żal, że to misja niedokończona – z Robertem Kostro rozmawia Krzysztof Wołodźko.

▶ Śni się Panu czasem, że wciąż kieruje Pan Muzeum Historii Polski (MHP)?

Nie, w każdym razie nie przypominam sobie. Nie śnią mi się ani koszmary, ani – niestety – miłe sny o muzeum. Na jawie jednak wciąż ono wraca w moich myślach. Parę razy w nim byłem w ciągu ostatniego roku, choć zawsze towarzyszą temu mieszane uczucia. Z jednej strony jestem dumny z tego, co zrobiłem wraz z moim zespołem. Z drugiej – pozostaje żal, że to misja niedokończona.

▶ Jesteście ze zdecydowanie różnych roczników, macie inne poglądy ideowe – śledzi Pan działalność swojego następcy, Marcina Napiórkowskiego?

Dzieli nas i różnica pokoleniowa, i inna wrażliwość. Na szczęście Marcin Napiórkowski nie należy do wojujących liberałów, ludzi bardzo ostro zwalczających wątki konserwatywne, dlatego w muzeum jak dotąd nie było twardego, ideowego i koncepcyjnego przejścia. Co pozytywne – interesuje się polityką pamięci. Pomysły dotyczące polityki historycznej, przedstawione kilka tygodni temu przez minister Martę Cienkowską, to jego dzieło. Jednak widać różnice między nami.

▶ Na przykład?

Widzę to choćby po projekcie filmowym, wcześniej realizowanym przez Łukasza Jasinę. Teraz pojawił się tam Tomasz Raczek, mainstreamowa postać. Zdziwił mnie niedawno tytuł i układ planowanej konferencji „Kraj przedłużonej żałoby", co kłóci się z ideami założycielskimi MHP. Zdaje się ona odzwierciedlać tezy książki Michała Bilewicza „Traumaland". Ja jej treść oceniam krytycznie. Jesteśmy krajem wielu historycznych osiągnięć, a nie żałoby. Program wystawienniczy jest na razie realizowany bez większych zmian. Pewnie inaczej czasem rozkładałbym akcenty, inne byłyby odcienie, ale zasadniczo to program przygotowany jeszcze za czasów, gdy byłem dyrektorem muzeum.

▶ Pytałem o sny, bo Muzeum Historii Polski było Pana życiowym opus magnum. Jak się zaczął ten rozdział w Pańskim życiu?

Prapoczątki to 2000 rok. Byłem wówczas szefem gabinetu ówczesnego ministra kultury Kazimierza Michała Ujazdowskiego w rządzie Jerzego Buzka. Trzecią osobą, która koncepcyjnie pracowała nad tym projektem, był Tomasz Merta.

▶ Dekadę później zginął w Smoleńsku.

Tak. W czasach AWS Tomasz był doradcą ministra Ujazdowskiego. Wtedy w Polsce nie było jeszcze żadnego nowoczesnego muzeum, zwłaszcza muzeum historycznego. Ostatnie duże inwestycje muzealne to przedwojenne muzea narodowe w Warszawie i w Krakowie. Mieliśmy poczucie, że tematy takie jak I Rzeczpospolita, polski udział w II wojnie światowej, Solidarność w ogóle nie są opowiedziane. I są trudne do opowiedzenia zarówno młodym pokoleniom, jak i cudzoziemcom. Był to czas, gdy na Zachodzie powstawały już nowoczesne muzea historyczne, na przykład Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie w USA.

▶ Wtedy nie ruszyliście jeszcze z miejsca?

To były przymiarki. Zdawaliśmy sobie sprawę, że zbliżają się wybory parlamentarne i nasze polityczne losy są nie-

eprasa.pl 8a2e544ff3



FOT. MARIUSZ BODNAR

Robert Kostro (ur. 1967) – historyk, muzealnik, urzędnik, publicysta. Dyrektor Archiwum Głównego Akt Dawnych. Był m.in. współtwórcą i pierwszym dyrektorem Muzeum Historii Polski, szefem Gabinetu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, dyrektorem Departamentu Spraw Zagranicznych KPRM. W latach 80. uczestnik opozycyjnego Ruchu Młodej Polski. Publikował m.in. w pismach: „Nowe Książki", „Rzeczpospolita", „Teologia Polityczna". Współredaktor i współautor (z Piotrem Zarembą) „Państwowiec w Muzeum" (2025). Jest przewodniczącym Komitetu Doradczego Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

pewne. Temat wrócił w 2005 roku, gdy po upadku rządów Sojuszu Lewicy Demokratycznej Kazimierz Michał Ujazdowski został ponownie ministrem kultury. Kilka miesięcy przed zwycięstwem wyborczym Prawa i Sprawiedliwości zorganizowaliśmy konferencję o polityce historycznej i w jej ramach promowaliśmy pomysł Muzeum Historii Polski – przekonywaliśmy, że taka instytucja jest potrzebna. Wtedy prezentowaliśmy ją pod nazwą Muzeum Wolności.

▶ Dlaczego?

Uznaliśmy, że wolność powinna być głównym wątkiem tematycznym projektu, zapewniającym spójność i atrakcyjność koncepcji. Kilka miesięcy później wybory do Sejmu i Senatu wygrało PiS i wtedy pojawiła się faktyczna możliwość realizacji projektu. To nie było proste, zaczynaliśmy od zera, z niełatwą perspektywą polityczną, która zrealizowała się dość szybko.

▶ Przyspieszone wybory, które odbyły się w październiku 2007 roku – wygrane przez Platformę Obywatelską.

Uratowało nas to, że Tomasz Merta, który w 2005 roku objął funkcję podsekretarza w Ministerstwie Kultury, pozostał w kolejnym rządzie. W dużej mierze dzięki jego staraniom i wsparciu udało się cały projekt zachować, choć do wybudowania muzeum w jego obecnej postaci była jeszcze długa i wyboista droga. 2009 rok to pierwsza, duża przymiarka – konkurs architektoniczny na realizację gmachu przy placu na Rozdrożu nad Trasą Łazienkowską. Władze Warszawy, rządzonej przez Hannę Gronkiewicz-Waltz, wycofały się wówczas ze wstępnie uzgodnionej koncepcji realizacji projektu. W 2015 roku dostaliśmy propozycję, żeby wejść na teren warszawskiej Cytadeli i przejąć projekt wstępnie przygotowywany dla Muzeum Wojska Polskiego. Pozostałością tej koncepcji jest to, że na terenie MHP mieszczą się magazyny i pracownie konserwatorskie przeznaczone dla MWP. Ważną cezurą był 2015 rok – podwójna wygrana PiS w wyborach parlamentarnych i prezydenckich. Bardzo ważna była rola wicepremiera, ministra kultury Piotra Glińskiego. Bez jego zaangażowania i wsparcia nie zrealizowalibyśmy tego projektu. Byłoby też znacznie ciężej bez poparcia Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego.

▶ Przypomnijmy młodszym czytelnikom – kiedy wbiliście pierwszą łopatę na Cytadeli?

W 2018 roku. Marzyliśmy początkowo, że Muzeum Historii Polski uda się otworzyć w tym właśnie roku, w stulecie odzyskania niepodległości przez nasze państwo. Niestety, gdy ministrem kultury był Bogdan Zdrojewski, projekt praktycznie został zamrożony.

▶ Sabotował projekt? Był do niego uprzedzony?

Nazwałbym to brakiem zainteresowania. Gdy w 2014 roku szefową resortu została Małgorzata Omilanowska, zmieniła się postawa ministerstwa, a zdecydowane wsparcie uzyskałem jesienią 2015 roku – po wyborach wygranych przez PiS. W latach 2016–2018 pracowaliśmy nad przeprojektowaniem koncepcji architektonicznej gmachu na Cytadeli, która powstała jeszcze dla Muzeum Wojska Polskiego. Swoje zajęło przeprowadzenie przetargu.

▶ Uderzyło mnie, że początkowo miało to być Muzeum Wolności. Moja intuicja, nie tak młodego już niepodległościowego socjalisty, podpowiada mi, że widać w tym ewolucję Pana konserwatywno-liberalnego środowiska w ideowych sprawach. Daje do myślenia przejście od afirmacji wolności do mocniej tożsamościowego projektu.

Nie sądzę, że tak o tym myśleliśmy. Pomysł był prostszy: nazwa Muzeum Wolności miała intrygować, budzić zaciekawienie i wskazywać główne przesłanie.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Ostatecznie nazwę Muzeum Historii Polski przyjęliśmy jako bardziej oczywistą i czytelną. Choć nie przeczę, że być może to freudowska sytuacja i ukrywała się za tym głębsza przemiana. Wątki liberalne czy wolnościowe w naszym myśleniu ulegały przekształceniu w bardziej komunitarystyczne. W III RP bardzo różnie kształtowały się relacje między środowiskami konserwatywnymi a liberalnymi – nie tylko w przypadku AWS, lecz także PO, Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, Porozumienia Centrum czy nawet PiS. W latach 90. polska prawica była pod silnym wpływem anglosaskich neokonserwatystów: Ronalda Reagana, Margaret Thatcher.

▶ Uchodzi Pan za człowieka środka, który ma słowa wdzięczności także dla ludzi z tamtej strony barykady. Dlaczego tak, a nie inaczej skończyło się Pana szefowanie MHP?

Rzeczywiście, wiele osób odnotowało, że starałem się współpracować z różnymi środowiskami, nie zamykałem tej instytucji na osoby spoza mojego kręgu ideowego. Nie miałem problemu z tym, żeby w czasie uroczystego otwarcia muzeum podziękować Małgorzacie Omilanowskiej jako jednej z osób, które dobrze się przyczyniły do jego powstania.

▶ To Pana nie uratowało.

Ważne są dwa czynniki. Po pierwsze, przez lata, gdy pracowaliśmy nad powstaniem muzeum, nastąpiła gigantyczna polaryzacja. Coraz trudniej jest funkcjonować w trybie ponadpartyjnej, niezależnej, propaństwowej pracy. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy zwolnionych zostało ponad 30 dyrektorów w instytucjach kultury. Za czasów Bartłomieja Sienkiewicza i Hanny Wróblewskiej padł chyba rekord, jeśli chodzi o liczbę odwołanych szefów takich placówek. Każdy przypadek jest inny, ale skala i tempo zjawiska mówią same ze siebie.

▶ A druga kwestia?

Swoje zrobiła skala stworzonej przez nas instytucji. Tym bardziej że wkrótce trzeba będzie otwierać stałą wystawę. Należało zatem zmienić dyrektora Muzeum Historii Polski, żeby „oswoić" instytucję.

▶ Interesujący proces: od muzeum, które długo wydawało się zbędne w III RP, było niechciane przez część klasy politycznej, do muzeum, nad którym trzeba sprawować skrupulatnie pieczę.

Chyba tak; chyba jego waga w ten sposób została doceniona. [śmiech]

▶ Imponujący budynek MHP wznosi się nad dawnym rosyjskim, ponurym gmaszyskiem, które w carskich czasach miało panować nad buntującym się miastem. A przy okazji przyćmił skromne, prawie zapomniane w III RP Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Oba fakty są dość wymowne, choć różnie też można je oceniać.

Pamiętam moje pierwsze spacery na terenie Cytadeli, gdy przymierzaliśmy się do budowy Muzeum Historii Polski – zabytkowe budynki, a obok chaszcze i niewykorzystane tereny.

▶ Miejsce na poboczu dziejów?

Z pewnością – zdegradowane. I choćby dlatego warto było tchnąć w nie nowe życie. Zgadzam się, że cały ten kompleks muzealny, potężny budynek dokonuje konwersji znaczeń. W Warszawie znajdziemy kilka takich miejsc. Spójrzmy na Pałac Prezydencki, który w czasach zaborów nazywano Pałacem Namiestnikowskim. Dzisiaj myślimy o Belwederze przede wszystkim jako siedzibie marszałka Józefa Piłsudskiego, a nie wielkiego księcia Konstantego. Przez zmianę funkcji całych kompleksów architektonicznych dokonujemy ich materialnego, instytucjonalnego i symbolicznego odzyskania. Jeśli zaś chodzi o pamięć, której strażnikiem jest X Pawilon: o polskich powstańcach, którzy byli tam więzieni, o rewolucjonistach 1905 roku, działaczach patriotycznych, którzy szli stamtąd na Syberię lub kończyli tam życie, to przecież Muzeum Historii Polski także ma pewne obowiązki wobec tego miejsca. I to jest zysk dla muzeum X Pawilonu, bo przez swoją bliskość MHP przyciąga mnóstwo nowych zwiedzających, którzy nigdy by tam nie zajrzeli.

▶ Łatwo prześledzimy rodzimą dyskusję o MHP. Czy jako szef muzeum śledził Pan głosy na ten temat ze wschodu i z zachodu?

Szczerze mówiąc, nie pamiętam rosyjskich reakcji. Widziałem mniej lub bardziej złośliwe teksty w mediach francuskich i niemieckich. Pewna komunizująca Francuzka, dziennikarka, pisała o Muzeum Historii Polski jako pomniku polskiego nacjonalizmu. W niemieckich mediach MHP pojawiało się jako przykład „historyczno-nacjonalistycznej" polityki naszej prawicy. Nie wykluczam, że bardziej rozbudowane komentarze pojawią się, gdy zaprezentowana zostanie stała wystawa. Tarczą było też pewnie to, że muzeum nie było mocno krytykowane w opiniotwórczych mediach w Polsce. Zdarzały się głosy krytyczne, atakował je na przykład Robert Traba na łamach „Gazety Wyborczej", ale to incydenty. A zda-

eprasa.pl 8a2e544ff3

rzały się też dobre oceny naszych projektów, na przykład powszechnie chwalonej wystawy „Pod wspólnym niebem" o I Rzeczypospolitej.

▶ W Warszawie było już Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN czy powstałe z inicjatywy Lecha Kaczyńskiego Muzeum Powstania Warszawskiego, a w Gdańsku – Muzeum II Wojny Światowej. Miał Pan poczucie, że MHP to długo oczekiwane dziecko?

Tak, tak to czułem. Zanim rozpoczęliśmy prace budowlane, zamówiliśmy badania opinii publicznej na ten temat. Ponad 60 proc. ankietowanych deklarowało, że chce powstania Muzeum Historii Polski. I nie dotyczyło to tylko sympatyków prawicy. Nie zdradzę wielkiej tajemnicy – miałem niegdyś rozmowę z Henrykiem Szlajferem, jednym z „komandosów" i uczestnikiem Marca 1968 roku, kojarzonym zdecydowanie z liberalnym obozem, który powiedział: „Nie chciałbym, żeby to było tak jak z Pomnikiem Bohaterów Getta Warszawskiego i Pomnikiem Powstania Warszawskiego, że najpierw stanął ten pierwszy, a później kilkadziesiąt lat czekaliśmy na ten drugi". Odpowiedziałem mu, że nie bardzo publicznie mogę coś takiego powiedzieć. Na co odparł: „Ale ja mogę". [śmiech]

▶ Jaki miał Pan pomysł na Muzeum Historii Polski?

Pierwszy cel – edukacyjny. Uważałem, że potrzebna jest instytucja, która w sposób nowoczesny będzie przedstawiała historię Polski. Drugi element ściśle łączy się z powyższym: dzisiejsze czasy wymagają opowieści obrazkowej. Niestety, czytamy coraz mniej, ale oglądamy coraz więcej. Sukces muzeów w ostatnich dekadach polega na tym, że to medium, które służy do oglądania. Nie oznacza to, że musimy stawiać wyłącznie na multimedia, ważna jest też scenografia, sposób pokazania eksponatów, dobrego oświetlenia obiektu.

▶ Jak w staroświeckich wystawach malarstwa.

Trafne porównanie. I wreszcie trzeci element – popularyzacja polskiej historii za granicą, docieranie z naszymi racjami, doświadczeniami, przeżyciami do jak najszerszej publiczności na świecie. Tutaj pojawia się inny problem – w odróżnieniu od krajów takich jak Wielka Brytania, Francja czy Włochy, które dysponują wspaniałymi kolekcjami sztuki, my takich zbiorów nie mamy i pewnie już ich nie zgromadzimy. Mamy „Damę z gronostajem" Leonarda da Vinci, ale najwspanialsze dzieła twórców epoki renesansu nie pojawiają się na rynku sztuki. Nawet gdyby Polska niesamowicie się wzbogaciła, to szansa na zakup arcydzieł jest niewielka.

▶ Jako szef MHP musiał Pan doskonale widzieć skalę spustoszeń, jakie przez wieki dotknęły Rzeczpospolitą, bolesną fantomowość naszego dziedzictwa. Od potopu szwedzkiego przez zabory po grabież i zniszczenia dwóch światowych wojen.

Świadectwem trudnych polskich losów jest pałac Villa Regia, zbudowany w czasach Władysława IV. To dzisiejszy Pałac Kazimierzowski na terenie Uniwersytetu Warszawskiego. Gmach padł ofiarą Szwedów, którzy złupili także jego marmurowe elementy. Na szczęście dla nas, jedna czy dwie łodzie z łupami zatonęły w Wiśle. Dzięki temu w muzeum odtworzona zostanie fasada, rodzaj zewnętrznej klatki schodowej – to świadek nie tylko dawnej wielkości Rzeczpospolitej, lecz także kryzysu naszego państwa w połowie XVII wieku i strat, jakie poniosły polska kultura, dziedzictwo narodowe na przestrzeni wieków. Dziś stoję na czele jednej z instytucji, które poniosły jedne z największych strat w czasie II wojny światowej. We wrześniu 1944 roku Archiwum Główne Akt Dawnych zostało z premedytacją spalone przez Niemców. Około 90 proc. jego zasobu zostało bezpowrotnie stracone.

▶ W książce „Państwowiec w muzeum", wywiadzie rzece, który przeprowadził z Panem Piotr Zaremba, rozmawiacie między innymi o tym, co powinno wyróżniać dobrze prowadzoną politykę historyczną. Drobny cytat: „Nie bez pewnych racji niektórzy mówią raczej o polityce pamięci niż o polityce historycznej. Bo przecież chodzi nie o historię jako naukę, ale wybór tego, co uważamy za godne zapamiętania".

Używam zamiennie tych określeń, ale termin polityka pamięci wydaje mi się bardziej precyzyjny. Historycy czasem oburzają się na termin „polityka historyczna", pytają, czy oznacza on, że politycy mają im wykładać historię. Odpowiadam, że nic z tych rzeczy – zarówno naród, jak i politycy mają prawo uznawać, że jedne wydarzenia dziejowe są ważniejsze, a inne mniej ważne; że ktoś jest bohaterem, a ktoś inny zdrajcą. Pamięć nie jest wyłącznie domeną historyków, czujemy to intuicyjnie i instytucjonalnie, nadając nazwy szkołom i skwerom, fundując pomniki, budując muzea. Arbitralność pamięci zbiorowej budzi dyskusje, ale pokazuje też, jacy i kim jesteśmy, na kim się wzorujemy.

▶ Sceptyk powie, że w geopolitycznym świecie, rzeczywistości w stanie permanentnego wrzenia, polityka historyczna musi osuwać się w propagandę. Polska jest w niełatwej sytuacji: z jednej strony uderza w nas coraz bardziej agresywna polityka historyczna

eprasa.pl 8a2e544ff3

Rosji, z drugiej – dotyka jej niemiecka wersja, bardziej wyrafinowana, ale przez to chyba o wiele skuteczniejsza również wśród naszego społeczeństwa.

Nie chcę popadać w pesymizm. Jako państwo jesteśmy dziś bogatsi i silniejsi niż kilkadziesiąt lat temu, mamy więc nowe możliwości i kanały przedstawiania swoich racji. Warto przypomnieć historię z 2020 roku, gdy premier Izraela Benjamin Netanyahu dogadał się z włodarzem Rosji Władimirem Putinem i zorganizowali w Jerozolimie obchody 75. rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz-Birkenau. Prezydent Rzeczypospolitej Andrzej Duda nie został dopuszczony do wygłoszenia przemówienia – z tego powodu w ogóle nie pojechał wówczas do Izraela. Przytłaczająca większość medialnych głosów na Zachodzie była wtedy po stronie Polski, nasze racje były bardzo dobrze punktowane. To było ważne, bo pokazało, że jako kraj demokratyczny i nieźle osadzony w zachodnich strukturach (nawet jeśli rząd i prezydent kojarzony z PiS nie był lubiany przez część elit zachodnich państw) mamy możliwość obrony swoich racji. W sprawach pamięci i polityki historycznej stuprocentowych zwycięstw pewnie nikt nigdy nie osiąga, ale widzę pewne możliwości po naszej stronie. Podejrzewam, że atak na Hannę Radziejowską, szefową Instytutu Pileckiego w Berlinie, wziął się właśnie z jej skuteczności obrony polskich racji. Jej się udało przekonująco przedstawiać polską opowieść niemieckim mediom głównego nurtu. I to nie tylko w polsko-niemieckich sprawach, ale też związanych z całym regionem, Ukrainą czy Białorusią.

▶ Relacje polsko-ukraińskie to kolejny gorący temat.

Z jednej strony mamy oczywiste prawo, nawet obowiązek pamięci o zbrodni wołyńskiej. Z drugiej – nie możemy pozwolić, żeby pamięć o tamtej tragedii przysłoniła nam bieżące polityczne relacje między Warszawą a Kijowem.

▶ Albo stała się narzędziem rosyjskiej propagandy!

Dokładnie tak. Stąd nasze relacje z Ukrainą są najlepszym przykładem, jak delikatnym narzędziem jest polityka pamięci i jak wielkim ryzykiem jest sprowadzenie naszych relacji wyłącznie czy przede wszystkim do kwestii historycznych. A niektórzy tak robią. W tych sprawach trzeba ogromnego wyczucia. Polityka pamięci musi być również tarczą, ale bezkrytyczne podejście do własnych dziejów też może obrócić się przeciw nam. Zarówno w sprawach polsko-ukraińskich, polsko-litewskich, polsko-białoruskich, jak i polsko-żydowskich mamy tak wiele dobrych rzeczy do opowiedzenia, że nawet jeśli w pewnych trudnych sprawach wsłuchamy się w racje drugiej strony, nasza pozycja historyczna nadal będzie silna.

▶ Perspektywa Jerzego Giedroycia czy św. Jana Pawła II, który był wielkim orędownikiem dobrosąsiedzkich relacji między narodami naszego regionu, wydaje się dziś o wiele trudniejsza.

Sympatyzuję z wizją geopolityczną wydawcy „Kultury", ale obca jest mi jego perspektywa historyczna, mocno krytyczna wobec dorobku dziejowego Polski. Bliższy mi jest Jan Paweł II, w którego przypadku otwartość na dobrosąsiedzkie relacje, cudzy punkt widzenia jest połączona z wielką afirmacją naszej kultury narodowej i rodzimych dziejów. Takie połączenie wydaje mi się cenniejsze niż kurczowa obrona wyłącznie własnych racji albo opisanie przeszłości pod obce dyktando.

▶ Problemem są chyba też niespójności rodzimej polityki historycznej po 1989 roku, wynikające z charakteru staro-nowych elit, procesów transformacyjnych, oczywistych w nowych realiach sporów politycznych i wejścia w nowe międzynarodowe układy odniesień. Zabrzmi to prowokacyjnie, ale rządzący PRL mieli łatwiej.

Czasy PRL-u z mało radosnych dla nas przyczyn dawały większą spójność tego rodzaju przekazu. Z drugiej strony można zadać sobie pytanie, czy było to skuteczne. Przecież realne dyskusje polsko-niemiecka czy polsko-żydowska były właściwie zamrożone na międzynarodowym forum, szczególnie w świecie zachodnim. A jeśli już, to sukcesy wiązały się z działaniami poza systemem władzy – jak list biskupów polskich do niemieckich z 1965 roku. Była to spójność w ograniczonym zakresie. Dobrze pamiętam, jak w latach 80. naśmiewaliśmy się ze sztampowej gadaniny władz PRL o Hupce i Czai, figurach niemieckiego rewizjonizmu. Czasem naśmiewaliśmy się nadmiernie, jako młodzi ludzie przyjmując zbyt łatwo, że skoro komuniści krytycznie mówią o Niemczech i Niemcach, to wszystko musi być dokładnie odwrotnie.

▶ PRL to także „Krzyżacy" Aleksandra Forda. W III RP próby stworzenia wielkiej historycznej epopei kinowej, która zyskałaby międzynarodowe uznanie, skończyły się fantazjami o tym, że Mel Gibson zrobi olśniewający film o odsieczy wiedeńskiej.

Oprócz kwestii polityki historycznej widzę problem po stronie środowiska filmowego, które generalnie nie jest zbyt chętne tematyce patriotycznej czy historycznej. Znaczna jego część jest przywiązana do patrzenia na kino poprzez tematykę, która będzie dobrze widzia-

eprasa.pl 8a2e544ff3

na za granicą, przyniesie festiwalowe nagrody. A tym, którzy chcieliby się zabrać za to od właściwej strony, nie zawsze wystarcza talentu.

Jest jeszcze jedna rzecz – współczesne produkcje historyczne są niesłychanie drogie. Policzyłem kiedyś, że koszt realizacji „Dunkierki" w reżyserii Christophera Nolana z 2017 roku był większy niż cały budżet Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej na dotacje dla filmów. Niedawno twórca filmu „Chopin, Chopin!" Michał Kwieciński opowiedział Romanowi Polańskiemu, ile kosztowała realizacja filmu, a ten odrzekł, że na Zachodzie byłoby to kilka razy drożej. W PRL taśma filmowa była co prawda reglamentowana, ale zgromadzenie statystów czy zrobienie znakomitych kostiumów z epoki było prostsze.

▶ Czego brakuje stale, a czego szczególnie dzisiaj polityce pamięci w III RP?

Najbardziej brakuje jej konsekwencji. Dobrze to pokazał przykład Instytutu Pileckiego pod kierownictwem Krzysztofa Ruchniewicza. Nawet gdy uda się stworzyć ambitne projekty, to przychodzą wybory i wszystko zostaje wywrócone do góry nogami…

Nie tak dawno pracowałem nad tekstem na temat niemieckich muzeów historycznych. Znalazłem dosłownie ze trzy przypadki (jeśli chodzi o główne placówki) zmian kadrowych, które miały gwałtowny charakter. Jeden czy dwa miały rzeczywiście polityczne podłoże, dotyczyły poważnych sytuacji kryzysowych. Pierwszy przykład to Muzeum Żydowskie w Berlinie, gdzie w 2019 roku jedna z ekspozycji została skrytykowana przez premiera Netanyahu i środowiska żydowskie jako wyrażająca stanowisko palestyńskie. Druga kontrowersja dotyczyła Centrum Dokumentacji Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie, gdzie odwołano dyrektora, który reprezentował kierunek rewizjonistyczny. Między innymi pod naciskiem Polski poszło to w stronę większego umiarkowania.

Znacznie lepiej się pracuje – i lepsze rezultaty się osiąga – przy stabilności instytucji. W Niemczech możemy mówić o konsensualnej kulturze politycznej. Do ciał nadzorczych w tamtejszych ważnych placówkach kulturalnych delegowani są przedstawiciele różnych partii, co z jednej strony pozwala im się wzajemnie kontrolować, z drugiej – daje efektywne, ale nie prostackie przełożenia między światem kultury i pamięci a światem polityki. W Polsce z tym jest problem. Dużo mówimy o polityce historycznej, ale na końcu okazuje się, że brak współpracy skutkuje krótkowzrocznością i chybotliwością przedsięwzięć.

▶ Czyli nie chodzi tylko o pieniądze?

Sporo zainwestowaliśmy w politykę pamięci w ostatnich dekadach. Jeśli by te pieniądze dobrze wykorzystywać (a to osobna kwestia), to na pewno bylibyśmy w stanie wiele zdziałać. Myślę, że w dalszej perspektywie działalność wielu muzeów i instytucji pamięci, które powstały w ciągu ostatnich kilkunastu lat, będzie się przekładała na coraz silniejszą obecność polskiej narracji także w obiegu międzynarodowym.

▶ Gdy myślę o Muzeum Historii Polski, wyobrażam sobie je również jako instytucję koncepcyjną, wspomagającą najważniejsze instytucje państwa polskiego w tworzeniu zintegrowanych, całościowych projektów funkcjonujących w dłuższej perspektywie czasowej. Na przykład: w 2025 roku zaglądamy do kalendarza i sprawdzamy ważne rocznice przypadające w naszych dziejach za pięć lat. Opracowujemy w formie propozycji projekty dotyczące różnych sfer polityki historycznej: od resortu kultury po MSZ przez narodowych przewoźników i Pocztę Polską i robimy wielką całoroczną fetę w bardzo różnych obszarach krajowej i globalnej komunikacji. Nie jesteśmy zdziwieni, że – o rety! – właśnie wypadło tysiąclecie koronacji Bolesława Chrobrego. To bujanie w obłokach, moja nieznajomość realiów czy rzecz możliwa gdyby zaangażować odpowiednie siły ludzkie i środki?

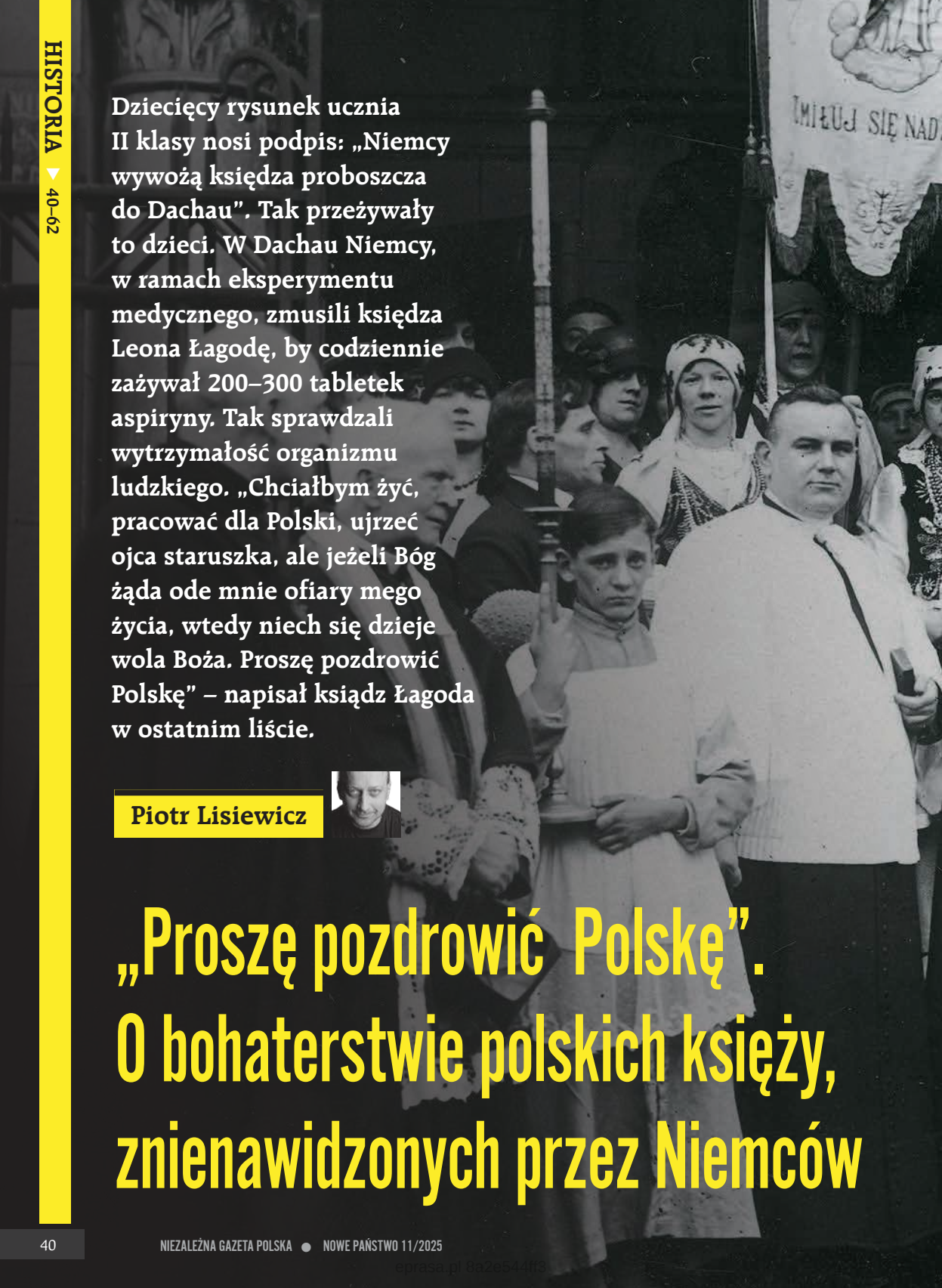
Rzadko są powoływane takie gremia, być może powinna pracować jakaś stała rada czy konferencja szefów ważnych instytucji, osób związanych z nauką, która pomagałaby programować tego rodzaju projekty. W takim gremium powinien uczestniczyć dyrektor Muzeum Historii Polski. Czasami doraźnie powstawały w Polsce podobne gremia – resortowe lub ponadresortowe – umierały jednak politycznie wraz z ministrem, który tracił fotel.

Jest jeszcze jeden problem, który utrudnia w Polsce długofalowe planowanie polityki pamięci: pomysły i inicjatywy krojone są pod projekty działające w trybie rocznym. Nawet jeśli coś jest dobrze pomyślane, logika grantozy robi swoje, a najważniejszym kryterium staje się rozliczenie budżetu w określonym terminie. System finansowania kultury, przedsięwzięć związanych z dziedzictwem narodowym, wymaga poważnej reformy.

▶ Chciałby Pan jeszcze wrócić na stanowisko szefa Muzeum Historii Polski?

[śmiech] To chyba najtrudniejsze pytanie. Staram się nieprzesadnie zajmować gdybaniem. Jeśli kiedyś tego rodzaju propozycja się pojawi, na pewno poważnie ją rozważę. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3



Dziecięcy rysunek ucznia II klasy nosi podpis: „Niemcy wywożą księdza proboszcza do Dachau". Tak przeżywały to dzieci. W Dachau Niemcy, w ramach eksperymentu medycznego, zmusili księdza Leona Łagodę, by codziennie zażywał 200–300 tabletek aspiryny. Tak sprawdzali wytrzymałość organizmu ludzkiego. „Chciałbym żyć, pracować dla Polski, ujrzeć ojca staruszka, ale jeżeli Bóg żąda ode mnie ofiary mego życia, wtedy niech się dzieje wola Boża. Proszę pozdrowić Polskę" – napisał ksiądz Łagoda w ostatnim liście.

Piotr Lisiewicz

„Proszę pozdrowić Polskę". O bohaterstwie polskich księży, znienawidzonych przez Niemców

eprasa.pl Ba2e544ff3



U wyjścia kościoła ks. rektor Leon Ładoga (w pierwszym rzędzie, czwarty od lewej).

FOT. NAC

Mimo świadomości grożącego niebezpieczeństwa i docierających do niego informacji o dokonywanej masowo przez hitlerowskie Niemcy eksterminacji duchowieństwa polskiego na terenie Wielkopolski, pozostał w Miłosławiu – mówi o ks. Łagodzie ks. Krzysztof Redlak, dziś proboszcz parafii w Miłosławiu. Do aresztowania na plebanii przy ul. Kościelnej 8 doszło 7 października 1941 roku. Ksiądz Łagoda znalazł się tym samym wśród 350 kapłanów, których aresztowano wtedy na mocy rozporządzenia wydanego przez namiestnika Rzeszy w Kraju Warty, niemieckiego zbrodniarza wojennego Arthura Greisera. – Informacja o aresztowaniu ks. proboszcza była bardzo szybko przekazywana przez mieszkańców Miłosławia, tym bardziej że wydarzenie to widziało wiele osób – relacjonuje ks. Redlak. Wśród tych osób były dzieci i był Zdziś z II klasy, który narysował wspomniany dziecięcy rysunek „Niemcy wywożą księdza proboszcza do Dachau".

Pamięć o bohaterskim księdzu wraca dziś za sprawą tych, którzy walczą o przywrócenie mu właściwego miejsca w historii. W czwartek, 30 października 2025 roku, w kościele św. Jakuba Większego Apostoła w Miłosławiu, gdzie ksiądz Leon był ostatnim przedwojennym proboszczem, odbyła się uroczystość odsłonięcia upamiętniającej go tablicy. Inicjatywie tej patronowały Akcja Katolicka i Instytut Pamięci Narodowej. Wcześniej jego imieniem nazwany został skwer przed kościołem. Radni zagłosowali za nadaniem mu tego imienia jednogłośnie. „Chcemy, aby nie tylko przetrwała pamięć o tym kapłanie, ale aby jego życie i śmierć męczeńska były dla ludzi współczesnych świadectwem wiary" – mówią członkowie miłosławskiej Akcji Katolickiej na stronie Archidiecezji Gnieźnieńskiej.

„Tu, gdzie wieżyczka w niebo mknie"

Ksiądz Leon Łagoda urodził się 11 kwietnia 1894 roku na poznańskich Jeżycach. Sakrament Chrztu otrzymał w parafii pw. św. Wojciecha w Poznaniu. Jego rodzicami byli Jan Łagoda i Małgorzata z domu Jeżewska. Byli dość zamożną rodziną. Młody Leon studiował przez cztery lata w seminariach duchownych w Poznaniu i Gnieźnie. Święcenia kapłańskie przyjął 26 sierpnia 1916 roku w Gnieźnie. Miał zaledwie 22 lata.

Jak relacjonuje ks. Redlak, po święceniach kapłańskich ks. Łagoda został skierowany na studia specjalistyczne do Munster w Niemczech, na Westfalski Uniwersytet Wilhelma, na terenie Nadrenii Północnej. W 1918 roku powrócił do Wielkopolski i został skierowany do posługi duszpasterskiej jako wikariusz w parafii pw. św. Mikołaja w miejscowości Grabów nad Prosną. W tym samym roku został dyrektorem Państwowego Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego w Gnieźnie.

W miesięczniku „Pod znakiem Maryi", wydawanym przez Związek Sodalicyj Mariańskich, z 1 maja 1921 roku znajdujemy wzruszający tekst młodego księdza o Korduli Wöhler, niemieckiej poetce, autorce hymnów maryjnych, który pokazuje żarliwość jego wiary. Kordula była córką luterańskiego pastora, która po tym, jak przeszła na katolicyzm, została wyrzucona z domu rodzinnego i wydziedziczona. Ksiądz Leon Łagoda pisze: „Ustawiczne nagabywania i niesłuszne napaści, ciągłe obrażania najświętszych jej uczuć, wszystkie wreszcie dręczące myśli odbijały i podkopywały je zwolna. Nadto roiło się w domu rodzicielskim, jak zawsze, od gości, a Kordula musiała wszystkim okazywać pogodne oblicze i przysłuchiwać się najrozmaitszym, zmyślonym historyjkom, zmierzającym do zohydzenia katolicyzmu…".

Wydziedziczona Kordula musiała wyjechać z Niemiec i trafiła do Fryburga, gdzie „z mieszkania jej na górze Freundsberg wychodziło okienko prosto w stronę Tabernakulum sąsiedniego, licznie przez pielgrzymów odwiedzanego kościółka. Miała więc widok, wobec którego nawet cudownie piękna okolica, ścieląca się u jej stóp, w cieniu pozostać musiała". Jak stwierdzał ks. Leon, bardzo milutko malowała Kordula swój kościółek:

Gdzie ma ojczyzna? Pyta świat.
Tu, gdzie wieżyczka w niebo mknie
Gdzie na ołtarzu po wiek lat
Lampka blask blady wokół śle.
Daleko moi i mój kraj,
Który kazano rzucić mi,
A więc ojczyznę nową daj
Tu, gdzie Twe światło wiecznie lśni!.

O jej twórczości napisze: „Pieśni te, to raczej modlitwy niż utwory literackie, to wielki radosny okrzyk duszy, opływa w nieopisane szczęście, aniżeli dzieło tworzone mozolnie według wymagań sztuki poetyckiej. Podczas gdy dni upływały na pracy, to godziny poranne i wieczorne należały całkowicie do Zbawiciela w Tabernakulum. Z miłością, uwielbieniem i dziękczynieniem w sercu klęczy Kordula przed Tym, któremu ofiarowała się całkowicie z ciałem, duszą i życiem". I cytuje kolejne słowa jej wiersza:

Posłuchajmy jej własnych myśli i słów:
Ach kocham Cię, kocham nad wszelkie kochanie.
I któż Cię ma kochać, jeśli, nie ja, Panie?
Wszak Tyś mnie wybrał i wwiódł do Winnicy
I włożył na skronie znak Oblubienicy.

„Pijaństwo, rozpusta i karciarstwo"

W 1925 roku ks. Leon został mianowany prokuratorem fiskalnym przy Arcybiskupim Sądzie Duchownym

eprasa.pl 8a2e544ff3

w Gnieźnie, a w 1927 roku – prokuratorem Prymasowskiego Wyższego Seminarium Duchownego w Gnieźnie. Wygłaszał tam dla kleryków wykłady z teologii moralnej i prawa kanonicznego oraz uczył łaciny i greki. Mając zaledwie 34 lata, został mianowany kanonikiem Kapituły na zamku św. Jerzego w Gnieźnie. – Wiemy, że ks. Łagoda znał także bardzo dobrze język niemiecki i język francuski – mówi ks. Redlak.

W 1929 roku został powołany przez prymasa Polski Augusta Hlonda na urząd rektora Polskiej Misji Katolickiej we Francji. Podczas pobytu we Francji, Papież Pius XI mianował go Tajnym Szambelanem Jego Świątobliwości. Jakie były powody wyjazdu do Francji?

Polska Misja Katolicka we Francji to najstarsza z polskich misji, sięgająca korzeniami przełomu XVIII i XIX wieku. Oficjalnie powołana została 17 lutego 1836 roku. Ksiądz Michał Kłakus pisał w czasopiśmie „Śląskie studia historyczno-teologiczne" (47,2 2014): „Jeszcze w 1930 roku ówczesny rektor Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu, ksiądz Leon Łagoda, prosił kardynała Augusta Hlonda o skierowanie do pracy we Francji księdza śląskiego z diecezji katowickiej. Argumentował to faktem, że przybyli robotnicy są górnikami z Westfalii, a w konsekwencji »opieka duszpasterska wśród tej części ludności wymaga znajomości niemieckiego i charakteru tego emigranta«".

Jak stwierdzał autor, z pewnością głosy o ich potrzebach duchowych docierały z Francji do rodzin mieszkających w Polsce, gdyż sprawą zapewnienia posługi duszpasterskiej dla wychodźców zainteresował się prymas Polski ksiądz kardynał Edmund Dalbor. Jeden z nielicznych ówczesnych polskich duszpasterzy emigracyjnych, ksiądz Wincenty Helenowski, alarmował, pisząc o polskich robotnikach we Francji: „(…) bez książek, bez nabożeństwa, narażonych na pijaństwo, rozpustę, karciarstwo, bandytyzm i złą propagandę".

Zabawa bez bijatyki jest niemożliwa!

Ksiądz Łagoda jako rektor Polskiej Misji Katolickiej, gdy już tam trafił, relacjonował, że jak podawała policja w Augenteuil, na 10 przestępstw dziewięć było popełnianych przez Polaków, zaś ks. Teodor Makiela dodawał: „Restauratorzy francuscy polskich towarzystw przyjmować nie chcą, bo czysto polska (sic!) zabawa bez bijatyki jest niemożliwa". „Nieprzypadkowo ksiądz Teodor Makiela na zebraniu polskich księży w Paryżu 26 czerwca 1927 roku apelował, by praca duszpasterza polskiego nie ograniczała się tylko do sprawowania sakramentów, nie zamykała się w murach kościołów" – czytamy.

W Narodowym Archiwum Cyfrowym odnajdujemy zdjęcie z 1929 roku z „Nabożeństwa dla inteligencji polskiej w kościele Polskim w Paryżu". Na nim widoczni są ambasador RP Alfred Chłapowski, radca ambasady Feliks Frankowski, ksiądz rektor Leon Łagoda oraz sekretarz ambasady Lasocki.

Delegat prymasa Polski

Ksiądz Sławomir Zych w czasopiśmie „Studia Polonijne" (T. 41. Lublin 2020) opublikował artykuł „Listy pasterskie, okólniki i inne pisma Rektora Polskiej Misji Katolickiej, ks. Leona Łagody, w zbiorach archiwum PMK w Paryżu". Wyjaśnia on, że rola ks. Łagody była dużo większa, niż wynikałoby to z kościelnego prawa: „W świetle ustawodawstwa kościelnego rektor misji katolickiej był oficjalnie jedynie delegatem prymasa Polski i wikariuszem współpracownikiem proboszcza paryskiej parafii św. Magdaleny". W praktyce jednak jego działalność porównać można do działalności biskupa diecezjalnego, przy czym jego „diecezją" był teren całej Francji.

W opisie owych listów odnajdujemy odpowiedź na obawy Kościoła co do nazbyt rozrywkowego życia polskich robotników. Czytamy: „Ksiądz Łagoda, nawiązując do kolejnych darów Ducha Świętego, zwracał się najpierw do mężów i ojców realizujących nie tylko trudne zadanie zabezpieczenia warunków godziwej egzystencji swoich rodzin, ale też odpowiedzialny obowiązek obrony wiary i narodowego zwyczaju z dala od ojczyzny. Wszystkim żonom i matkom polecał rektor PMK troskę o wychowanie dzieci w duchu umiłowania ojczyzny i wiary katolickiej. Witając się z młodzieżą, ks. Łagoda zwracał uwagę na czystość i godność panieńską, zaś dzieci zachęcał do nauki języka ojczystego".

Z robotnikami przeciw bolszewizmowi

W liście z 1931 roku odnajdujemy wrażliwość księdza na kwestie społeczne. Ksiądz Zych pisze: „Ksiądz Łagoda wspomina w nim wielkość myśli papieża Leona dotyczącej kwestii robotniczej i podającej środki na jej rozwiązanie". Kwestii robotniczych dotyczył także kolejny list. Rektor polecał, aby odczytano go 4 października 1931 roku. Tekst odnosił się do spraw związanych z bezrobociem. Autor nawiązał tu do mowy wygłoszonej przez Piusa XI 24 grudnia 1930 roku. Zwrócił się też z prośbą o materialne wsparcie dla wszystkich, którzy z przyczyn ekonomicznych pozbawieni zostali pracy.

Okólniki wydawane przez księdza rektora dotyczyły także przeciwstawienia się rosyjskiemu bolszewizmowi. Jak opisuje ks. Zych, „w zachowanym zbiorze archiwalnym udało się odnaleźć 16 okólników ks. Leona Łagody z lat 1930–1933. Pierwszy z nich wydany został w Paryżu w marcu 1930 r. i nawiązywał do papieskiego orędzia z dnia 2 lutego 1930 r.,

eprasa.pl 8a2e544ff3

dotyczącego prześladowania chrześcijan w Rosji bolszewickiej. We wzmiankowanym okólniku rektor PMK we Francji polecał, aby księża wygłosili do wiernych kazania na temat sytuacji chrześcijan w Rosji i skutków, jakie niesie ideologia bolszewicka". Był w tym także element wewnątrzkościelnej dyplomacji, gdyż „Przedstawiciele organizacji katolickich mieli natomiast przesłać do Nuncjusza Apostolskiego w Warszawie dziękczynne adresy dla papieża za jego wystąpienie oraz prośbę do rządu polskiego o podjęcie na arenie międzynarodowej stosownych starań na rzecz poprawy sytuacji w Rosji".

A w październiku 1932 roku ks. Łagoda rozesłał do kapłanów PMK pismo okólne dotyczące poświęcenia pomnika Najświętszego Serca Jezusowego w Poznaniu. Polecał w nim wygłoszenie w niedzielę 23 października stosownego kazania o Sercu Jezusowym. Do okólnika dołączone było pismo Komitetu Budowy Pomnika Najświętszego Serca Pana Jezusa w Poznaniu. Dodajmy, że w III RP pomnik nie został odbudowany, a komitet na jego rzecz, na czele z prof. Stanisławem Mikołajczakiem z AKO, jest zwalczany przez prezydenta Jacka Jaśkowiaka. A jednocześnie poznańskie seminarium jest tym, w którym w ostatnich dwóch latach mamy najwięcej powołań w Polsce.

Odrodzenie moralne narodu

W „Kurierze Poznańskim" z 7 kwietnia 1932 roku odnajdujemy z kolei artykuł o 31. Międzynarodowym Kongresie Eucharystycznym w Dublinie. Czytamy w nim, że referaty w czasie kongresu wygłoszą ks. prałat Leon Łagoda, rektor Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu, na temat „Eucharystia jako czynnik odrodzenia moralnego narodu", i Oskar Halecki, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, na temat „Tradycje Eucharystyczne Irlandii i Polski". Wyjaśnijmy, że Halecki to jeden z najwybitniejszych polskich historyków w naszych dziejach, dziś IPN przyznaje nagrodę jego imienia.

Po spełnieniu misji w Paryżu ks. Łagoda powrócił do Polski i w 1934 roku został proboszczem parafii pw. św. Jakuba Apostoła w Miłosławiu, a w 1938 roku dziekanem dekanatu miłosławskiego. – W czasie pobytu w Miłosławiu zakupił działkę na tzw. Wiktoryjce w Gnieźnie, dzisiejsza ulica Witkowska, z myślą utworzenia tam zarówno szkoły średniej o profilu ogólnokształcącym, jak i bursy szkolnej dla młodzieży męskiej odkrywającej w sobie głos powołania do stanu duchownego, lecz mającej trudności edukacyjne, wynikające z braku środków na naukę. Tego projektu ks. Łagoda nie zdążył zrealizować do końca. Wybudował tylko dom administracyjny – relacjonuje ks. Krzysztof Redlak.

Królik doświadczalny

Po ataku Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 roku księża stali się największymi wrogami Berlina. Po aresztowaniu w Miłosławiu ks. Łagoda został osadzony w obozie koncentracyjnym w Forcie VII w Poznaniu, gdzie był więziony przez 21 dni. Stamtąd, 28 października 1941 roku, został przewieziony do obozu koncentracyjnego Dachau i 29 października 1941 roku zarejestrowany pod numerem 28075. – Na podstawie zachowanych materiałów wiadomo, iż ks. Łagoda został skierowany do ciężkich robót na plantacji. Dość szybko władze obozowe podjęły decyzję o skierowaniu ks. Łagody do obozowej stacji biochemicznej, jako „królika doświadczalnego" – wspomina ks. Krzysztof Redlak.

W końcowej fazie przeprowadzanych na nim eksperymentów zmuszano go do jedzenie od 200 do 300 tabletek aspiryny dziennie, dla sprawdzenia wytrzymałości ludzkiego organizmu przy zażywaniu nadmiernych dawek leku. W efekcie tych działań na ciele księdza zaczęły pojawiać się ropne wysięki.

Zmarł 31 października 1942 roku, a jego ciało zostało spalone w obozowym krematorium. Miał zaledwie 48 lat. W ostatnim liście napisał: „Chciałbym żyć, pracować dla Polski, ujrzeć ojca staruszka, ale jeżeli Bóg żąda ode mnie ofiary mego życia, wtedy niech się dzieje wola Boża. Proszę pozdrowić Polskę".

Wraca pamięć

– Warto przypomnieć, iż grób śp. rodziców ks. Leona Łagody znajduje się na cmentarzu parafialnym w Miłosławiu (w I sektorze, po prawej stronie od wejścia głównego z ulicy Pałczyńskiej, w szóstym rzędzie). Matka księdza Łagody zmarła 29 sierpnia 1941 roku w wieku 83 lat, a więc na miesiąc przed aresztowaniem miłosławskiego proboszcza, a ojciec zmarł 25 lutego 1944 roku w wieku 92 lat, czyli 14 miesięcy po męczeńskiej śmierci syna w Dachau – mówi ks. Krzysztof Redlak.

Opowiada o tym, jak zrodził się pomysł upamiętnienia legendarnego księdza. – Inicjatywa upamiętnienia księdza proboszcza Leona Łagody zrodziła się na forum Parafialnego Oddziału Akcji Katolickiej przy parafii pw. św. Jakuba Apostoła w Miłosławiu, za sprawą wydanej w 2024 roku we Wrześni książki zatytułowanej: „Więcej niż pamięć" pod redakcją ks. Leszka Zycha, Łukasza Korbolewskiego, Małgorzaty Kurkowskiej Sylwi Parus-Jamrozek, Weroniki Suplewskiej – mówi ks. Krzysztof Redlak. Koordynatorem projektu ze strony Parafialnego Oddziału Akcji Katolickiej w Miłosławiu była pani Elekta Jakuboszczak, a ze strony Instytutu Pamięci Narodowej – Oddział Poznań sprawę prowadziła pani Ewa Liszkowska.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Bez Boga, bez religii, bez kapłana

Sebastian Mazurkiewicz, historyk i pasjonat historii regionu, były dyrektor Muzeum Dzieci Wrzesińskich, tak przedstawia tło aresztowania księdza Łagody: „Niemiecki okupant na obszarze Kraju Warty wszelkimi środkami podjął walkę z Kościołem katolickim. Pamiętano przecież jeszcze, jak ważną rolę spełniał on w utrzymaniu polskości na terenie zaboru pruskiego. Zarządzający Krajem Warty Arthur Greiser planował ostatecznie zlikwidować Kościół w myśl głoszonego hasła: »Ohne Gott, ohne Religion, ohne Priester und Sakramente« (Bez Boga, bez religii, bez kapłana i sakramentu)" („Powiat Wrzesiński", 17 listopada 2017).

Jak realizowano ten program w Miłosławiu i reszcie powiatu wrzesińskiego? „Usuwano i niszczono różne obiekty sakralne, jak figury i krzyże. Zamazywano i zamalowywano polskie napisy w kościołach i na cmentarnych nagrobkach. Taki nakaz w grudniu 1939 r. otrzymał wrzesiński proboszcz ks. Kazimierz Kinastowski. W kościele zamalowano teksty z Pisma Św. znajdujące się na ścianach nawy głównej i prezbiterium. Zakazano śpiewu pieśni Boże coś Polskę. Nakazano zbiórkę książeczek do nabożeństwa zawierających tę pieśń. Jesienią 1941 r. z terenu ówczesnego powiatu wrzesińskiego zebrano 1245 książeczek i śpiewników. 6 grudnia 1941 r. spalono je w kotłowni wrzesińskiego ratusza" – pisze Sebastian Mazurkiewicz. Barbarzyństwo i złodziejstwo „kulturalnych" Niemców dorównywało tu sowieckiemu: „Pozamykane kościoły zostały ograbiane z dzwonów, organów muzycznych, paramentów liturgicznych, dzieł sztuki… Z wrzesińskiej fary skradziono 434 przedmioty, w dużej części o charakterze zabytkowym".

Tego typu represje nie dotyczyły rzecz jasna duchownych niemieckich: „Gdy w kościele katolickim odprawiono nabożeństwo dla Niemców, to na drzwiach do świątyni nakazano umieszczać tabliczkę: »Für Polen kein Zutritt« (Polakom wstęp wzbroniony). 25 marca 1942 r. zamknięto kościół farny we Wrześni. Łącznie w całym powiecie zamknięto 24 kościoły katolickie… duchownym zakazano publicznie pokazywać się w stroju duchownym. Nie dotyczyło to oczywiście duchownych katolickich narodowości niemieckiej".

Sebastian Mazurkiewicz zwraca uwagę na fakt rzadko dziś przywoływany, że w żadnej części Polski nie doszło do tak brutalnych represji wobec księży jak w Wielkopolsce: „Kościół katolicki w Kraju Warty (diecezje poznańska, gnieźnieńska, włocławska) odniósł największe straty w porównaniu z innymi polskimi diecezjami. W archidiecezji gnieźnieńskiej zginęło 49% duchowieństwa. Zniszczono i ograbiono liczne świątynie. Mimo tak ciężkiego zwalczania Kościoła, życie religijne w Wielkopolsce nie umarło". Kardynał Stefan Wyszyński mówił o tym tuż po wojnie: „Kościół został umęczony w Poznańskim, na Pomorzu, na Śląsku… Myśmy przeżyli okrutne cierpienia, lecz jednak przetrzymali".

Ksiądz Łagoda i przyjaciele

Przypadek ks. Leona nie był odosobniony. W Paryżu po wojnie rachunek strat po stronie Kościoła był smutny. Ksiądz Franciszek Cegiełka SAC obok ks. Leona wymienił wielu jego współpracowników Polskiej Misji Katolickiej, tak opisując powojenną jej sytuację: „Wielkiej radości z przybycia księży i kleryków z obozów koncentracyjnych w Niemczech towarzyszył smutek z powodu straty wielu kapłanów duszpasterzy polskich, którzy zaaresztowani we Francji czy w Polsce, nie wrócili po wojnie z obozów koncentracyjnych. Wymienimy tu przynajmniej niektórych. I tak nie wrócił na swą placówkę jeden z najstarszych zasłużonych duszpasterzy, ks. kanonik Wojciech Rogaczewski, długoletni dziekan we Wschodniej Francji. Zginął w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. Pierwszy z uwiezionych we Francji, młody kapłan ks. Marian Krupiński, duszpasterz w Wittenheim (Wsch. Fr.), zmarł w obozie w Dachau już w grudniu 1941 r. Zasłużony, długoletni duszpasterz, ks. Teodor Makiela z Hayange (Wsch. Francja) oraz młody ks. Hipolit Grządka z Algrange umarli na tyfus w okrutnych warunkach obozu Bergen-Belsen według świadectwa ks. Franciszka Bobrowskiego, również wywiezionego do obozu… W Polsce zostali aresztowani jeszcze inni byli duszpasterze polscy we Francji, jak ks. prałat Antoni Servignat, który został wywieziony do komory gazowej dnia 4 maja 1942 r. z Dachau, w nieznane podówczas centrum gazowania starszych więźniów, razem z ks. Franciszkiem Drelowcem. Do czasowo pracujących wśród Polaków we Francji zaliczali się także ks. Mirosław Krzyżan i ks. dr Antoni Tworek, którzy również – w maju 1940 r. zmarli jeden w Gusen, a drugi w Dachau 1942 r. W maju 1940 r. zginął we Francji z rąk żołdaków niemieckich, podczas inwazji do północnej Francji, ks. Jan Chodura CM, duszpasterz w Oignies. Napadnięty na swej placówce, został przez najeźdźców zastrzelony. Obok niego zginął także ks. Czesław Fiodorowicz, były więzień na Sołówkach, i ks. Czesław Krzyszkowski, duszpasterz polski w Lyonie. W obozie koncentracyjnym ukamienowany został ks. Edmund Kałas, duszpasterz polski w Rosieres" (Studia Polonijne, T. 11 Lublin 1987).

Historia polskich księży pokazuje jasno, kogo Niemcy bali się najbardziej, okupując Polskę. Wiedząc, że sieć polskich parafii będzie zawsze siecią polskiego oporu. ■

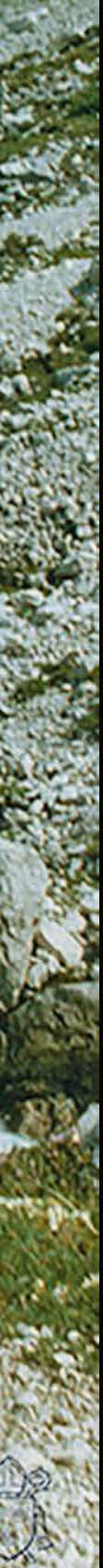
eprasa.pl 8a2e544ff3



Agnieszka Kowalczyk

Święty Jan Paweł II. Człowiek z rodu gór

eprasa.pl/8426544413



Ojciec Święty Jan Paweł II uczy, że „przyroda jest dana człowiekowi również jako przedmiot podziwu i kontemplacji, jako wielkie zwierciadło świata”, w którym odbija się „Przymierze Stwórcy ze swoim stworzeniem”. Miłość do ojczystej natury, wrażliwość na jej piękno i majestat pielęgnował w sobie od najmłodszych lat, czerpiąc z nieprzebranego skarbca rodzimej przyrody. Przemawiały do niego niebosiężne szczyty gór, zieleń pól i lasów, srebrne tafle jezior i nurty rzek, upajał się widokiem tatrzańskich krokusów, zapachem sosnowej żywicy i macierzanki, a nawet skoszonego siana.

FOT. DIECEZJA.PL

Natura była nieodłączną częścią życia Jana Pawła II, a wędrówka – sposobem nawiązywania z nią głębszej relacji. Małopolskę przemierzał samotnie bądź ze współtowarzyszami włóczęgi – najpierw z ojcem i bratem Edmundem, potem ze studentami i przyjaciółmi. Przez ponad pół wieku podziwiał urokliwe zakątki i ustronia nad Skawą, Wisłą i Dunajcem, wędrował pośród wyniosłości Beskidu Małego i Średniego, zapuszczał się w malownicze podkrakowskie dolinki, wyprawiał na Bielany, do Tyńca i Ojcowa, pokonywał pasma Babiogórsko-Jałowieckie i Radziejowej, wkraczał w otulone morzem mgieł królestwo Beskidu Wyspowego i dzikie rewiry Beskidu Niskiego, zgłębiał ducha Gorców z majestatycznym Turbaczem i odludną Doliną Kamienicy, odkrywał fenomeny Tatr – Dolinę Chochołowską, Morskie Oko i Kasprowy Wierch. Wędrował pieszo, jeździł rowerem, szusował na nartach i pływał kajakiem, bo wówczas najściślej jednoczył się z naturą. Czuł ziemię pod stopami, oddychał świeżym powietrzem, zwracał twarz ku słońcu. Na szlakach, drogach, dróżkach i bezdrożach Małopolski wyrastały przed nim wtopione w pejzaż znaki Bożej obecności i niegasnącej pobożności ludu – wiejskie kościoły, przydrożne kapliczki, samotne krzyże, zamyślone figury Chrystusów Frasobliwych i świętych Pańskich.

Otworzyć tajemnicze wrota Beskidów

U stóp lesistego pasma Beskidu Małego, nad malowniczą rzeką Skawą rozpościera się usłana pagórkami ziemia wadowicka, kraina dzieciństwa i młodości Karola Wojtyły – papieża Jana Pawła II. Jej centrum stanowi miasteczko Wadowice, w którym urodził się i dorastał, zaznając rodzicielskiej miłości matki Emilii Kaczorowskiej i ojca Karola, oficera 12. Pułku Piechoty, człowieka głębokiej wiary, który stał się dla syna pierwszym przewodnikiem po skarbcu beskidzkiej przyrody. „Zabierał malca na długie spacery i wędrówki. Olśnił go Grotą Kryształową w podziemnej Wieliczce. Uczył go nazw drzew, kwiatów i ptaków. Śpiewał mu przy ognisku pieśni harcerskie i wojskowe, »Barwny ich strój, amaranty zapięte pod szyją«. Grał na gitarze”. Razem wyprawiali się w bliższe i dalsze okolice Wadowic, będących „krainą zalesionych kopców i kompleksów górskich pociętych dolinami Skawy i Soły. Szczyty Leskowca, Madohory, Magurki czy Jaroszowickiej Góry pociągały urokiem różnorodnych lasów i perspektywą pięknych i rozległych widoków, upajających ciszą i szansą młodzieńczej przygody”.

Za rogatkami Wadowic otwierał się przed młodym Karolem zgoła inny świat, który ujmował go surowym pięknem odwiecznych beskidzkich stoków, wysokich

B2e544ff3

świerków i dostojnych buków, nigdzie indziej niespotykanych jaskiń, ambon, baszt, progów skalnych i „wędrujących kamieni". Przyzywała go ku sobie okryta jodłowo-świerkową szatą Jaroszowicka Góra, przyciągały Bliźniaki, Łysa Góra, Dzwonek, Jaworzyna i Leskowiec, to znów Potrójna, Jawornica, Gancarz i Iłowiec. Beskidzkie królestwo natury przemierzał wespół z ojcem, starszym bratem Edmundem albo też z kolegami z wadowickiego gimnazjum, przed którymi tajemnicze wrota gór otwierał nauczyciel gimnastyki Czesław Panczakiewicz, pionier i entuzjasta turystyki krajoznawczej. „Każda pora roku – jak pisze Stanisław Stolarczyk – przynosiła inne doświadczenia: Latem, kiedy powietrze pachniało ziołami i smrekowym lasem, duł wiatr od Kobylej Góry i Narożnika, uderzał w twarz, zasiewał w młodym człowieku ziarno włóczęgostwa… Jesienią, kiedy woń świeżo skoszonej trawy mieszała się z zapachem dymu ogniska, rozpalonego, aby uzyskać żar i upiec ziemniaki… Zimą, kiedy Beskid drzemał pod śniegiem, czekał cierpliwie na wiosnę, na nowy śpiew potoków i ptaków, na majowe deszcze, na kolejne lato z dniami pełnymi słońca lub burzowymi, pełnymi czarnych chmur zbierających się nad Czubą, Gancarzem, Ostrym Wierchem, Leskowcem".

Na wędrownym szlaku z „Wujkiem"

Niezależnie od tego, czy był studentem, alumnem, skromnym wikariuszem, młodym uczonym, wreszcie biskupem i kardynałem, zawsze jednakowo ulegał urokowi dzikich ustroni krakowskiej ziemi. Od momentu gdy w 1938 roku rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, bliskie jego sercu stały się okolice Krakowa pełne skał, wód i lasów, urzekające rozmaitością krajobrazów przesyconych znakami przeszłości. Polne ścieżki i dróżki prowadziły go do wzniesionego na Srebrnej Górze klasztoru Kamedułów na Bielanach, skąd roztaczał się urzekający widok na dolinę Wisły, Beskidy i odległe Tatry. Innym znów razem zdążał do opactwa benedyktynów w Tyńcu, brał udział w spływie kajakowym Wisłą z Krakowa do Niepołomic, wędrował do Tenczynka, zapuszczał się w Dolinę Bolechowicką albo też do Ojcowa leżącego w Dolinie Prądnika, która „zaspokajała zarówno gusta amatorów sielanek, znajdujących tu owe młyny, owieczki i miłe zagajniki, jak i gusta romantyków, do których wyobraźni przemawiały urwiste skały, tajemnicze jaskinie i ruiny średniowiecznych warowni".

Będąc wikarym w parafii św. Floriana w Krakowie, ks. Karol zapraszał młodzież akademicką na wspólne wycieczki. Najpierw były to podkrakowskie doliny i dolinki, a później coraz dalsze okolice – Beskid Mały, Wyspowy, Sądecki i Żywiecki, Gorce, Pieniny i Tatry, dzikie Bieszczady i Beskid Niski, Mazury i Suwalszczyzna. Młodzi wędrowcy chodzili wraz z ks. Karolem po górach, pięli się na szczyty, zdobywali Lipowską, Policę i Babią Górę w Beskidzie Żywieckim; Leskowiec, Bliźniaki, Chełm i Kotoń w Beskidzie Małym i Średnim; Turbacz i Kudłoń w Gorcach; Śnieżnicę, Luboń, Mogielnicę w Beskidzie Wyspowym, a Baranią Górę, Skrzyczne i Klimczok w Beskidzie Śląskim. Zimą szusowali na nartach po ośnieżonych stokach, a latem wsiadali do kajaków, olśnieni urodą ojczystych rzek i jezior, widokiem dzikiego ptactwa w sitowiu, kormoranów i czarnych łabędzi. Wieczorami zasiadali wokół płonącego ogniska, bo „to nastrój i to ciepło przyjaźni". Potem zaś, nocując w napotkanej stodole czy szałasie, chłonęli pełną piersią zapach świeżego siana. Podczas wyprawy trzeba było pomyśleć o wszystkim – nazbierać drew na opał, uwarzyć chociażby skromną strawę, rozbić namiot, zdobyć źródlaną wodę. Dzielący ze swymi współtowarzyszami przyjemności i trudy wędrówki ks. Karol, nazywany przez nich „Wujkiem", był ich kapłanem, duchowym przewodnikiem i prawdziwym przyjacielem. W ten sposób w latach 50. ukształtowało się wokół jego osoby tzw. Środowisko, czyli wspólnota młodych, którzy pogłębiali swoją wiarę podczas wędrówek po Polsce.

Ze swą gromadką szedł więc „Wujek" w pocie czoła, w zwykłym turystycznym stroju, w podniszczonych trampkach, z ciężkim plecakiem, w którym zabraknąć nie mogło przedmiotów liturgicznych, koniecznych do tego, by w głębi gór dokonał się cud Eucharystii. Zatrzymywali się w napotkanych po drodze małych wiejskich kościółkach, gdzie odprawiał Mszę świętą dla młodych bądź też modlił się wraz z nimi przy polowych ołtarzach, przydrożnych kapliczkach, a także przy krzyżach wyrastających samotnie wśród łąk i pól.

To właśnie polskie góry stały się przestrzenią eksperymentu ks. Karola, jakim było na początku lat 50. powołanie do życia duszpasterstwa turystycznego. Rozumiał on najlepiej, czym może być dla młodych ludzi katechizacja na łonie przyrody, w przestworach gór, na pnących się ku niebu wyniosłościach, gdzie człowiek znajduje się bliżej Boga.

W mateczniku Beskidu Niskiego

Prawdziwym wyzwaniem dla ks. Karola i jego młodych przyjaciół było odkrywanie w latach 50. i 60. najdzikszego pasma polskich gór – Beskidu Niskiego, leżącego na pograniczu Małopolski i Podkarpacia. Przed wędrowcami otwierała się kraina stanowiąca odwieczny matecznik natury, pociągająca surowym pięknem odludnych gór i dolin, dostojnych lasów bukowych przetykanych jedliną i jaworzyną, nad który-

eprasa.pl 8a2e544ff3

mi króluje niepodzielnie szczyt Lackowej (997 m n.p.m.), zdobyty przez ks. Karola w 1959 roku. Panami zaś leśnych kniei Beskidu Niskiego są niedźwiedzie brunatne, wilki szare, rysie i żbiki, a w przestworzach wypatrzeć można myszołowa, orlika krzykliwego i bociana czarnego. W tych leśnych kniejach Beskidu Niskiego albo wśród tutejszych łąk, pastwisk i torfowisk ks. Karol prowadził niecodzienne rekolekcje, chłonąc jednocześnie niepowtarzalny klimat kultury łemkowskiej.

Na jedną z wypraw w Bieszczady i Beskid Niski ks. Karol wyruszył wraz ze swoją duszpasterską „Rodziną" w 1953 roku, pakując do plecaka pudełeczko z hostiami, flaszeczkę z winem, rozkręcony na dwie części krzyż, relikwiarz i mszalnik benedyktyński. Cała eskapada rozpoczęła się w Ustrzykach Dolnych, w strugach ulewnego deszczu. Przemoknięci do suchej nitki wycieczkowicze znaleźli przytulisko na strychu strażnicy Wojsk Ochrony Pogranicza, gdzie „Wujek" odprawił w tajemnicy pierwszą polową Mszę świętą. Każdy kolejny dzień górskiej włóczęgi zaczynał się od Eucharystii sprawowanej czy to w ruinach cerkwi, czy też na ołtarzu ułożonym z kamieni. Z równym alpinistom entuzjazmem młodzi wspinali się na Tarnicę, najwyższy szczyt polskich Bieszczadów, który w sierpniu 1980 roku zwieńczony zostanie drewnianym krzyżem wzniesionym przez kleryków seminarium duchownego w Przemyślu. Drogami i bezdrożami maszerowali niestrudzenie do Cisnej, a potem w stronę Komańczy. Mimo iż zapadały ciemności i deszcz zacinał niemiłosiernie, oni wciąż szli niestrudzenie, dodając sobie otuchy wspólnym śpiewaniem. „Przed samą Komańczą – jak opowiada Janusz Rieger – mamy przejść przez Osławicę, zdejmujemy buty, podciągamy spodnie, przechodzimy. Gdy tylko wyszliśmy na brzeg, pada ostrzeżenie: »Stać! Ręce do góry!«. Jesteśmy otoczeni przez grupę z karabinami. Prowadzą nas na posterunek […]. Tam rzecz się wyjaśnia, papiery mamy w porządku". Odetchnąć mogli dopiero, znajdując serdeczną gościnę w klasztorze sióstr nazaretanek w Komańczy, gdzie w zamian za uzbierane grzyby najedli się do syta pierogów ruskich i wyspali na sianie w klasztornej stodole.

Przemierzając Bieszczady, ciągle posuwali się w stronę Beskidu Niskiego, pędząc wieczory na długich rozmowach przy ognisku. „Turystyczne menu w tamtym czasie – jak pisze Andrzej Potocki – ograniczało się do: zupy, konserw, kaszy, kompotu z zebranych po drodze leśnych owoców i herbaty. Chociaż któregoś dnia udało im się kupić od miejscowych gospodarzy 50 jajek i usmażyć je na pożyczonej od wojska patelni. Na każdego wypadło prawie po trzy jajka. Po każdym posiłku następowało szorowanie kociołka i kocherów piaskiem, w której to konkurencji podobno niedościgłe mistrzostwo osiągnął »Wujek«!". Gdy niestrudzonym piechurom udało się dostać na Magurę Wątkowską, na jej stoku, w wigilię Wniebowzięcia NMP, ks. Wojtyła odprawił Mszę świętą śpiewaną, za której sprawowanie (a właściwie za zorganizowanie nielegalnego zgromadzenia) omal nie został aresztowany z poruczenia śledzących grupę funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Polecenie zatrzymania duchownego trafiło już nawet do placówki Wojsk Ochrony Pogranicza w Wysowej, ale przezorny ks. Wojtyła „podzielił grupę na dwójki, a sam szedł zupełnie z tyłu, za wędrowcami. Tak więc rzekomego zgromadzenia na trasie nie było". Dalej więc szczęśliwie przemierzali zachwycające swą pierwotnością zakątki Beskidu Niskiego z bukami, jodłami, dębami i jaworami. Mijali opustoszałe wioski – Wołowiec, Jasionkę, Ługi, Regetów, wspinali się na szczyt Koziego Żebra, wdrapali się na Huzara, by ostatecznie zakończyć swą wyprawę w Krynicy.

▶ U Matki Bożej Leśnej – Królowej Gorców

„Czasami na gorczańskich polanach – jak opowiada Stanisław Stolarczyk – wstępował do pasterskich szałasów. Lubił pogwarzyć z góralami. Napić się żentycy. Czasami siadał w blasku watry. Nieraz juhasi prosili Go o rozpalenie ognia. Tak prawdopodobnie było i wtedy, którejś tam jesieni. Był już wtedy kardynałem. Dołączył do górali, którzy nosili suche gałęzie na ognisko. A gdy ułożyli drwa i stos był gotowy, baca poprosił kardynała o podpalenie go za pomocą tylko jednej zapałki. Ksiądz kardynał bez wahania zgodził się. Ułamał kilka drobnych gałązek, podsypał igliwia i skrzesał ogień. Nikłe płomyki liznęły patyki i szary dym poszedł do góry. Klasnęli w dłonie juhasi. A baca, patrząc na dym, powiedział: – Widzi się ze nos kardynał Łojcem Świntym zostanie".

Gdy tak się stało, gorczańscy górale w podzięce Bogu za wybór na stolicę Piotrową „pierwszego papieża z rodu Polaków" wznieśli w 1979 roku kaplicę na Rusnakowej Polanie, dwa kilometry poniżej szczytu Turbacza. Stała się ona darem dla Jana Pawła II z okazji jego pierwszej pielgrzymki do ojczyzny. Patronką kaplicy została Matka Boska Bolesna – Królowa Gorców, zwana też Matką Bożą Leśną. Sercem tej góralskiej budowali, wzniesionej na planie krzyża Virtuti Militari, stała się usytuowana tu pierwotnie kapliczka Matki Bożej Królowej Gorców, przeniesiona teraz do prezbiterium i ustawiona za ołtarzem z granitowej skały. „Stanowił ją rosochaty pień smreka, skrępowany drutem kolczastym, z wbitymi weń trzema bagnetami. Symbolizują one trzy armie: niemiecką, sowiecką i słowacką, które we wrześniu zaatakowały Polskę. To ten pień, ze znakiem Polski Walczącej, kryje – czczoną

eprasa.pl 8a2e544ff3

przez górali od dziesiątków lat – maleńką figurkę Matki Bożej Leśnej w koronie, stojącą pomiędzy trzema konarami. Konarów bronią hełmy polskiej piechoty, polskiej kawalerii i polskich zdobywców Monte Cassino" – piszą Andrzej Matuszczyk i Urszula J. Własiuk.

Sam ks. Karol Wojtyła szczególnie upodobał sobie Gorce i miał tu nawet swoje ulubione miejsce wypoczynku. Oto w urokliwej dolinie Kamienicy Gorczańskiej, na polance nazywanej „Do Grabca", kryje się niepozorny szałas, do którego w lipcu 1976 roku zawędrował, będąc już metropolitą krakowskim. W związku z tym, że lato było deszczowe, ułożył przed wejściem swego rodzaju „brukowy chodnik, ściągając głazy z koryta wartkiej Kamienicy i na dwa tygodnie zaszył się przed światem w tej gorczańskiej głuszy – czytał tu, pisał, snuł filozoficzne refleksje i rozmawiał z Bogiem. Tożsamość niezwykłego gościa zdradziła dopiero limuzyna ciągnąca z pałacu Arcybiskupów Krakowskich przez wertepy i polne dróżki ku jego szałasowi. Jechali w niej ks. Franciszek Macharski i ks. Andrzej Deskur z ważnymi sprawami do metropolity krakowskiego, który, jak się okazało, na łonie gorczańskiej przyrody przygotowywał się do obrad XLI Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego w Filadelfii (1976) jako przewodniczący delegacji Episkopatu Polski. Czar Kamienicy odkrył już podczas wycieczki narciarskiej, którą odbył wraz ze studentami UJ na przełomie lat 50. i 60. Ostatnia zaś jego bytność w tym leśnym ustroniu miała miejsce zimą 1978 roku, na krótko przed tym, jak został papieżem.

W Tatry na krokusy

W Tatrach ks. Wojtyła czuł się jak w domu, zżyty z górską przyrodą, odkrywającą przed nim swe tajemnice. Jedną ze swoich tatrzańskich wypraw odbył wraz z młodzieżą akademicką w kwietniu 1952 roku. W Zakopanem przywitała wędrowców prawdziwa tatrzańska wiosna, a na Polanie Chochołowskiej i na Gubałówce wyzierające ze śnieżnego puchu krokusy wabiące słoneczną żółcią i ożywczym fioletem. Dla zobaczenia tych cudnych kwiatów młodzi wraz z ks. Karolem przyjechali tu specjalnie z Krakowa.

Urzeczony Tatrami ks. Wojtyła ciągnął w nie w kolejnych latach. Wędrował Doliną Chochołowską, wyprawiał się na Halę Gąsienicową, wdrapywał na strzelistą turnię Kościelca, odwiedzał Dolinę Pięciu Stawów i Morskie Oko, gdzie po raz pierwszy w 1932 roku wybrał się ze swoim bratem Edmundem. Innym znów razem zapuścił się do tchnącej swą pierwotnością Koziej Dolinki, by z tego gniazda dzikości przedostać się na Kozią Przełęcz, a stamtąd Orlą Percią – na Zawrat, jedną z najsłynniejszych przełęczy tatrzańskich. W czasie tych wypraw chłonął barwny góralski świat z bacami i juhasami, z porywającą muzyką i pieśnią. „Góry nase, góry,/ pozłociste skały,/ gdy się w was zapatrze,/ to widze świat cały" – śpiewano biskupowi z Krakowa i częstowano go oscypkami.

Jedno z ukochanych tatrzańskich miejsc ks. Wojtyły to Wiktorówki, leżące na skraju Rusinowej Polany, w górnej części Doliny Złotej, u podnóża szczytów Gęsiej Szyi i Gołego Wierchu. Stanowią one niepodzielne władztwo Matki Boskiej Jaworzyńskiej, która od górali i wędrowców odbiera szczególną cześć w swym leśnym sanktuarium, począwszy od momentu, gdy, jak głoszą przekazy, objawiła się tu czternastoletniej pasterce Marysi Murzańskiej. Z czasem na Rusinowej Polanie stanęła drewniana kaplica, wzniesiona na cześć Królowej Tatr przez pobożny lud góralski. W 1975 roku natomiast, za sprawą ks. Wojtyły, powstał tam turystyczny ośrodek duszpasterski, stworzony z myślą o zdążających do tego miejsca pielgrzymach.

Wyprawiając się natomiast do Morskiego Oka, zwykle zachodził na Jaszczurówkę, zawdzięczającą swą nazwę salamandrom plamistym, a do dlatego, że owe „jaszczury", jak mówili o nich górale, upodobały sobie w szczególności ten tatrzański zakątek u podnóża reglów, w ciemnym ostępie starego świerkowego lasu, gdzie wśród brył skalnych dobywało się ciepłe źródło, a wokół niego przez cały rok utrzymywała się roślinność. Jaskier i rzeżucha nawet zimą porastały bujnymi kępkami obrzeża jeziorka, którego wodnej tafli nigdy nie ścinał mróz. Jaszczurówka to jednak nie tylko wody termalne ujęte w XIX wieku w baseny, to także kaplica Najświętszego Serca Pana Jezusa wzniesiona w stylu zakopiańskim według projektu Stanisława Witkiewicza oraz dom sióstr urszulanek z kaplicą klasztorną, w której ks. Karol jako biskup często odprawiał Mszę świętą.

Na tatrzańskich szlakach ks. Wojtyły znajdowała się także Bachledówka, z której roztaczał się bajeczny widok na Czerwone Wierchy, Giewont i Kasprowy, wabiły pienińskie Trzy Korony, Gorce z wyniosłym Turbaczem, a także masyw Babiej Góry nazywanej Królową Beskidów. Na Bachledówce swój klasztor i kościół zachwycający góralskim wystrojem mieli ojcowie paulini, wielcy czciciele Matki Bożej Jasnogórskiej. Nic więc dziwnego, że to miejsce w szczególny sposób upodobali sobie Prymas Tysiąclecia ks. Stefan Wyszyński i jego przyjaciel ks. kardynał Wojtyła, który jako metropolita krakowski odwiedzał Bachledówkę w latach 1967 –1973. Spacerując z ks. Wyszyńskim po okolicznych polach i lasach, kontemplował piękno tatrzańskich widoków i często ucinał sobie pogawędki z napotkanymi zbieraczami leśnych jagód, kosiarzami i drwalami.

Święty na dwóch deskach i w kajaku

Gdy w górach nastaje zima, „na tle przesiąkniętego blaskiem nieba jaśnieją Tatry białe, jak z jednej bryły

eprasa.pl 8a2e544ff3

marmuru, promieniste, jasne, świetne, olśniewające, rzeźwe i wesołe" – jak poetycko ujął to Stanisław Witkiewicz. Na takie prześwietlone słońcem tatrzańskie szlaki ks. Wojtyła wyruszał też na dwóch deskach. I tak w 1955 roku odbył wiosenną wycieczkę na Kasprowy Wierch, a zimą zapuścił się na nartach w Dolinę Chochołowską i piął po stromym stoku Jarząbczego Wierchu. W następnym roku w Tatry zawitał aż trzykrotnie – przedzierał się na nartach z Zakopanego przez Gęsią Szyję do schroniska w Roztoce, sunął przez Kościelisko i Trzydniowiański Wierch na Wyżnią Polanę Chochołowską albo też z Polany Chochołowskiej na Grzesia. Nawet po otrzymaniu sakry biskupiej nie zaprzestał narciarskich eskapad. W 1959 roku zdobył Wołowiec i wraz z Jerzym Ciesielskim wyruszył przez Halę Gąsienicową na Zawrat, gdzie obu śmiałków dopadła kurniawa – burza śnieżna z bijącymi piorunami. Smagani wiatrem narciarze przedzierali się w ciemnościach ku dolinie Pięciu Stawów, do której dotarli niemal po omacku, w chwili gdy poczuli, że pod ich stopami załamuje się lód. „Do schroniska było jeszcze daleko i nie wiadomo, w którą stronę. Jak się modlili – dziś wie tylko »Wujek«. Pan Bóg pozwolił, że doszli. Półżywi". Nazajutrz cali i zdrowi skierowali się ku Wodogrzmotom Mickiewicza.

Na nartach ks. Wojtyła zjeździł Tatry wszerz i wzdłuż, pokonując coraz to nowe trasy – z Brzezin przez Psią Trawkę na Rusinową Polanę – do kaplicy Królowej Tatr na Wiktorówkach, z Jaszczurówki na Kopieniec przez Dolinę Olczyską, z Wyżnej Polany Chochołowskiej ku Dziurawej Przełęczy, sunął też Doliną Jarząbczą pod Niską Przełęcz i podchodził na grań Łopaty. Ulubionym zaś jego szlakiem narciarskim był ten z Doliny Chochołowskiej na Rakoń, gdzie wyrastały ciemne ściany Rohaczy i lśnił w dole Niżni Staw Rohacki.

Tak samo dobrze jak na nartach czuł się ks. Wojtyła z wiosłem w ręku. Był zapalonym kajakarzem, którego kusił przełom Dunajca, jeden z najpiękniejszych wąwozów rzecznych w Europie, otwierający perspektywę ekscytującego spływu flisackimi łódkami – „atrakcji na miarę weneckich gondoli". W maju 1955 roku postanowił wziąć udział w dwudniowym XIV Ogólnopolskim Spływie Kajakowym na Dunajcu, zorganizowanym przez Okręgową Komisję Kajakową PTTK w Krakowie. Miał już za sobą przeprawy przez Brdę i Czarną Hańczę, a do tego doskonale znał tonie zachodniopomorskich i suwalskich jezior. Teraz zaś w swej dłubance „Wujek" popłynął z Nowego Targu ku czorsztyńskim ruinom i zamkowi w Niedzicy, mijając po drodze Dębno z przepięknym, piętnastowiecznym kościółkiem, który według krążących legend mieli wznieść na tym miejscu zbójnicy. W zmaganiach z wodą przyszły papież radził sobie doskonale aż do odcinka w Sromowcach Niżnich. Tam, po zderzeniu się z podwodnym głazem, jego kajak zaczął wypełniać się wodą. Szczęśliwie jednak zdołał pokonać wzburzone nurty i dobić do Szczawnicy. Zażył przy tym „zimnej dunajcowej kąpieli. Cały ekwipunek nasiąknął wodą. Suchy pozostał tylko brewiarz".

„Ja z rodu jestem człowiekiem gór"

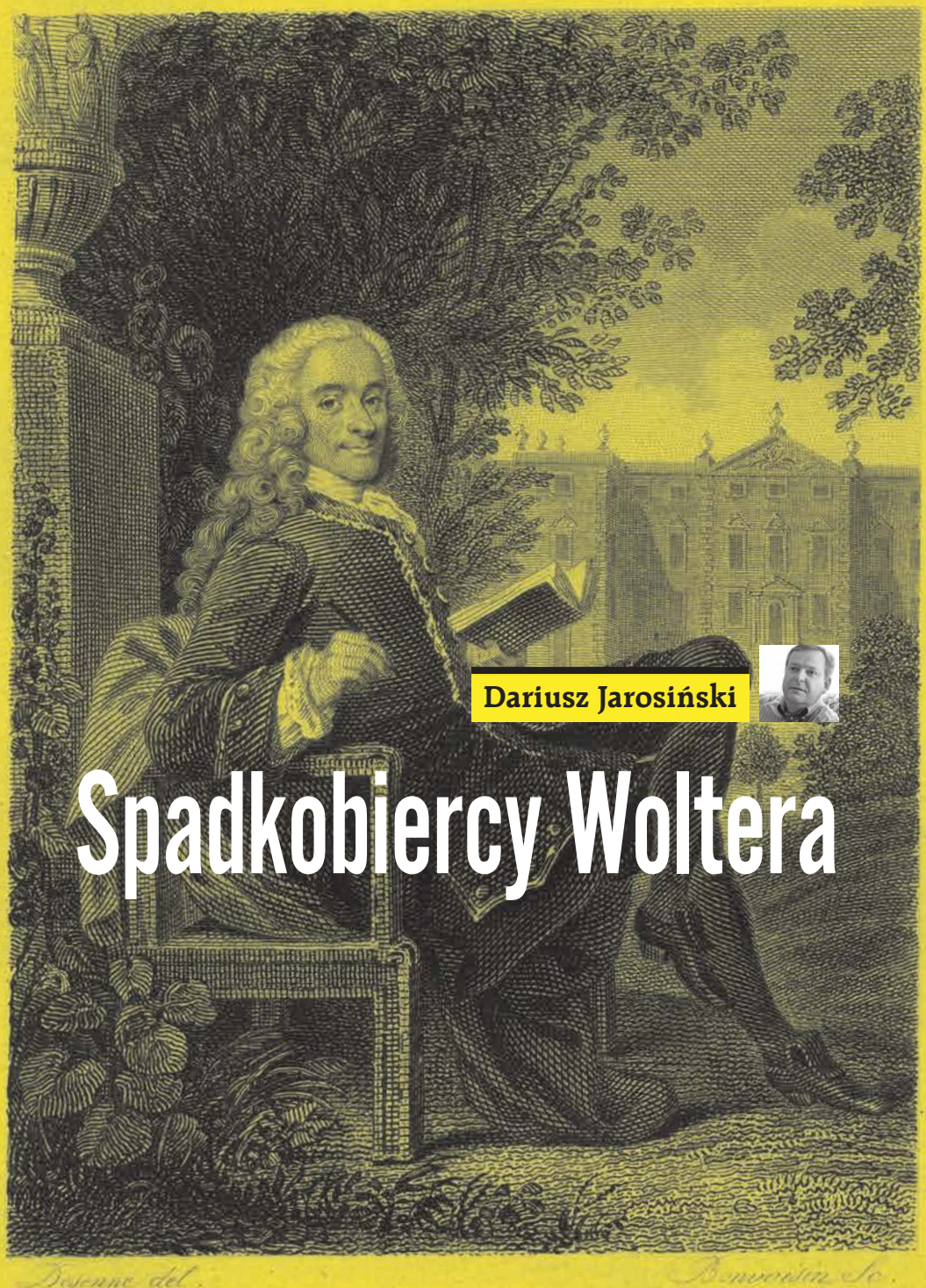
Jako arcypasterz całej ludzkości zawsze tęsknił do tych ukochanych zakątków ojczystej ziemi, które stały się mu bliskie podczas niezliczonych wypraw krajoznawczych. Szczególnie zaś umiłował polskie góry – rodzime wyniosłości Beskidu Małego i te coraz wyższe i odleglejsze skalne strażnice polskiej ziemi – Beskid Średni, Żywiecki, Wyspowy, Sądecki, Pieniny, Gorce, Tatry, Sudety, Bieszczady i Beskid Niski… „Ja z rodu jestem człowiekiem gór – mówił o sobie – chociaż moją Ojczyzną jest cała Polska, wszędzie, gdzie jest Polska, i wszystko, co jest polskie – to jednak z tą częścią Ojczyzny byłem szczególnie związany, bo tam się urodziłem, bo tam spędziłem prawie całe moje życie, tam zostałem powołany do kapłaństwa, do biskupstwa – byłem góralskim biskupem, góralskim kardynałem, a na końcu zostałem góralskim papieżem".

Do Polski powracał dziewięciokrotnie i wtedy jego żywy sentyment do ojczystej przyrody wybrzmiewał w wygłaszanych homiliach, objawiał się w znaczących spojrzeniach na Giewont zwieńczony krzyżem i na majaczący w oddali szczyt Turbacza, dochodził do głosu nad Morskim Okiem i na Kasprowym Wierchu, skąd było „bliżej do Boga".

O tej wielkiej miłości papieża do ojczystej przyrody, o jego wędrówkach po górach, wyprawach narciarskich i kajakarskich, o chwilach radości, refleksji i modlitwy na łonie natury, tych samotnych i we wspólnocie, o powrotach do ukochanych miejsc opowiada album „Pilnujcie mi tych szlaków. Święty Jan Paweł II i małopolska przyroda" (2024). Ze swojej strony zachęcam nie tylko do zapoznania się z tą książką, ale przede wszystkim do odbywania wędrówek śladami Jana Pawła II po małopolskiej krainie przyrodniczych osobliwości, którą przez ponad pół wieku przemierzał wszerz i wzdłuż jako wielki entuzjasta turystycznych eskapad i rekolekcji w drodze. Co więcej, Jan Paweł II w 2020 roku został ogłoszony patronem Małopolski, w której jest ciągle żywy i obecny. Niezniszczalną częścią pamięci o nim stał się utworzony w 2003 roku Małopolski Szlak Papieski, będący odpowiedzią na Jego wezwanie: „Pilnujcie mi tych szlaków!". I nas nie powinno na nich zabraknąć. ■

Źródło: „»Pilnujcie mi tych szlaków«. Święty Jan Paweł II i małopolska przyroda", tekst: Agnieszka Kowalczyk, współpraca Aleksandra Wójcik, Kraków 2024.

eprasa.pl 8a2e544ff3



Dariusz Jarosiński

Spadkobiercy Woltera

eprasa.pl 8a2e544ff3

Komunizm we Francji trzymał się po wojnie długo i mocno, był ulubionym opium francuskich intelektualistów. Spadkobiercy Woltera wprowadzili „terror intelektualny", niedopuszczalna była jakakolwiek krytyka komunizmu. Na nieugiętych stalinowcach nie robiły wrażenia żadne świadectwa obnażające bolszewickie potworności.

Intelektualiści, jako odrębna grupa społeczna zajmująca się pracą umysłową i wpływaniem na opinię publiczną, zajmują ważne miejsce we Francji już od czasów oświecenia. Wraz z upadkiem władzy duchownej stali się następcami i świeckimi odpowiednikami kapłanów w Kościele katolickim, dlatego zyskali miano klerków; podobnie jak kapłani odnosili się do wartości duchowych, a nie materialnych.

Świecki intelektualista głosił, że poświęca się dla dobra rodzaju ludzkiego i ma ewangeliczny obowiązek ulepszania świata; nie czuł się związany z żadną religią, a do tradycji, zbiorowej mądrości przeszłości, odwoływał się w sposób wybiórczy lub ją odrzucał, bo przecież on najlepiej wiedział, co jest moralnie słuszne, co jest dobre dla ludzkości, on miłował bezinteresownie prawdę. Jego opinii nie można było podważać, on był nieomylny.

▶ „Ach, jak te twarde lizał stopy kwiat oświeconej Europy"

Idee oświeceniowe pierwszych nowożytnych intelektualistów, Jana Jakuba Rousseau, Woltera, Denisa Diderota, krytykujące Kościół, religię katolicką, autorytety, promujące racjonalizm, laicyzację kultury miały duży wpływ na prądy umysłowe w Europie, stały się podglebiem intelektualnym krwawej rewolucji francuskiej. Z uznaniem odnosili się do monarchii Prus i Rosji, państw reformujących się w duchu oświeceniowych wzorców wolności. Wolter, kreujący się na obrońcę wolności, przyjął z zadowoleniem rozbiory Rzeczypospolitej jako państwa niepasującego do jego koncepcji ustroju.

Rosja od dawna potrafiła obłaskawiać wpływowych sprzymierzeńców. Córka Piotra I, caryca Elżbieta, zamówiła u Woltera książkę o swoim ojcu. „Historia Imperium Rosyjskiego za panowania Piotra Wielkiego" stała się obrazem Rosji jako wcielenia oświeceniowej idei rozumnego państwa, „najbardziej epokowego wydarzenia w dziejach Europy od czasu odkrycia Nowego Świata". Po Elżbiecie z usług Woltera korzystała Katarzyna II. Hojnie wynagradzany filozof z powodzeniem kształtował na Zachodzie efektowny obraz imperium carycy. Konkurował z nim Diderot. Wprawdzie zwiedzając osobiście Rosję, nieco się rozczarował, ale wobec tego, że Katarzyna za niemałe sumy zakupiła jego bibliotekę, powierzając mu ją w dozgonne użytkowanie, krytyczne spostrzeżenia zachował dla siebie.

Janusz Szpotański w utworze „Caryca i zwierciadło" pisał o umizgach francuskich filozofów, pisarzy do carycy Katarzyny II: „Ach, jak te twarde lizał stopy / kwiat oświeconej Europy, / jak na wyścigi cała zgraja / Wolterów, Russów, Diderotów, / z poważną miną, bez wymiotów, / na cześć jej układała ody – / patronki na-

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 2e544ff3

uk i swobody, / gdy ta dusiła twardą ręką / każdą myśl wolną, a narody / za kark chwytała tak jak koszkę / i przenosiła na wschód troszkę".

Oczarowanie Rosją oświeceniowych filozofów podzielali też XX-wieczni filozofowie, politycy, bez względu na wyznawane poglądy, jak na przykład Jean Paul Sartre i Marine Le Pen. Zauroczenie wielu intelektualistów francuskich komunizmem, Sowietami często miało początek w zachwycie literaturą rosyjską, muzyką.

Romain Rolland, laureat Nagrody Nobla w 1915 roku, autor „Colas Breugnon", jako miłośnik literatury rosyjskiej, a w szczególności Lwa Tołstoja, został zaproszony przez Stalina na Kreml. Z okazji tej wizyty Sowieci wydali jego „Dzieła zebrane" w nakładzie 600 tys. egzemplarzy. Przy okazji drugiego spotkania ze Stalinem miał też okazję poznać ówczesnego „budzącego sympatię" szefa NKWD, Jagodę, zauważając jego „uczciwe i łagodne oczy". Rolland pisał później listy do Stalina, w których zapewniał o oddaniu i lojalności. W listach dawał dobre rady „ojcu wolnych narodów", prosił też na przykład o pełne przedstawienie win ofiar wielkiego terroru, m.in. polskich księży, bo co do zasadności „ukarania" nie miał wątpliwości. Czasami prosił o ułaskawienie niektórych towarzyszy. Stalin oczywiście nie reagował na te prośby. Rolland spędził wojnę i ostatnie miesiące życia w areszcie domowym w miejscowości Vézelay w państwie Vichy, żeby nie mógł wygłaszać publicznie prokomunistycznych przemów. Zmarł w 1943 roku.

André Gide należał do nielicznych pisarzy, którzy po pobycie w Rosji przejrzeli na oczy. Gide po powrocie z podróży wydał w 1936 roku książkę „Powrót z ZSRS". Książka, choćby ze względu na nazwisko autora, zyskała duży rozgłos. Od czasu jej publikacji wszyscy we Francji wiedzieli o zbrodniach Stalina; Gide przestrzegał w niej przed komunizmem i konsekwencjami stalinizmu. A jednak odezwały się głosy potępiające Gide'a i jego „zakłamaną książkę". Do najbardziej zagorzałych krytyków należał Rolland.

Panowanie opinią i sądami

Francuscy filozofowie, pisarze byli przeświadczeni o swojej wyjątkowości, o tym, że mają powierzoną ważną misję do spełnienia w świecie, że tylko oni są w stanie przewodzić intelektualnie i moralnie światu. To zadufanie w sobie nigdy ich nie opuściło. Konserwatysta, wybitny filozof epoki rewolucji Joseph de Maistre dowodził: „Spośród narodów, które odegrały rolę w historii nowożytnej, żaden być może nie jest bardziej godny, by spoczęło na nim oko filozofa, aniżeli naród francuski. Żadnemu z narodów nie przypadła w udziale misja bardziej wyraźna i wartości bardziej oczywiste, by rolę tę odegrać. Francja, ta, która istniała przed Rewolucją (nikt nie zna losu, jaki ją oczekuje w przyszłości), wyznaczona została przez los, by wywierać wpływ na wszystkie części Europy w tym samym stopniu, w jakim Europa wywiera go na inne części świata".

Inne kraje też mają intelektualistów zabierających głos w ważnych zbiorowych kwestiach, jednak w przekonaniu samych Francuzów tylko we Francji tworzą oni grupę tak zwartą, przeniknięta poczuciem własnej misji i tylko tutaj spotykają się z takim posłuchem. W roli moralnego przewodnika stanowią oni przede wszystkim specjalność francuską.

W „Szkicach piórkiem" Andrzeja Bobkowskiego, a także w innych jego utworach, listach, znajdujemy wiele cennych i trafnych uwag, komentarzy na temat Francji, narodu francuskiego: „Naród ten mógłby być straszny dla innych, gdyby był narodem zaborczym. Lecz nie to posłannictwo przypadło mu w udziale. […] jeśli Francuzi nie mogą opanować zbrojnie narodów obcych, to jednak panowali oni nad nimi zawsze w sposób bardziej chwalebny – panowali opinią i sądami. […] By władać tam, gdzie właśnie to przypadało jej w udziale, Francja została obdarzona językiem panującym, którego ukryte właściwości są jeszcze tajemnicą pomimo wszystko, co zostało powiedziane na ten temat. […] Zanim nawet język ten odznaczył się sławnie dzięki swym wielkim dziełom wszelkich rodzajów, Europa przeczuła jego wyższość – lubiło się go i zaszczytem było nim mówić".

Czerwony front

Znaczenie intelektualistów w życiu politycznym umocniło się wraz ze wzrostem roli mediów. Pod koniec XIX wieku francuscy intelektualiści wykorzystali sprawę Dreyfusa, oskarżonego o zdradę na rzecz Niemiec oficera pochodzenia żydowskiego, do osłabienia prawicy i zepchnięcia jej na margines. Powstały na ten temat książki, filmy fabularne. Lewica nabrała wiatru w żagle. W 1920 roku powstała Francuska Partia Komunistyczna, która w 1936 roku liczyła 235 tys. członków i stanowiła coraz bardziej liczącą się siłę na scenie politycznej nad Sekwaną. W latach 30. wielu intelektualistów francuskich uległo utopii komunizmu.

Louis Aragon, poeta, pisarz, krytyk literacki, wstąpił do partii komunistycznej w 1927 roku, której wiernym członkiem pozostał aż do śmierci w 1982 roku. Zabłysnął rewolucyjnym poematem, agitką, „Front rouge" („Czerwony front"), w którym nawoływał do mordowania wrogów komunizmu „o całkowite unicestwienie tej burżuazji […]. Śmierć tym, którzy zagrażają zdobyczom Października. Śmierć sabotażystom Pięciolatki". W innym wierszu wyznawał, że jeśli żona uszczęśliwi go dzieckiem, to pierwszym słowem, jakie-

eprasa.pl 8a2e544ff3

go je nauczy, będzie słowo „Stalin", chwalił „osiągnięcia" GPU, sowieckiej policji politycznej. W 1934 roku uczestniczył w delegacji francuskiej na zjazd pisarzy sowieckich. Efektem tego wyjazdu było zorganizowanie w czerwcu 1935 roku w Paryżu Kongresu Pisarzy w Obronie Kultury, którego celem było zacieśnienie porozumienia literatów francuskich i sowieckich pod sztandarem antyfaszyzmu. Kongresowi patronował Maksym Gorki, przewodniczący Związku Pisarzy ZSRS, a udział w nim wzięli m.in. pisarze: Louis Aragon, André Gide, André Malraux, Paul Nizan, Romain Rolland (przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Antyfaszystowskiego), Henri Barbusse. Kongres Pokoju, który odbył się w 1948 roku we Wrocławiu, był kontynuacją paryskiej „wielkiej mszy intelektualnej", jak nazwano kongres z roku 1935 w ówczesnej prasie francuskiej.

Komuniści francuscy ściśle realizowali politykę Moskwy i Stalina; na kilka dni przed wrześniową inwazją Hitlera na Polskę Francuska Partia Komunistyczna poparła pakt Ribbentrop–Mołotow, popierając de facto rozbiór Polski. W związku z tym 1 września posłowie partii komunistycznej zostali usunięci z parlamentu, ugrupowanie rozwiązano, a jego członków powołano do armii. Pierwszy sekretarz partii, Maurice Thorez, zdezerterował i uciekł do Moskwy, gdzie pozostawał do 1944 roku.

Aragon w 1939 roku podszedł z entuzjazmem do sojuszu sowiecko-niemieckiego, publikując na łamach „Ce Soir" pochwalny tekst pt. „Długiego życia dla pokoju", za co gazeta została zamknięta, a autor powołany do wojska. Na dwa tygodnie przed wojną zamknięto we Francji wszystkie wydawnictwa komunistyczne. Aragon brał udział w kampanii francuskiej, a następnie, jak większość literatów, udał się z Paryża do Nicei, która znajdowała się pod kontrolą rządu z Vichy. W 1942 roku opublikował w okupowanym Paryżu swoją powieść „Pasażerowie z dyliżansu". Choć odżegnywał się oficjalnie od prawicy, to nie przeszkadzało mu to regularnie publikować w tamtejszej prasie swoich wierszy, współpracował też z milicją Vichy, był jej tajnym donosicielem. Podczas okupacji niemieckiej we Francji ukazało się więcej książek niż w jakimkolwiek innym kraju na świecie.

Trzy tygodnie potrzebowała armia niemiecka, by zająć wiosną 1940 roku Francję. Francuzi podpisali akt kapitulacji w tym samym wagonie kolejowym, w którym 22 lata wcześniej Niemcy podpisali rozejm kończący I wojnę światową. Wydarzenie to miało miejsce 22 czerwca 1940 roku w lesie Compiègne, a był to dla Hitlera sposób na upokorzenie Francji.

Wraz z kapitulacją zaczął się najbardziej wstydliwy dla Francji okres, okres kolaboracji z Niemcami – pokazał on nędzę moralną elit tego narodu. Kolaborowali niemal wszyscy.

„Teraz właśnie, teraz wychyla się z przeszłości i szczerzy zęby 1940 rok" – pisał Andrzej Bobkowski. „Teraz dopiero w pełni odbija się francuski czerwiec z Pétainem i Weygandem na czele. W Belgii – Leopold. Te narody tak się skurwiły, upadły tak nisko, tak przełamały się w krzyżach, że dziś nie mają już na nic ochoty, jak tylko na to samo. Jeśli koniec przyjdzie, a pewnie przyjdzie, to w każdym razie początku trzeba będzie szukać wśród tych słonecznych dni czerwca, kiedy tanki niemieckie wjeżdżały do miast z odkrytymi wieżyczkami, a żołnierze zbierali karabiny w naręcza i rzucali je pod nie, kiedy ja spotykałem, uciekając na rowerze, całe oddziały roztasowujące się po miasteczkach i poddające się przez telefon Niemcom dopiero nadchodzącym. Pęknięcie kręgosłupa było tak poważne, że nie mogło pozostać bez śladu. A drugie to – wolność… Komu tam mówić o wolności? Czy Europejczyk zachodni dzisiejszego dnia rozumie jeszcze słowo wolność? Po pięciu latach okupacji, po drugich pięciu latach też okupacji, tym razem etatystycznej, własnej, po drugich pięciu latach zwariowanych polityk społecznych, socjalizmów, tłamszenia wszelkiej inicjatywy prywatnej, niszczenia kapitału. To wszystko za pieniądze amerykańskie. Już dziś, i może słusznie, kalkulują sobie ci mineciarze w szaliczkach, że jak przyjdą bolszewicy, to w końcu co? Wiele się zmieni? Już i tak wszystko jest upaństwowione, podatki ludzi zżerają… A wolność? Wszystko to dziś się mści. Gówno wyłazi z pomiędzy palców. Jeszcze zanim dłoń zacisnęła się w pięść" („Na tyłach", „Kultura" 16/17 1949).

▶ Czy de Gaulle uratował honor Francji?

W 2020 roku ukazała się we Francji książka pt. „De Gaulle i komuniści", która pozwala lepiej zrozumieć historię, wybory polityków, choć oczywiście nie wyjaśnia wszystkich spraw do końca. Autor, Henri-Christian Giraud, były redaktor naczelny „Le Figaro Magazine", przebadał tysiące dokumentów w archiwach francuskich i sowieckich, z których wynika, że w już w listopadzie 1940 roku Charles de Gaulle podjął zakulisowe rozmowy z bolszewikami za pośrednictwem swego szefa gabinetu na temat potencjalnej współpracy. Stalin temat chwycił. De Gaulle zaproponował Stalinowi w lipcu 1941 roku „wspólny front" Francji i ZSRS w obliczu planów Anglosasów po wojnie. Nastąpił sojusz gaullistowsko-komunistyczny, ustanowiony tajnym protokołem z listopada 1942 roku. Stalin naciskał na de Gaulle'a w dwóch sprawach – aby pomógł on przekonać aliantów do otwarcia drugiego frontu jak najdalej od ZSRS (w tym Polski) oraz aby wzmocnił po wojnie partię komunistyczną we Francji. De Gaulle zgodził się i spełnił oba warunki.

eprasa.pl 8a2e544ff3

De Gaulle nie był naiwny, zdawał sobie sprawę z tego, jak ryzykowną prowadzi grę, doskonale wiedział, kim jest Stalin. Dlaczego zatem zawarł sojusz ze Stalinem? Wytłumaczenie może być tylko jedno: zbliżył się do Sowietów, aby sprzeciwić się Anglosasom – Amerykanom i Anglikom. Jak wiadomo, w czasie swoich powojennych rządów wystąpił z NATO, paktu, w którym dominującą rolę odgrywali Amerykanie. Prosowieccy byli też inni tzw. prawicowi politycy francuscy – Pompidou i Chirac. Stephane Courtois, współautor „Czarnej księgi komunizmu", twierdzi że „w obecności de Gaulle'a nie można było powiedzieć złego słowa o ZSRS, zaś Giscard d'Estaing, wybrany na prezydenta w 1974 roku, nie bez powodu nazywany był małym telegrafistą Breżniewa".

Przed wojną w wyborach parlamentarnych Francuska Partia Komunistyczna uzyskiwała poparcie rzędu kilku procent, a swój najlepszy wynik wyborczy – niecałe 12 proc. głosów – zawdzięczała jedynie sojuszowi z socjalistami w ramach Frontu Ludowego. Po roku 1944 słupki poparcia poszybowały w górę, popierało ją już 25 proc. wyborców, czyli co czwarty Francuz. W tym samym czasie znacząco wzrosła liczba członków partii, wkrótce po wojnie do partii należało ponad 800 tys. osób, duża rzesza była też sympatyków. 16 listopada 1945 roku de Gaulle utworzył wspólnie z komunistami rząd. Do partii wstępowali artyści i intelektualiści, jak Pablo Picasso, Louis Aragon i Paul Éluard, dużego poparcia udzielali partii Jean-Paul Sartre, Maurice Merleau-Ponty, Simone de Beauvoir, Roland Barthes, Claude Lévi-Strauss, Henri Lefebvre. Kreowali się na przewodników intelektualnych i moralnych zagubionych po wojnie owieczek, urządzali polowanie na kolaborantów, głównie na tych, którzy mieli antykomunistyczne poglądy. W lutym 1945 roku został rozstrzelany Robert Brasillach, jeden z najzdolniejszych pisarzy francuskich, świadek Katynia, który przedstawił świadectwo literackie, że potwornej zbrodni na polskich oficerach dokonali Sowieci. De Gaulle nie skorzystał z prawa łaski.

To elita uległa czarowi komunizmu

Moskwa na różne sposoby wspierała finansowo zachodnioeuropejskich intelektualistów, ponadto na Zachodzie rozwinęła się na dużą skalę sowiecka agentura wpływu. Po wojnie ukształtował się mit, że francuscy komuniści w czasie wojny uczestniczyli w ruchu oporu, co jest bzdurą. Na pewno ów mit miał wpływ na uzyskanie popularności przez komunistów. W komunistycznej propagandzie cały czas podkreślano, że bez Sowietów nie udałoby się pokonać III Rzeszy i wygrać wojny. Pogląd ten mocno zakorzenił się we francuskiej mentalności i sprzyjał patrzeniu na Rosję przychylnym okiem. To sukcesy Armii Czerwonej sprawiły, że we Francji nagle rozgrzeszono wszystkie zbrodnie bolszewików.

Po wojnie zdecydowanie wzrosła rola komunizujących spadkobierców Woltera w życiu politycznym i społecznym Francji. Zakażenie Europy Zachodniej po wojnie chorobą komunizmu należy przypisać przede wszystkim intelektualistom, a francuscy intelektualiści odegrali w tym główną rolę. Ideologia Francuskiej Partii Komunistycznej przez wiele dziesięcioleci była ścisłym odwzorowaniem wytycznych płynących z Moskwy.

Andrzej Bobkowski, zohydzony uwiedzeniem Francji przez sowiecki stalinizm, wyjechał z kraju nad Sekwaną w 1948 roku do Gwatemali. W liście do Jerzego Giedroycia pisał w 1953 roku: „Mam np. wielką ochotę okląć i przejechać się po tzw. intelektualistach zachodnich. To jest coś rozpaczliwego, ta kasta śmierdziuchów, talmudystów, onanistów umysłowych i kurw. Banda jajogłowców, która zatraciła już całkowicie poczucie wszelkiej moralności, rzeczywistości, etyki. Utkali pajęczyny i dalej ślinią się i tkają, tkają. […] Nie masy są dzisiaj chore, nie masy są komunistyczne – z komunizmem mas można łatwo skończyć – to elita jest dziś przeżarta, elita intelektualna dała sobie wmówić i uległa czarowi komunizmu. Ci sami ludzie, którzy podnosili wrzask o Rosenbergów, nie odezwaliby się ani słowem i nie odzywają się, gdy tam morduje się dzień w dzień dziesiątki ludzi. Niech Pan spróbuje zebrać ich podpisy na liście protestacyjnej przeciwko aresztowaniu Prymasa w Polsce. Gnój, gówno, relatywiści wszelkiej moralności i rzeczywistości".

Kiedy narody okupowane przez bolszewików w Europie Środkowej, Polacy i Węgrzy, toczyli w latach 50. i 60. zmagania o odzyskanie suwerenności, podmiotowości, chociażby o zelżenie represji, to w tym samym czasie mieszkańcy Zachodu tęsknili za marksizmem, za komunizmem na modłę sowiecką i za Stalinem. Te wszystkie fanaberie „intelektualne" zaowocowały we Francji w 1968 roku. Na sztandary zostali wyniesieni: Marks, Lenin, Stalin, Mao, Che Guevara, a obok flagi Wietkongu pojawiły się anarchistyczne barwy.

Guru francuskich intelektualistów i sowiecki raj

Komunizm we Francji trzymał się po wojnie długo i mocno, był ulubionym opium francuskich intelektualistów. Spadkobiercy Woltera wprowadzili „terror intelektualny", niedopuszczalna była jakakolwiek krytyka komunizmu. Na nieugiętych stalinowcach nie robiły wrażenia żadne świadectwa obnażające bolszewickie potworności. Sponiewierany został przez media francuskie w 1949 roku Wiktor Krawczenko, były sowiecki funkcjonariusz, autor autobiograficznej książki o zbrodniach stalinowskich pt. „Wybrałem wolność". Został okrzyknięty kłamcą, oszustem i faszystą.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Intelektualistów mówiących o totalitaryzmie w Sowietach można było policzyć na palcach jednej ręki: Raymond Aron, Claude Lefort, Jean-Francois Revel. Do tego grona należał też Alain Besancon, wyleczony z komunizmu pisarz, publicysta konserwatywny, który uważa, że Rosjanie do perfekcji opanowali sztukę komplementowania Francuzów.

Przez kilkadziesiąt lat po wojnie niekwestionowanym guru intelektualistów we Francji i w Europie Zachodniej był Jean-Paul Sartre. Jak pisał Tony Judt, brytyjski historyk: „Osiągnięcie sławy przez Sartre'a zbiegło się dokładnie w czasie z upadkiem Francji i jest w tym coś właściwego, gdyż Sartre był przede wszystkim filozofem własnej poślednio ści jako intelektualisty i człowieka, myślicielem świetnie nadającym się do przemawiania w imieniu narodu, którego stan emocjonalny reprezentowała jego własna powikłana osobowość". Zdaniem brytyjskiego historyka Sartre przez długi czas zastępował europejskim intelektualistom Boga.

Następca Woltera był miłośnikiem rewolucji francuskiej i rewolucji bolszewickiej, człowiekiem kompletnie oderwanym od rzeczywistości, zakłamanym i cynicznym, wyrażał podziw dla zemsty i terroru, traktował komunistyczną przemoc jako konieczny, obiektywny wyraz „proletariackiego humanizmu". Wygłaszał różne bzdury na temat sowieckiego raju. Po powrocie z podróży do Rosji w 1954 roku w wywiadzie dla dziennika „Liberation" mówił, że „istnieje całkowita swoboda wypowiedzi w ZSRS", a ponadto „obywatele sowieccy krytykują swój rząd o wiele bardziej i o wiele skuteczniej, niż my to czynimy". Starał się również przekonać rozmawiającego z nim dziennikarza do tego, że jeśli nie widuje się mieszkańców sowieckiej Rosji podróżujących po świecie, to tylko dlatego, że nie chcą wyjeżdżać z kraju, w którym... jest im tak dobrze.

Guru intelektualistów usprawiedliwiał istnienie łagrów w Sowietach. Niektóre zbrodnie komunistyczne, na przykład kolektywizację czy wielki głód na Ukrainie, pomijał milczeniem, aby „nie zniechęcić społeczeństwa francuskiego do komunizmu". Krytykował referat Chruszczowa o zbrodniach stalinowskich, potępiał powstańców węgierskich walczących w 1956 roku o wyzwolenie spod okupacji sowieckiej. Szczycił się przyjaźnią z Fidelem Castro i Che Guevarą. Po odwiedzinach w więzieniu Andreasa Baadera, czołowego terrorysty z Frakcji Czerwonej Armii (RAF), zorganizował konferencję prasową, w czasie której ubolewał nad warunkami jego uwięzienia. Jego absurdalne wynurzenia zapewne brały się też z tego, że nadużywał alkoholu, bo trudno uwierzyć, że można podobne herezje głosić i pisać na trzeźwo. Annie Cohen-Solal wyjawiła, że Sartre w ciągu typowego dnia wypalał dwie paczki papierosów i kilka fajek tytoniu, wypijał ponad litr alkoholu (wino, piwo, wódka, whisky), zażywał 200 miligramów amfetaminy, kilka gramów barbituranów i 15 gramów aspiryny.

Jeszcze w latach 70. mówił, że każdy antykomunista jest psem i że nigdy swego zdania nie zmieni, zaś dogmatem obowiązującym wśród intelektualistów jest hasło, że „marksizm to nieprzekraczalny horyzont naszej epoki". W 1973 roku pisał: „Władza rewolucyjna musi się pozbyć pewnej grupy ludzi, którzy jej zagrażają, a ja nie widzę innego środka niż ich zgładzenie. Z więzienia zawsze można wyjść. Rewolucjoniści z 1793 roku zapewne zabili ich niewystarczająco wielu".

Sołżenicyn obudził sumienie i rozum

Osłabienie francuskiej fascynacji komunizmem i Sowietami przyniosła dopiero druga połowa lat 70. wraz z pojawieniem się w 1975 roku tłumaczenia „Archipelagu GUŁag" Aleksandra Sołżenicyna. Jeszcze początkowo próbowano zaklinać rzeczywistość, deprecjonować autora i książkę. W „Le Monde" porównano Sołżenicyna do francuskich kolaborantów z Vichy, według jednego z komentatorów autor „Archipelagu GUŁag" „podżega do nowej wojny światowej, broni potworności faszyzmu, przeciwstawia się pokojowemu współistnieniu etc.". Sartre nazwał rosyjskiego pisarza „szkodliwym elementem". Tym razem następcom Woltera nie udało się zmanipulować opinii publicznej, książka zyskała duży rozgłos, cieszyła się ogromną popularnością wśród czytelników.

Wywodzący się ze skrajnej lewicy tzw. nowi filozofowie, André Glucksmann, Bernard-Henri Lévy, Alain Finkielkraut, dzięki książce Sołżenicyna przeszli konwersję. W rozmowie z „Dziennikiem" (Magdalena Miecznicka „Sołżenicyn wstrząsnął francuską lewicą" 9–10 sierpnia 2008) Glucksmann tak wspominał ten przełom: „Sołżenicyn zmienił moje życie, tak jak zmienił świat. Już wtedy byłem krytyczny wobec wielu elementów komunizmu, ale idea wykroczenia poza marksizm wydawała mi się niemożliwa. Sołżenicyn to zmienił: podważył samą ideę lewicowości". I w dalszym ciągu: „Sołżenicyn zastanawiał się nad sobą samym. Mówił: owszem, byłem stalinistą. Ale teraz przejrzałem na oczy. Wielu z nas, czytając to, pomyślało, że może we Francji też trzeba zastanowić się nad sobą". Już w 1975 roku Glucksmann wydał książkę, w której zadał francuskim intelektualistom pytanie: skąd u was, którzy potępiacie obozy niemieckie, nazistowskie, tyle pobłażania wobec Gułagu?

Ta cudowna przemiana była jednak krótkotrwała. Spadkobiercy Woltera nie byliby sobą, gdyby przyznali się do błędu. Już w niedługim czasie pojawiła się krytyka Sołżenicyna jako nacjonalisty i reakcjonisty, pojawiły się też głosy, że upadek ZSRS to była straszna tragedia dla krajów, które się z tego wyłoniły. No cóż, dziedzictwo Woltera do czegoś zobowiązuje. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3

Piotr Lisiewicz

Gdy Olga Tokarczuk dostała Literackiego Nobla, swą mowę zakończyła słowami pokazującymi precyzyjnie, jakie poglądy trzeba mieć, by dziś to najwyższe wyróżnienie uzyskać: „Kryzys klimatyczny i polityczny, w którym dzisiaj próbujemy się odnaleźć i któremu pragniemy się przeciwstawić, ratując świat, nie wziął się znikąd. Często zapominamy, że nie jest to jakieś fatum i zrządzenie losu, ale rezultat bardzo konkretnych posunięć i decyzji ekonomicznych, społecznych i światopoglądowych (w tym religijnych). Chciwość, brak szacunku do natury, egoizm, brak wyobraźni, niekończące się współzawodnictwo, brak odpowiedzialności sprowadziły świat do statusu przedmiotu, który można ciąć na kawałki, używać i niszczyć. Dlatego wierzę, że muszę opowiadać tak, jakby świat był żywą, nieustannie stawającą się na naszych oczach jednością, a my jego – jednocześnie małą i potężną – częścią". Przeciwników teorii o ociepleniu klimatycznym oraz o zagrożeniu demokracji w Polsce zestawiała z… płaskoziemcami: „Ziemia jest płaska, szczepionki zabijają, ocieplenie klimatyczne jest bzdurą, a demokracja w wielu krajach nie jest zagrożona".

Gdy czytamy mowę noblowską Henryka Sienkiewicza, widzimy przeciwieństwo tej postawy. Wielki pisarz nieporównanie mniej mówi o sobie, bo wie, że jego nagroda to trybik w machinie walki o niepodległą Polskę: „Zaszczyt ten, cenny dla wszystkich, o ileż jeszcze cenniejszym być musi dla syna Polski! Głoszono ją umarłą, a oto jeden z tysięcznych dowodów, że ona żyje! Głoszono ją niezdolną do myślenia i pracy, a oto dowód, że działa! Głoszono ją podbitą, a oto nowy dowód, że umie zwyciężać!".

Przyznanie mu nagrody uznawał za niezbity dowód, że Polska na niepodległość zasługuje: „Poeci i pisarze reprezentują swoje narody w otwartym konkursie o Nagrodę Nobla. W związku z tym przyznanie Nagrody przez Akademię gloryfikuje nie tylko autora, ale także tych, których jest synem, i świadczy o tym, że ten naród ma udział w powszechnym osiągnięciu, że jego wysiłki są owocne i że ma prawo do życia dla zysku ludzkości". Sienkiewicz dodał jeszcze skromnie, że hołd ten nie jest składany jemu, bo ziemia polska jest żyzna i nie brakuje tam lepszych pisarzy od niego. To dla polskiego dorobku, polskiego geniuszu.

Tym, którym brakuje dziś ducha Sienkiewicza, eliminowanego przez minister w proniemieckim rządzie Barbarę Nowacką, polecam lekturę krótkiego tekstu Sienkiewicza o „Hołdzie pruskim" Jana Matejki.

Henryk Sienkiewicz

Hołd pruski. Obraz Jana Matejki

Nad wzniesieniem w powiewie wiatru szeleszczą chorągwie: niższa, pruska, z czarnym orłem, pochyla się przed tryumfującym karmazynowym sztandarem polskim. Przepych barw i pontyfikalnych strojów oślepia oczy widza… Obraz jest wielki, bo natchniony, tu artysta odczuł i wielki wypadek dziejowy, i życie ówczesne, i chwałę narodową, a oddał z potęgą i mistrzostwem.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Zaledwie rozeszła się wiadomość o wystawieniu „Hołdu pruskiego", już tłumy mimo najokropniejszej pogody śpieszą, by obejrzeć najnowsze dzieło Matejki. Pod względem ducha przeciwstawia się ono zupełnie Grunwaldowi, chociaż stoi z nim w historycznym związku. Grunwald to tytaniczna walka ścierających się ze sobą na śmierć i życie potęg olbrzymich. – Hołd to tryumf narodu nad wrogą sobie potęgą, a zarazem wspaniała średniowieczna uroczystość, pełna spokoju i majestatu. – Na wzniesieniu, ustawionym na rynku krakowskim, siedzi król Zygmunt Stary w otoczeniu Tomickich, Firlejów, Górków, Gasztołdów, Tarnowskich, Ostrogskich, Szydłowieckich i Kościeleckich, a u nóg króla klęczy Albrecht Brandeburski, składający przysięgę wierności Prus królowi i Rzeczypospolitej. Nic wspanialszego nad to zebranie, którego powadze i majestatowi ustąpić by musiał nawet senat rzymski. Na błękitnem niebie widać wieże kościołów, – nad wzniesieniem w powiewie wiatru szeleszczą chorągwie: niższa, pruska, z czarnym orłem, pochyla się przed tryumfującym karmazynowym sztandarem polskim. Przepych barw i pontyfikalnych strojów oślepia oczy widza. Król w kapie złotej, hołdownik w płaszczu książęcym i pełnej błyszczącej zbroi, po której biegają błyskawicą odblaski złota i purpury, panowie w aksamitach, piórach i klejnotach — wszystko wspaniałe, świąteczne, tryumfalne. Odgłos trąb miedzianych, brzęk złota, rzucanego przez podskarbiego między ciżbę ludową, przerywa ciszę, wśród której zdaje ci się, że słyszysz uroczyste słowa przysięgi na ewangelię. Twarze są poważne, przejęte wielkością tego, co się rozgrywa w ich oczach. Zrozumiesz łatwo, że te barwy, pióra, chorągwie, to świetne zgromadzenie, to nie zwykły jakiś obchód, ale że to dzieje spełniają się przed tobą.

Obraz jest wielki, bo natchniony tu artysta odczuł i wielki wypadek dziejowy, i życie ówczesne, i chwałę narodową, a oddał z potęgą i mistrzostwem. Z tego powodu mistrzowski ten obraz z jednej strony zadowala do najwyższego stopnia uczucia artystyczne. z drugiej budzi uniesienie, którego podstawą jest duma z tej wielkiej, wspaniałej przeszłości. Nie masz żadnej wątpliwości, że ci historycy, którzy twierdzą, że ten hołd pruski nie był aktem rozumu politycznego, mają słuszność. Zakon był zniszczony i sam się rozkładał, jak ciało umarłe. – Albrecht, przyprowadzony do rozpaczy, nie miał już żadnych środków ratunku ani widoków pomocy. Było zatem zgodniej z powagą wielkiego państwa, bezpieczniej i patriotyczniej zgnieść drapieżne gniazdo, zdobyte takim nakładem krwi i poświęceń, wcielić zakonne posiadłości całkowicie do Polski, owładnąć ujściem Niemna zarówno jak Wisły i otworzyć okno krajowi na przestrzeni Bałtyku.

Sekularyzacya Albrechta, utworzenie hołdowniczego księstwa, popieranego siłą Brandenburgii, było zarodkiem niebezpieczeństw na przyszłość, które, niestety, aż nadto się spełniły. Tak zresztą rozumiał to i artysta, umieszczając w pobliżu króla Stańczyka, którego bolesna zaduma i smutek, przeciwstawiają się widocznie ogólnemu nastrojowi. Ale mimo tego wszystkiego, mimo słuszności, jaką przyznajemy historykom, i zdrowego poglądu autorskiego, niezmienionego przez sam fakt hołdu, – w dzisiejszych czasach i w dzisiejszych okolicznościach, ten Brandenburczyk, klęczący na rynku krakowskim, przed majestatem jagiellońskim, i ten mistrzowski obraz hołdu jest wskrzeszeniem dawnej chwały i dawnej wielkości. Tak też tylko, a nie inaczej, możemy patrzeć na owo najnowsze arcydzieło. W ten sposób ma ono w sobie dla nas nieprzeparty czarodziejski urok. Żywemu uczuciu miłości daje ono podstawę – i mówi – kochaj, bo to wielkie, wspaniałe, dobre i sprawiedliwe. A cóż słodszego, jak, kochając nad wszystko, być przekonanym, że się słusznie kocha. Zaiste, dziś niewyczerpane w tem źródło ulgi i otuchy. Lecz to nie koniec. Koło fortuny toczy się w ten sposób, że każde jutro odmienny i zgoła różny od wczoraj przedstawia widok. Może to nic tak bardzo dziwnego, że ówcześni ludzie nie domyślali się, jaki koniec weźmie dzieło grunwaldzkie, skoro i obecnie nawet, gdy kto się zapatrzy w arcydzieło Matejki, takie prawdziwe, takie rzeczywiste, to mu się zdaje, że po tem wczoraj wiekowem, dzisiejsze czasy, dzisiejszy stosunek wasala do dawnego suzenera jest chyba snem tylko.

Pod obrazem jest także podpis: „si Deus nobiscum qui contra nos".

O technicznej stronie tego arcydzieła możemy to tylko powiedzieć, że budzi ono podziw i zdumienie w publiczności i w malarzach. Najsurowsi krytycy nie mogą dopatrzyć plamy na tem artystycznem słońcu. Jakoż nigdy dotąd nie posunął wyżej Matejko sztuki malowania. Wspaniały styl obrazu, potężna charakterystyka figur, siła kolorytu i harmonijność linii idą tu w zawody. Dzieło to można porównać chyba tylko z największymi stylowymi obrazami malarzów włoskich. Zarzucano dawniej niejednokrotnie Matejce brak przestrzeni i powietrza. – Hołdowi i tego zarzucić nie można – słowem, krytyka zmuszona jest nie krytykować, ale podziwiać, do jakiego stopnia dojść może sztuka układu postaci, rozmaitość linii, przepych kolorytu i wykonanie wszystkiego.

Podnoszą się już głosy, zupełnie słuszne, że obraz ten powinien zostać w kraju, a raczej wzbogacić muzeum krakowskie.

Tak jest, dla obcych ma on tylko znaczenie arcydzieła pędzla, dla nas podwójne.

Czy zakup jego ma przyjść do skutku drogą składek, rozstrzygać w tej chwili nie będziemy, przyjdzie nam bowiem poruszyć jeszcze niejednokrotnie tę sprawę. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3



Tomasz Łysiak



Plotka o „Weselu”

eprasa.pl 8a2e544ff3

Cóż to jest za data! Co to za chwila! 125 lat temu, 20 listopada roku 1900, w bronowickiej chacie stał oparty o framugę drzwi Stanisław Wyspiański. Stał i patrzył na wesele poety Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny, chłopki, której siostra była żoną Włodzimierza Tetmajera. Stało się w trakcie tego weseliska coś ważnego – w głowie Wyspiańskiego snuł się owej nocy dramat „groźny szumny, posuwisty jak polonez". Dudniła muzyka, a jednak „gdzieś z kazamat" dochodziły „jęk i zgrzyty" i „wichrów świsty" – i zaczął się sen o bohaterach. Niczym w szopce – przed oczami Wyspiańskiego pojawiały się postaci z tego i nie z tego świata. Przeniesione potem genialnym piórem na papier, stanęły przed publicznością na krakowskiej premierze w marcu 1901 roku. A nam do dzisiaj wiersze z „Wesela" tętnią, gonią, pędzą, poruszając serca. Bo w tym dramacie jest… „Polska właśnie".

Trzeba nam było Młodej Polski i młodopolskich uniesień. Pal sześć zgryźliwych krytyków, mądrych profesorów oceniających Wyspiańskiego zza katedr Jagiellonki. Trzeba nam było uniesienia i patosu, romantycznego szaleństwa, ale trzeba nam było i stańczykowskiej mądrej zadumy – jesteśmy zbudowani z obu tych fenomenów, jesteśmy rozważnie-romantyczni. Jednak odłóżmy na chwilę kwestie związane z samym dramatem, tyle w końcu było już egzegez. Jeszcze jest czas, jeszcze przed nami, w marcu przyszłego roku, 125. rocznica prapremiery „Wesela".

Profesor Tarnowski trzaska drzwiami

Przyjrzyjmy się na razie „oryginałowi", czyli temu, co wydarzyło się w ową noc weselną, listopadową, w chacie Tetmajera w Bronowicach. A pójdźmy w tej opowieści za widzem i uczestnikiem owego wesela – Tadeuszem Boyem-Żeleńskim, który był na ślubie Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny w krakowskiej Bazylice Mariackiej, a potem obserwował kilkudniowe weselisko w Bronowicach. Esej Boya „Plotka o »Weselu« Wyspiańskiego" ukazał się drukiem w 1922 roku. Żeleński już na wstępie zaznaczył, że kwestie samego utworu zostawia na boku – już wówczas napisano na jego temat dziesiątki rozpraw, tekstów, artykułów i recenzji. Przewidywał zresztą Boy, że będą tacy „weselologowie", którzy na dramacie zrobią karierę naukową, pisząc prace doktorskie na temat tego, czy Lucjan Rydel nosił binokle, albo że kurdesz – „to był gatunek wódki specjalnie ulubiony w kołach Młodej Polski". I owszem, dzieło zawsze niesie swoje znaczenia, sensy i konteksty, ale odkrywanie „pierwowzoru" jest ciekawe i plotkarsko smakowite! Ba, nie bez kozery w trakcie krakowskiej premiery prof. Stanisław Tarnowski, literaturoznawca i znakomity wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego, wyszedł z teatru, trzaskając drzwiami. Wiemy, że Wyspiański pisząc, miał przed oczami osoby, które znał i widział – wręcz naniósł na afisz teatralny prawdziwe nazwiska. Widniała tam m.in. wpisana „Pani Domańska", która potem pojawiła się już jako „Radczyni". W ostatniej chwili go przekonano, żeby dał jakieś ogólniki (w stylu „dziennikarz"), co uczynił, pozostawiając jeden wyjątek: Haneczka, Zosia i Maryna zachowały i w dramacie, i na afiszu oryginalne imiona.

Symbol współczesnej Polski

Generalnie jednak wszyscy odczytywali dobrze „ukryte" pod postaciami na scenie oryginały. Boy-Żeleński pochwalił się posiadanym rękopisem sceny Dziennikarz–Stańczyk i w tymże rękopisie istnieje postać opisana jako… Dolek. Dolek zaś to nie kto inny, jak… dziennikarz Rudolf Starzewski. Był on w Krakowie bardzo znany, popularny, obracał się w artystycznym światku. Przyjaźnił się zresztą z Wyspiańskim, a trzy dni po premierze „Wesela" kropnął w krakowskim „Czasie" entuzjastyczną recenzję. Został Starzewski w 1905 roku redaktorem naczelnym „Czasu" – ważnego pisma dla środowiska konserwatywnego. Zauważa Boy w „Plotce o Weselu" ciekawą paralelę: „Powstanie »Wesela« przypomina poniekąd powstanie »Pana Tadeusza« tak, jak je kreśli tradycja. Wedle tradycji, Mickiewicz zamierzał napisać szlachecką anegdotę, która rozrosła mu się pod piórem w ów nieśmiertelny poemat i stała się żywym wcieleniem Polski. Można by podejrzewać, iż Wyspiański, biorąc pióro do ręki, zamierzał tu napisać złośliwy pamflecik na swoich znajomych; w trakcie pisania geniusz poezji porwał go za włosy i ściany Bronowickiego dworku rozszerzyły się – niby nowe Soplicowo – w symbol współczesnej Polski". Opisywał Wyspiański prawdziwe postaci celnie, mając w sobie coś z dramaturga karykaturzysty. Zresztą w ogóle, jak zauważa Boy, na co dzień cechowała go taka właśnie pełna talentu umiejętność dobrej, złośliwej obserwacji. Mówił na przykład Wyspiański o Adamie Asnyku: „Asnyk… tak… Asnyk, to taki wypchany orzeł; ma wszystko, dziób, skrzydła, tyle

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 8a2e544ff3

tylko że nie poleci". Tego typu złośliwostek w „Weselu" jest mnóstwo, tyle że odczytać je mogli jedynie ci, którzy znali dobrze oryginalne postaci.

Siostry Mikołajczykówny

Opowieść Żeleńskiego o bronowickim weselisku przenosi nas jednak o dekadę wcześniej – do roku 1890. To wtedy z krakowskiego kościoła św. Maryi Panny ruszyła w stronę wsi Bronowice kawalkada weselna malarza Włodzimierza Tetmajera, który – na fali panującej wówczas „chłopomanii" – za żonę wziął sobie Annę, córkę Jacka Mikołajczyka i Jadwigi z Czepców. Nie wiemy, gdzie się młoda para poznała, ale wiemy, że ślub odbył się 11 sierpnia 1890 roku w Kościele Mariackim. Para zamieszkała najpierw w domu rodziców panny młodej, a cztery lata później wybudowała w Bronowicach własny dom i tam właśnie odbyło się wesele Lucjana Rydla z siostrą Anny, Jadwigą. Dworek ten został zresztą potem Rydlom sprzedany w 1904 roku. Anna w 1939 roku trafiła do Brzeżan, tam zastało ją 17 września wkroczenie Sowietów. Została zesłana na Syberię, a po amnestii z 1941 roku trafiła do Armii Andersa, z nią doszła do Iranu i stamtąd dotarła do Indii. W 1948 roku wróciła do Polski.

Gdy już o siostrach mowa, to musimy kilka słów powiedzieć i o Pannie Młodej, czyli najmłodszej z córek Mikołajczyka, Jadwidze, oraz Panu Młodym rzecz jasna. Lucjan Rydel studiował na Wydziale Prawa UJ, ale po uzyskaniu stopnia doktora poświęcił się historii i historii sztuki. Pisał artykuły i felietony m.in. do „Gazety Polskiej". W 1896 roku wyjechał do Paryża, gdzie uczęszczał na wykłady i pracował w Bibliotece Polskiej. Jadwigę Mikołajczykównę poznał w domu Tetmajerów, w czasie odwiedzin u Włodzimierza. Kilka lat później sam wziął „chłopski ślub". Jadwiga miała wówczas 17 lat. Po ślubie urodziła Lucjanowi dwoje dzieci: Lucjana (ur. 1901) i Helenkę (ur. 1902) i przez wiele lat zajmowała się nimi i domem. Na tyle stroniła od życia towarzyskiego, że… spektakl zobaczyła po raz pierwszy w 1926 roku! I to zaciągnięta do teatru przez córkę!

Niech się żeni, bo nas zagada na śmierć

Zanim doszło do pamiętnego weseliska Jadwigi, dom Tetmajerów musiał „odpierać najazdy". Inteligencki Kraków lubił bowiem wybierać się na wycieczki do Bronowic, by podziwiać siedlisko, jak swego rodzaju „dziwactwo" artysty. Tetmajer złościł się i bronił dostępu. Wspomina Boy: „Śmialiśmy się, pamiętam, długo z pewnego miejskiego literata, który, wybrawszy się do Bronowic i zastawszy, dzięki tej chytrej samoobronie Tetmajerów, tylko małą Isię, zaczął jej bardzo kwieciście mówić o pięknie natury, że ona sama jest jak te kwiaty polne etc., na co sześcioletnia Isia odpaliła mu arcystaropolską propozycją".

Jednak o tyle, o ile małżeństwo Tetmajera z roku 1900 wiązało się z nagłym odruchem serca, o tyle to Rydla, o dekadę późniejsze, było w jakiejś mierze „wykoncypowane", swoje źródło miało w literackiej fantazji. Rydel był kumplem Wyspiańskiego z ławy szkolnej i jego przyjacielem, wpływ wielkiego poety na jego własne ambicje musiał być także spory. „Rydel przeżywał swoją »miłość« jak temat literacki – wyjaśniał Boy-Żeleński w »Plotce…« – pisywał pseudoklasyczne wiersze, w których porównywał swoją Jadwisię do Afrodyty wychodzącej z fali zboża etc. Oczywiście uważał swój krok za bardzo rewolucyjny, gotował się na walkę z rodziną, tymczasem pod przemożną falą jego wymowy, twierdza natychmiast ustąpiła: »Niech się żeni, niech się żeni jak najprędzej, bo nas zagada na śmierć«, mówiła matka, brat…".

„A pan gada, gada, gada" – na myśl od razu przychodzą słowa Radczyni (czyli ciotki Rydla, p. Domańskiej). Rydel zresztą „odjechał" w swej chłopomanii: gdzie się dało, ściągał buty i chodził boso, a gatek nie wdziewał faktycznie (jak w dramacie) – bo ponoć w ten sposób „lepiej się miewał".

Stał całą noc oparty o futrynę drzwi

A gdzie w tym wszystkim sam Wyspiański? Oddajmy znowu głos Boyowi: „Wesele Rydla odbywało się w domu Tetmajera, było huczne, trwało, o ile pamiętam, wraz z czepinami, ze dwa czy trzy dni. Niejeden z gości przespał się wśród tego na stosie paltotów, potem znów wstał i hulał dalej. Wieś była oczywiście zaproszona cała, z miasta kilka osób z rodziny i przyjaciół Rydla, cały prawie światek malarski z Krakowa. I Wyspiański. Pamiętam go jak dziś, jak, szczelnie zapięty w swój czarny tużurek, stał całą noc oparty o futrynę drzwi, patrząc swoimi stalowymi, niesamowitymi oczyma. Obok wrzało weselisko, huczały tańce, a tu, do tej izby raz po raz wchodziło po parę osób, raz po raz dolatywał jego uszu strzęp rozmowy. I tam ujrzał i usłyszał swoją sztukę".

Stalowe oczy patrzyły na narodową „szopkę" i wszystkie te autentyczne postaci, potem przeniesione do sztuki: Pana Młodego i Pannę Młodą; Dziennikarza „Dolcia"; profesorową Domańską, żonę lekarza i radcy miejskiego, czyli Radczynię; panienki Zosię i Marynę Pareńskie, córki sławnego lekarza; Haneczkę Rydlównę, czyli siostrę Lucjana, „rówieśnicę i przyjaciółkę Zosi", i Nosa, czyli Tadeusza Noskowskiego, który cały był „młodopolszczyzną". Jedynie Rachela była tworem wyobraźni – w niczym nie przypominała prawdziwej córki karczmarza bronowickiego. A poza tym przecież tyle „postaci dramatu" – Wernyhora i Stańczyk, zdrajca hetman Braniecki i Rycerz Czarny, czyli Zawisza, i potworny Upiór. To tam wszystko było. Dudniło. Jęczało. Gadało. A Wyspiański zobaczył w tym Polskę. I nam ją opisał i zostawił. Polskę widzianą 20 listopada 1900 roku. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3

Małgorzata Matuszak

Czym jest... gra

Istnieją słowa, które z pozoru brzmią lekko, a jednak niosą w sobie ciężar metafizyczny. Jednym z nich jest wyraz „gra". Używamy go na co dzień i bez zastanowienia, mówiąc, że gramy w szachy, że ktoś gra na jakimś instrumencie, że aktor gra rolę, że ktoś gra nam na nerwach. To samo słowo obejmuje różne światy znaczeń, jakby samo chciało nam powiedzieć, że gra nie jest jedną czynności, lecz sposobem istnienia – ruchem, który łączy w sobie regułę i wolność, powagę i lekkość, porządek i jego przekroczenie.

Gra zawsze dzieje się pomiędzy. Kto gra, ten oddaje się zasadom, lecz po to, by odnaleźć w nich przestrzeń dla oddechu. W tym sensie gra jest jak życie: człowiek również żyje w granicach – biologicznych, społecznych, moralnych – a mimo to szuka w nich miejsca dla wolności. Gra to ruch życia w granicach formy, napięcie między posłuszeństwem a gestem buntu.

Ta myśl nabrała szczególnego znaczenia, gdy emocjonowaliśmy się grą pianistów podczas październikowego XIX konkursu chopinowskiego. Każdy jego uczestnik musi bowiem grać zgodnie z regułami, a zarazem każdy szuka sposobu, by w nich nie zginąć. To wydarzenie, w którym słowo „gra" nabiera podwójnego sensu – muzycznego i rywalizacyjnego, każdy bowiem pianista marzy przecież o tym, by zagrać w finale i zwyciężyć. I każdy gra Chopina tak, jak go sobie wyobraża, wiedząc jednocześnie, że zbyt wielka oryginalność może zostać odrzucona. Musi więc znaleźć właściwy balans między wiernością Chopinowskiej partyturze i swoją jej interpretacją. Konkurs chopinowski nie jest jednak „grą w wyobrażonego Chopina", ale raczej grą z żywym Chopinem – takim, który przybiera nowe twarze, głosy, tempa, emocje. Słuchając konkursowych recitali, pragniemy bowiem, by w tym napięciu między zapisem a wykonaniem, między przeszłością a teraźniejszością zaistniał sam Chopin.

Filozofowie XX wieku widzieli w grze znacznie więcej niż zabawę czy rozrywkę. Johan Huizinga w „Homo ludens" pisał, że człowiek jest z natury istotą grającą – że kultura rodzi się z gry, a nie z pracy. Gra była dla niego pierwotną przestrzenią, z której wyrastają: religia, prawo, sztuka, cała symboliczna aktywność człowieka. Roger Caillois dodawał, że gra tworzy osobny świat, odrębny od codzienności, w którym obowiązują inne zasady, gdzie czas i przestrzeń nabierają wyjątkowego znaczenia. Gra może być więc poważna w swej lekkości, bo tylko w jej granicach można naprawdę doświadczyć wolności. Hans-Georg Gadamer poszedł jeszcze dalej, twierdząc, że gra nie jest czynnością gracza, lecz czymś, co gra graczem. Człowiek nie panuje nad grą, lecz zostaje wciągnięty w jej rytm. To gra „gra" nami – jak w muzyce, w której nie pianista gra Chopina, lecz Chopin gra pianistą.

Z tej perspektywy gra przestaje być rozrywką czy zadaniem, a staje się figurą życia. Życie samo w sobie ma bowiem strukturę gry: toczy się między losem a wyborem, między przypadkiem a regułą. Gramy z czasem, z drugim człowiekiem, z samym sobą, a może i z czymś większym, co nas przekracza. Nie po to, by wygrać, lecz po to, by zrozumieć rytm istnienia, by doświadczyć, że wszystko, co trwa, dzieje się pomiędzy – między napięciem a rozluźnieniem, między formą a jej przekroczeniem.

> W GRZE OBJAWIA SIĘ TO, CO W NAS NAJBARDZIEJ LUDZKIE: POTRZEBA TWORZENIA I PRZEKRACZANIA, UCZESTNICTWA I WOLNOŚCI.

Każda gra, od dziecięcej zabawy po konkurs pianistyczny, jest próbą odnalezienia sensu w ruchu. W grze objawia się to, co w nas najbardziej ludzkie: potrzeba tworzenia i przekraczania, uczestnictwa i wolności. I może właśnie dlatego muzyka Chopina wciąż tak silnie porusza – bo jest grą w najgłębszym sensie: grą między smutkiem a radością, między przeszłością a chwilą, między ciałem a duchem. Gramy, bo tylko w grze możemy poczuć, że coś od nas zależy, choć nic nie należy od nas w pełni. Gramy, by sprawdzić, czy jeszcze potrafimy słuchać, odpowiadać, ryzykować. Bo w grze objawia się rytm istnienia – ten sam, który pobrzmiewa w muzyce, w słowie, w oddechu. I może właśnie to jest jej ostateczny sens: gra nie jest po to, by wygrać, ale po to, by świat mógł zabrzmieć – choćby przez chwilę, w nas. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3

Łukasz Czarnecki

Krew i piach

Walki gladiatorów stanowią jeden z najbardziej rozpoznawalnych elementów kultury starożytnego Rzymu. Krwawy sport, w którym miłowali się poddani cezarów, od dziesięcioleci rozpala wyobraźnię, budząc zarówno obrzydzenie, jak i fascynację, a dowodem niesłabnącego zainteresowania tematem są kolejne wysokobudżetowe superprodukcje kinowe i telewizyjne, takie jak obie części „Gladiatora" czy serial „Spartakus". Jaką jednak rolę naprawdę pełniły igrzyska w życiu Rzymian?



FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 8a2e544ff3



eprasa.pl/a2e54ff3

Choć wydawałoby się, że trudno znaleźć coś bardziej rzymskiego (no może poza mówieniem po łacinie i chodzeniem w todze) niż walki gladiatorów, obyczaj ten wcale nie zrodził się w mieście nad Tybrem, co więcej – już sami starożytni mieli świadomość jego obcego pochodzenia! Kto jednak nauczył potomków Eneasza tego, że najlepszym sposobem spędzania wolnego czasu jest oglądanie zmagań próbujących się pozabijać niewolników? Zmarły w 14 roku n.e. historyk Mikołaj z Damaszku twierdził, że krwawego sportu nauczyli mieszkańców miasta siedmiu wzgórz Etruskowie. Twierdzenie to znajduje potwierdzenie w pochodzącej z VII wieku „Etymologii" Izydora z Sewilli, wywodzącej wyraz „lanista" (trener gladiatorów) z języka etruskiego. Żyjącemu u schyłku antyku filologowi musimy wierzyć na słowo, gdyż ostatnią odnotowaną na kartach historii osobą, która mówiła po etrusku, był… cesarz Klaudiusz (co już współcześni mu uważali za dziwne) i dzisiejsza nauka o języku tego pradawnego italskiego ludu ma bardzo niewiele do powiedzenia. Sprawę komplikuje fakt, że dowody pochodzące z wykopalisk sugerują alternatywną wersję zdarzeń – archeolodzy odkryli w Kampanii pochodzące z IV wieku p.n.e. malowidła przedstawiające mężczyzn walczących na oczach widzów za pomocą tarcz i włóczni, zaś wedle rzymskiego dziejopisa Liwiusza elity kampańskie lubowały się w trakcie uczt w oglądaniu toczonych przez niewolników pojedynków.

Za etruską genezą pojedynków gladiatorów przemawia kontekst, w jakim początkowo je organizowano. Etruskowie mieli zmuszać jeńców do krwawych walk z okazji uroczystości pogrzebowych, zwyczaj ten można interpretować wręcz jako rodzaj ofiary z człowieka składanej zmarłym nobilom. Podobnie w starożytnym Rzymie krwawe igrzyska przez długi czas urządzano właśnie w ramach rytuałów pogrzebowych. Właśnie taki charakter miał pierwszy występ gladiatorów zorganizowany w roku 264 p.n.e. przez dwóch synów zmarłego Decymusa Juniusza Brutusa Petry. W odbywającej się na tzw. Targu Wolim, najstarszym rzymskim forum położonym niedaleko Circus Maximus (służącym podówczas jak tor wyścigów rydwanów), imprezie uczestniczyło łącznie sześciu wojowników tworzących trzy pary, których zmagania oglądała licznie zbiegła, ciekawa cudzoziemskiej nowinki publiczność. Brutalny spektakl bardzo spodobał się Rzymianom i w następnych dekadach przedstawiciele bogatych rodów coraz częściej oddawali hołd swoim szlachetnym nieboszczykom tym właśnie sposobem.

Igrzyska wyborcze

Z każdym kolejnym pokoleniem igrzyska nabierały większego rozmachu. W 216 roku p.n.e., gdy zmarł Marek Emiliusz Lepidus, jego synowie uczcili pamięć papy aż trzydniową imprezą z udziałem 22 par gladiatorów. W 32 lata później ród Licyniuszy chcąc pokazać, że w niczym nie ustępuje Emiliuszom, wykosztował się na 120 wojowników! Rzym stał się areną wyścigów między ambitnymi arystokratami, z których każdy chciał zorganizować igrzyska przebijające wszystko, co dotychczas widziało ludzkie oko. Powód owej gorączkowej konkurencji był bardzo prosty – lud rzymski pokochał krwawe widowiska, a że to właśnie on wyznaczał kandydatów na rządowe stanowiska, wkupienie się w jego łaski było sprawą kluczową dla kariery politycznej. O tym, że bez organizacji igrzysk można było zapomnieć o wygranej w wyborach, świadczy przypadek późniejszego dyktatora Sulli, który wbrew panującej tradycji chcąc ominąć najniższy w hierarchii państwowej urząd edyla, tradycyjnie odpowiadającego m.in. za kwestie publicznej rozgrywki, od razu wystartował w wyborach na pretora i głosowanie sromotnie przegrał, bo wyborcy obawiali się, że ambitny polityk osiągnąwszy swój cel, nie będzie potrzebował organizować igrzysk i miasto czeka ponury rok bez krwawego sportu.

Jedynym, co ograniczało ambicje rozszalałych arystokratów o to, kto bardziej olśni potencjalnych wyborców, bywała zbyt mała liczba zgonów w rodzinie, niedostarczająca pretekstów do częstego urządzania walk gladiatorów. Problem ten obchodzono na różne pomysłowe sposoby, co najlepiej pokazuje przykład imprezy pogrzebowej rozkręconej przez Juliusza Cezara w roku 65 p.n.e.. Niby w tym, że syn urządzał uroczystości żałobne ku czci ojca, nie było nic dziwnego, ale osobliwy mógł się zdawać fakt, że robił to… ponad 20 lat po śmierci rodzica! Przyszły grabarz republiki zaszalał przy tej okazji jak mało kto, bo na arenie zmagało się wówczas aż 640 gladiatorów! Zdobywca Galii chciał ich zresztą wystawić więcej, ale na przeszkodzie stanął mu senat, który chcąc ukrócić to wariactwo, wydał ustawę ograniczającą liczbę par wojowników mogących brać udział w igrzyskach. Mimo to mocno spóźniona stypa okazała się wielkim sukcesem i pozyskała dla jej organizatora zastępy wyborców.

Być może właśnie opisana powyżej impreza skłoniła senatorów do działania, przelewając czarę goryczy. W ostatnich latach istnienia republiki zwyczaj kupowania sobie poparcia ludu przez zapewnianie mu rozrywki osiągnął rozmiary wręcz patologiczne, igrzyska następowały jedne po drugich, a olbrzymie sumy pieniędzy trwoniono na gladiatorów. W 63 roku p.n.e. senat wydał zakaz organizacji tego typu widowisk przez urzędników państwowych oraz zabronił kandydowania w wyborach osobom, które w przeciągu dwóch poprzednich lat urządzały walki gladiatorów. Jak się szybko okazało, ambitni politycy z nowego prawa mieli sobie kpić w żywe oczy. Skoro zakazano im spektakli z udziałem walczących niewolników, arystokraci przerzucili się na pokazy walk zwierząt i ze zwierzętami. Już wcześniej pokazy egzo-

eprasa.pl 8a2e544ff3

tycznej fauny, urządzane zwykle w Circus Maximus, zyskały dużą popularność w społeczeństwie. Rzymscy wodzowie podbijając państwa hellenistyczne, natykali się na urządzane przez ich władców zwierzyńce i często zabierali ich lokatorów ze sobą do domu, by móc pokazać ich gawiedzi. Z czasem rozwinął się w Rzymie zwyczaj tzw. venationes, czyli widowisk, w czasie których sprowadzane z różnych krańców świata zwierzęta walczyły bądź to między sobą, bądź ze specjalnie wyszkolonymi łowcami. Skoro zatem teraz senat wprowadzał ograniczenia dotyczące walk gladiatorów, ich miejsce jako narzędzia politycznego marketingu zajął ten drugi typ igrzysk. Przy czym definicję venationes naciągano do granic możliwości. Świadczy o tym choćby mowa Cycerona z 56 roku p.n.e., w której zarzucał jednemu ze swoich przeciwników politycznych, że ubiegając się o urząd, wbrew obowiązującemu prawu zorganizował walki gladiatorów celem przypodobania się wyborcom. Oskarżony z rozbrajającą bezczelnością odrzekł, że w urządzonych przezeń igrzyskach udział brali nie gladiatorzy, a… tylko jeden gladiator, podczas gdy pozostali występujący wojownicy byli łowcami zwierząt, ergo impreza nie łamała przepisów dotyczących wyłącznie gladiatorów w liczbie mnogiej!

W 60 roku p.n.e. Juliusz Cezar, słynny wódz Pompejusz Wielki i najbogatszy Rzymianin swoich czasów Marek Krassus zawarli tajne, a co więcej nielegalne porozumienie (tzw. I triumwirat), w ramach którego dzielili się władzą w imperium. W pięć lat później Pompejusz, słynny dzięki zwycięstwom w Hiszpanii i wschodniej części Morza Śródziemnego, zorganizował mające podkreślić jego chwałę venationes o skali dotychczas niewidzianej w Wiecznym Mieście. Mógł pozwolić sobie na totalne szaleństwo, bo wszelkiej maści egzotycznych bestii dostarczyli mu za darmo król Numidii Hiempsal i władca Egiptu Ptolemeusz Flecista. Obu monarchów łączyło to, że na pewnym etapie kariery poddani podziękowali im za dalsze rządy i wygnali z kraju, a na trony wrócili tylko dzięki pomocy rzymskich legionów dowodzonych przez Pompejusza. Teraz, gdy ich patron zażądał jak najniezwyklejszej menażerii na potrzeby swoich igrzysk, z Afryki Północnej ruszyła cała flotylla wioząca zwierzynę. W efekcie zgromadzone w Circus Maximus tłumy ujrzały: 600 lwów, 410 lampartów, 20 słoni, małpy i nosorożca. Wśród tych egotycznych okazów dość blado musiał wypadać ryś przysłany sojusznikowi z Galii przez Juliusza Cezara. Oprócz bestii w imprezie udział brali tubylczy myśliwi z różnych storn imperiów, mający walczyć ze zwierzętami. Jednym słowem, dopełniono wszelkich starań, by przedstawienie olśniło publikę, a mimo to spektakl zakończył się klapą. Kiedy w czasie walki z uzbrojonymi w oszczepy wojownikami z ludu Getulów poranione przez nich słonie krwawiąc, zaczęły padać na kolana, widzowie zinterpretowali ich zachowanie jako błaganie o litości i widownię ogarnęła fala współczucia dla zarzynanej zwierzyny – rzecz zupełnie bez precedensu w dziejach igrzysk! W efekcie gdy widowisko dobiegło końca, widzowie opuścili cyrk w minorowych nastrojach. Pompejusz musiał być wściekły, zwłaszcza że wkrótce potem własne igrzyska, łączące zarówno pojedynki gladiatorów, jak i walki z bestiami, zorganizował Juliusz Cezar i impreza ta okazała się wydarzeniem sezonu, mimo iż niektórzy kręcili głową na ekstrawagancję organizatora – przestępców rzuconych na pożarcie lwom przyszły dyktator kazał wyposażyć w srebrną broń, by nikt nie mówił, że ich kaźń była mało estetyczna. Zdobywca Galii mógł sobie zresztą na takie szaleństwa pozwolić, bo to nie on za nie płacił, wszystkie koszty pokrywał ze swej przepastnej kieszeni Krassus.

▶ Cezarze, idący na śmierć pozdrawiają Cię!

Rozpad I triumwiratu i późniejsze wojny domowe pomiędzy Juliuszem Cezarem oraz Pompejuszem Wielkim, a następnie ich spadkobiercami, dobiły konającą republikę. Z lat chaosu i zawieruchy zwycięsko wyszedł cioteczny wnuk zamordowanego w 44 roku p.n.e. dyktatora – Oktawiusz, który do historii przejść miał jako Oktawian August, pierwszy cesarz imperium rzymskiego. Ten chytry mąż stanu doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak potężnym narzędziem propagandowym są igrzyska, i dlatego poddał je ścisłej kontroli. Liczbę zwyczajowych imprez organizowanych przez pretorów zmniejszono do dwóch rocznie, a każdy arystokrata chcący urządzić tego typu spektakl, musiał wystarać się o cesarskie pozwolenie. Kolejni imperatorowie wprowadzali dalsze ograniczenia, a następca Oktawiana, Tyberiusz, który nie cierpiał walk gladiatorów i organizował je z rzadka, bardzo pilnował, by pod jego nieobecność w Rzymie (znaczną część rządów spędził, oddając się rozpuście na wyspie Capri) nikt nie zaskarbił sobie miłości ludu przez zapewnianie mu rozrywki. W efekcie Rzymianie musieli radzić sobie bez widowisk, a skarb państwa zaoszczędził tak znaczne sumy pieniędzy, że gdy Tyberiusz umarł (ku uldze zarówno nienawidzących go poddanych, jak i nielicznych krewnych, których nie zdążył zamordować), zostały po nim aż 2 mld sestercji nadwyżki budżetowej!

Kaligula, który objął tron po swoim stryjecznym dziadku, dla odmiany był wielkim miłośnikiem zarówno pojedynków gladiatorów, jak i walk z dzikimi zwierzętami, a jego rządy przypominały nieustanną imprezę tak huczną, że w ciągu zaledwie roku młody władca przepuścił wszystko to, co jego poprzednik odłożył przez wszystkie lata panowania! No ale przynajmniej nad Tybrem było wesoło – do czasu, bo gdy dno skarbowej szkatuły stało się widoczne, cesarz zaczął pozyskiwać środki na dalsze hulanki, mordując co bogatszych Rzymian i konfiskując ich majątki. Jako zaś że nie miał ochoty zaciskać pasa, trup

eprasa.pl 8a2e544ff3

ścielił się gęsto, i to nie tylko wśród elit. Chcąc zaoszczędzić na karmie dla lwów i lampartów, obrotny młodzieniec nakazał karmić drapieżniki… ludzkim mięsem i wykorzystywać w charakterze paszy przestępców.

Kolejny cesarz, Klaudiusz, był o wiele rozsądniejszy od zasiadającego wcześniej na tronie bratanka i rozsądnie zarządzał budżetem, nie skąpiąc jednakże na rozrywki dla poddanych. Dzięki tej polityce cieszył się znaczną popularnością wśród ludu, nawet jeśli po cichu robiono sobie śmichy chichy z jego licznych dziwactw. Po jego śmierci i objęciu władzy przez Nerona w Rzymie znów zaczęło się szaleństwo totalnej imprezy, ale okrucieństwo imperatora doprowadziło w końcu do jego obalenia, a samobójstwo zdegenerowanego despoty zakończyło dzieje dynastii julijsko-klaudyjskiej. Ród panujący, który ją zastąpił, czyli Flawiusze, mimo iż wydał tylko trzech władców, zapisał się w dziejach igrzysk za sprawą dwóch wydarzeń.

Po pierwsze, w 79 roku n.e., już po śmierci protoplasty dynastii Wespazjana, jego dwaj synowie Tytus i Domicjan z wielką pompą otworzyli budowany przez prawie całe rządy ich ojca gmach – do dzisiaj stanowiący symbol Wiecznego Miasta – Koloseum. Paradoksalnie amfiteatr mający przez następne dekady być miejscem rzezi (m.in. tu rzucano stołecznych chrześcijan na pożarcie lwom) i niezliczonych makabrycznych, bezbożnych czynów, ufundowany został z łupów zdobytych przez rzymskie legiony w Jerozolimie. Skarby wyniesione ze zburzonej świątyni Boga Izraela posłużyły wzniesieniu ołtarza najniższych ludzkich instynktów. Równocześnie budowa Koloseum stanowiła genialne posunięcie polityczne, na jej plac Wespazjan wyznaczył tereny wchodzące dawniej w skład prywatnych posiadłości Nerona. Tym samym chytry nuworysz dobitnie odcinał się od obalonego tyrana, prezentując się ludowi jako ten, który ofiarował mu obszar dawnych zamkniętych dla zwykłych obywateli cesarskich ogrodów rozkoszy. Uroczystości otwarcia największej areny imperium miały charakter trwających 100 dni igrzysk, w trakcie których, wedle źródeł starożytnych, zabito ponad 9 tys. sztuk egzotycznych zwierząt, setki gladiatorów stoczyło walki, a rzesze przestępców zostały pożarte przez drapieżniki, spalone żywcem czy ukrzyżowane.

Drugą ważną nowością z czasów Flawiuszów był cesarski monopol na organizację igrzysk w stolicy wprowadzony przez Domicjana. Od tej pory jedynie imperator lub wyznaczeni przezeń urzędnicy mogli urządzać walki gladiatorów i dzikich zwierząt na arenach Rzymu.

Na lokalnej arenie

Inaczej wyglądała sytuacja w prowincjonalnych miastach, gdzie zapewnienie współobywatelom rozrywki stanowiło jeden z obowiązków lokalnych polityków. Spektakle urządzali tu zarówno przedstawiciele administracji centralnej, na przykład kapłani kultu cesarskiego, jak i miejscowi urzędnicy, niekiedy też nastawieni prospołecznie bogacze. Rozmachem znacząco ustępowały one temu, co mogli oglądać widzowie w Koloseum, i nie ma się temu co dziwić, organizowano je za o wiele mniejsze środki, borykając się przy tym z licznymi problemami. Władza państwowa w II wieku n.e. wprowadziła na przykład prawa ograniczające sumy, jakie przeznaczyć mogli edytorzy (tj. osoby fundując igrzyska) na organizacje walk gladiatorów i dzikich zwierząt. Ci pierwsi z biegiem czasu zaczęli wręcz stanowić towar deficytowy, a i sprowadzenie lwa, lamparta, nie mówiąc już o słoniu do niektórych rejonów imperium, choćby Galii czy Brytanii, nastręczało ogromne kłopoty. W późnym antyku sprawy pokomplikowały się jeszcze bardziej, bo dzika fauna Afryki Północnej była tak eksploatowana, że w końcu pogłowie drapieżników zdatnych do zabijania się na arenach spadło dramatycznie, a ich ceny poszybowały, co odbiło się na jakości widowisk nie tylko w mniejszych ośrodkach, lecz także w samym Rzymie!

Nie wybiegajmy jednak w przyszłość i wróćmy do okresu świetności imperium. Prowincjonalni edytorzy szybko nauczyli się, że najszybszym i najtańszym sposobem zapewnienia rozrywki ludowi jest uczynienie głównym punktem programu imprezy spektakularnych egzekucji przestępców, których zmuszano do walki między sobą lub wykorzystywano jako aktorów w pomysłowych mitologicznych scenkach kończących się widowiskowo makabryczną śmiercią głównego bohatera. Problem polegał na tym, że skala przestępczości była stanowczo zbyt mała, by zaspokoić popyt na zbrodniarzy, co gorsza, w pewnym momencie w sprawę włączył się rząd centralny, ogłaszając, że najsilniejszych i najbarwniejszych rzezimieszków należy odsyłać do stolicy celem uśmiercenia na scenie Koloseum. W efekcie skazańcy stali się rzadkim i chodliwym towarem, za który włodarze poszczególnych miast imperium gotowi byli zapłacić pokaźne kwoty w brzęczącej monecie.

Warto przy tej okazji obalić pewien mit. Przed długie lata powszechnie przyjmowano, że walki gladiatorów i dzikich zwierząt oraz publiczne egzekucje cieszyły się popularnością tylko w Italii, podczas gdy na terenach greckiego wschodu Hellenowie o wiele bardziej wyrafinowani, uduchowieni i cywilizowani od swoich rzymskich władców brzydzili się rozlewem ludzkiej krwi. Niestety, narracja ta upadła wskutek badań epigraficznych i archeologicznych. W greckich miastach rozsianych po imperium znajdywane są inskrypcje dziękczynne wychwalające obywateli o ewidentnie helleńskich nazwiskach za organizowanie igrzysk! Co więcej, dokładna analiza ruin teatrów z tychże ośrodków wykazała, że wiele z nich zostało w okresie rzymskim poddanych przeróbkom mającym zaadaptować je do krwawego sportu.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Dla odmiany w rzymskiej Afryce krwawe starcia między uzbrojonymi niewolnikami nigdy nie cieszyły się szczególną popularnością. Sądzić można tak po zachowanych inskrypcjach, ale jeszcze dobitniej za tezą tą przemawiają antyczne mozaiki z tamtejszych willi. Na tych ułożonych z tysięcy drobnych kostek podłogowych i ściennych dziełach sztuki bardzo rzadko znajdujemy jakiekolwiek odniesienia do igrzysk z udziałem gladiatorów. Wiele z nich dotyczy za to toczonych przed publicznością walk z dzikimi zwierzętami. Na tej podstawie naukowcy sądzą, że w rejonie owym to właśnie venationes stanowiły główne źródło rozrywki. No ale w końcu starożytna Afryka Północna obfitowała w niebezpieczną faunę, stanowiącą nawet jeden z jej głównych towarów eksportowych. Działały tu zorganizowane korporacje łowców zwierzyny, zaspokajające zarówno nieustanny apetyt rzymskich aren, jak i wystawiające doskonale wyszkolonych wojowników do walk z bestiami toczonych ku uciesze gawiedzi. Łowy na drapieżniki czy wielkich i groźnych roślinożerców miały tu dodatkowy wymiar – w okresie rzymskim północnoafrykański klimat był o wiele łagodniejszy niż dzisiaj i obszar ten stanowił jeden z najbardziej rozwiniętych rolniczo i żyznych rejonów imperium. Z Afryki płynął w świat wartki strumień zboża oraz najlepszej na świecie oliwy. Dla gospodarki tak bardzo opartej na rolnictwie kwestia tępienia wyrządzających szkody i zagrażających rolnikom dzikich zwierząt była kluczowa. To że przy okazji można było jeszcze zapewnić ludności godziwą rozrywkę i zarobić znaczny grosz, stanowiło zachęcający bonus…

Z życia gladiatora

Dawniej panowało przekonanie, że walczący na arenie gladiator miał 50 proc. szans na opuszczenie jej na własnych nogach, a pojedynki prawie zawsze kończyły się śmiercią jednego z zawodników. Współczesne badania wykazały jednak błędność owych założeń. Wyszkolenie wojownika kosztowało zbyt dużo i było zbyt pracochłonne, aby jego właściciel mógł lekką ręką pozwalać sobie na ryzyko utraty swej inwestycji. Obecnie historycy sądzą, że w trakcie igrzysk ginął zaledwie co dziesiąty zawodnik, co więcej – odnalezione zostały kontrakty między dyrektorami poszczególnych familii, tj. zespołów gladiatorów, a wynajmującymi ich podopiecznych edytorami. Wynika z nich, że fundatorowi imprezy, do którego należało ostateczne zdecydowanie, czy przegrany w pojedynku ma za swą klęskę zapłacić życiem, również nie opłacało się pochopne skazywanie gladiatorów na śmierć. W zachowanych umowach znajdujemy zastrzeżenia, że w wypadku polegnięcia zawodnika jego właściciel otrzymać miał odszkodowanie wynoszące niekiedy aż 50-krotność ceny wynajmu!

Nie powinniśmy ulegać oczywiście złudzeniu i żywić przekonania, że los gladiatorów był lekki. Większość z nich stanowili niewolnicy oraz nędzarze, którzy sami sprzedali swą wolność lanistom, gdy nie został im żaden inny sposób zapewnienia sobie środków do życia. Trening był brutalny, ale musiał taki być, by przygotować ćwiczących do straszliwej rzeczywistości areny i paradoksalnie jak najbardziej zwiększyć ich szansę na przeżycie. Wbrew dawnym przekonaniom całkiem spora liczba wojowników dożywała emerytury, najlepsi przechodzili na nią już po trzech latach, wielokroć zostając w branży jako trenerzy nowego pokolenia. Zwycięzcy pojedynków dostawali nagrody od edytorów, a także obsypywani byli pieniężnymi podarkami przez swoich fanów, więc jeśli tylko nie wydawali wszystkiego na wino, kobiety i śpiew, po jakimś czasie mogli wykupić sobie wolność.

Co do środkowego punktu z powyższej wyliczanki, gwiazdorzy areny rzadko zresztą musieli płacić za seks. Choć status społeczny gladiatora był jednym z najniższych możliwych, to stanowili oni obiekt fantazji erotycznych rzymskich kobiet, w tym nawet tych pochodzących z rodów senatorskich. Jeden z poetów opisał przypadek żony senatora, która porzuciwszy męża i dzieci, zbiegła do Egiptu w ślad za swym kochankiem ze szkoły gladiatorów. Wedle opisującego ów skandal obyczajowy wiersza obiekt westchnień damy był brzydki jak noc i głupi jak but, ale wszystko to bladło wobec rozpalającej zmysły aury męskości i jurności, jaką roztaczał. Mężczyźni mający to szczęście, że nie musieli zarabiać na życie walką na oczach gawiedzi, próbowali zresztą uszczknąć co nieco z owego zwierzęcego magnetyzmu gladiatorów, kupując za spore pieniądze… flaszeczki z ich potem, działającym rzekomo cuda na potencję.

Począwszy od połowy III wieku n.e. walki gladiatorów stopniowo traciły na popularności. Gdy religią panującą w imperium zostało chrześcijaństwo, ten typ rozrywki był już w zaniku, postępująca chrystianizacja tylko przyśpieszyła ten proces. Najdłużej utrzymał się w Rzymie, jeszcze w V wieku piszą o nim Prudencjusz i św. Augustyn. Ostatni pojedynek na arenie odnotowany przez źródła odbył się w końcówce lat 30. tegoż stulecia. Pokazy walk dzikich zwierząt utrzymały się dłużej zarówno na terenie powstałych na gruzach Zachodniego Cesarstwa Rzymskiego barbarzyńskich królestw, jak i na bizantyńskim wschodzie – treserem wykorzystywanych do pokazów na arenie niedźwiedzi był ojciec późniejszej żony Justyniana Wielkiego, Teodory.

Dziś zarówno niewolnictwo, jak i zmuszanie ludzi do walk na śmierć i życie budzą moralny sprzeciw. Jednak postaci gladiatorów wciąż stanowią potężny symbol, wykorzystywany i przetwarzany na niezliczone sposoby przez kulturę. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3





Krzysztof Karnkowski

Chopin na dużym ekranie. Hit czy kit?

Superprodukcja, której trudno będzie być przebojem. Film piękny, choć w niektórych aspektach rozczarowujący. Dający nam bardzo dużo, a zarazem niekoniecznie to, co chcieliśmy dostać. Tak w skrócie można by opisać film „Chopin, Chopin!".

eprasa.pl 8a2e544ff3

Choć równolegle trwał konkurs chopinowski, w weekend otwarcia Polacy nie ruszyli tłumnie do kin, by obejrzeć film „Chopin, Chopin!". Wynik 86 tys. widzów nie powala. Dla porównania sequel „Pieprzyć Mickiewicza" obejrzało w pierwszy weekend 98 tys., a szybko uznany za jeden z dwóch najgorszych polskich filmów „Friz & Wersow. Miłość w czasach online", nim poszła o nim należyta fama, zgromadził ponad 110 tys. weekendowych widzów. Można więc załamywać ręce nad gustami publiczności lub zmarnowaną okazją, można też po prostu zastanowić się, co poszło nie tak i czy zbyt szybko część widowni nie skreśliła filmu pod wpływem krytyki.

Eryk Kulum na tak

Film miał premierę 10 października, gdy w najlepsze trwał już konkurs chopinowski, więc i jego główny bohater miał swoje co czteroletnie pięć minut w mediach, na portalach społecznościowych i w rozmowach wielu Polaków. Wszystko sprzyjało temu, by film osiągnął sukces, a jednak tak się nie stało, a przynajmniej nie w spodziewanym przez dystrybutora i producentów rozmiarze. Oczywiście można by sprawę uprościć i uznać, że skoro mamy do czynienia z produkcją, w której duży udział miała TVP w likwidacji, należy to wykorzystać do skrytykowania tej instytucji. W tym przypadku jednak nie warto iść na łatwiznę, zwłaszcza gdy pamięta się, z jakim trudem krytyka musiała uznać przed ponad dwoma laty za dzieło wybitne „Filipa", mającego premierę w czasie największej niechęci środowisk kultury do „pisowskiej" wówczas stacji.

Nie przypadkiem przywołuję tamtą ekranizację, czy raczej opowieść, opartą na motywach z powieści Leopolda Tyrmanda. Za reżyserię i w przypadku „Filipa", i filmu „Chopin, Chopin!" odpowiada Michał Kwieciński. I tak samo jak w filmie sprzed dwóch lat, w tytułowej roli obsadził Eryka Kulma. Porównania są więc na miejscu. Kulm wychodzi z nich obronną ręką, Kwieciński natomiast – tylko częściowo. Odtwórca postaci Fryderyka Chopina potwierdza, że jest jednym z najzdolniejszych aktorów polskich młodszego pokolenia. Jest w swą rolę zaangażowany, jest w niej wiarygodny, jest też bardzo pracowity. W ekranizacji Tyrmanda mówił wszystkimi językami, którymi w czasie wojny posługiwać musiał się jego Filip. Teraz nauczył się grać na pianinie w stopniu umożliwiającym mu wykonanie pokazanych w filmie partii kompozytora. Ma przy tym swój urok, każący bawić się z nim w Paryżu rozśpiewanym, roztańczonym i zasłuchanym w muzykę, ale też potem razem z nim się wycofać, odejść. I tu zaczynają się pułapki tego filmu, do których za chwilę wrócimy.

Pieniądze dobrze wydane

Film kosztował niesamowicie dużo jak na polskie warunki. To najdroższa produkcja od czasów „Quo Vadis", a więc od ponad 20 lat. Informacje nie są zbyt dokładne, według jednych źródeł na superprodukcję o Fryderyku Chopinie wydano 64 mln, według innych o 8 mln złotych więcej. To rozbudziło bardzo duże oczekiwania. To pewien paradoks. „Chopin, Chopin!" wielu widzów i krytyków rozczarował, mówi się o zmarnowanej szansie na pokazanie światu życia wielkiego artysty, a jednak, choć chętnie piszą tak lubiący tego typu oskarżenia komentatorzy, nie można powiedzieć, że pieniądze zostały zmarnowane czy wręcz przepalone. Nic z tych rzeczy: naprawdę widać je na ekranie. Widać je w pięknych sceneriach sal koncertowych i bogatych pałacach, widać je na ulicach Paryża spokojnego i zrewoltowanego, a także można je dostrzec w prawdziwym tłumie aktorów i tysiącach statystów zapełniających te wszystkie miejsca. Poza Paryżem widzimy tu jeszcze pałace Niemiec i piękno niezbyt gościnnej Majorki. Mamy też jedną, zapadającą w pamięć scenę jakby z innego gatunku, moment, gdy wymęczony już chorobą i zmuszony do ratowania się opium pianista halucynuje podczas wielkiego koncertu. Zaryzykuję stwierdzenie, że to jedna z najlepszych… horrorowych scen, jakie widziałem na ekranie. Podsumowując – nie w pieniądzach jest problem, a scenografia zasługuje na najwyższe uznanie. Reżyseria zapewne też godna byłaby podobnych pochwał, gdyby nie zabrakło kolejnego, bardzo ważnego elementu – dobrego scenariusza. Bo tak naprawdę to w nim leżą wszystkie kłopoty filmu, w którym aktorzy i miejsca radzą sobie tak znakomicie.

Checklista z biografii

Przede wszystkim, o czym krytycy piszą bardzo chętnie, problemem jest pewna chaotyczność kolejnych, nie zawsze jednoznacznie wynikających z siebie scen. Chopin jest tu, a potem nagle jest tam, dzieje się bardzo dużo i bardzo szybko, ale w taki sposób, jakby ktoś koniecznie musiał po prostu odhaczyć kolejne punkty. Szczyt kariery, choroba, nieudane narzeczeństwo, fałszywa wiadomość o śmierci, epidemia, romans, rewolucja, śmierć… Masz wszystko? To kończymy. Być może sprawdziłoby się to lepiej w serialu, w którym czymś naturalnym jest czasowy przeskok między odcinkami, w filmie wygląda to na dość chaotyczną galopadę, a to kontrastuje z dość powolnym tempem większości akcji. Odnotujmy jednak, że każda z tych historycznych zawieruch pokazana jest sama w sobie za pomocą kilku symbolicznych i bardzo celnych obrazów – ulic wymarłych i przerażonych

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 8a2e544ff3

albo rewolucyjnie rozkrzyczanych i roztańczonych. Zaczyna się wszystko żywiołowo, hulanką, karierą i euforią, Paryżem artystycznym, zblazowanym i dekadenckim, nawet na swój sposób odpychającym. Potem nagle wszystko przecina pierwszy gwałtowny kaszel, pierwsza wypluta krew. Od tego momentu towarzyszymy Chopinowi/Kulmowi w odchodzeniu i na nim się koncentrujemy. Owszem, nasz Chopin odchodzi pięknie, godnie, w stylu równie poruszającym co jego gra. Ale w ten sposób film, który miał przybliżyć nam kompozytora staje się niejako korepetycjami z choroby i umierania. To bardzo ważne w dzisiejszych czasach, gdy kultura wraz z popkulturą często każą nam pewne rzeczy od siebie odsunąć, o pewnych sprawach nie myśleć. Szaleć, bawić się i kupować. Więc to film na swój sposób ważny moralnie. Tyle że nie z myślą o tym wydano te wszystkie pieniądze, tak skwapliwie teraz rozliczane pod każdą nieprzychylną recenzją – to miała być promocja twórcy, jego sztuki, a zarazem naszego narodowego dobra i towaru eksportowego. Wielu z krytyków sądzi, że tej misji „Chopin, Chopin!" nie udźwignie. Czytający zaś lub oglądający recenzje zapewne myślą sobie, że nasi filmowcy znowu skopali poważną sprawę i zniechęceni opiniami znawców, z którymi koresponduje ich doświadczenie, zostają w domu. A to, mimo wszystkich uwag, uważam za spory błąd.

Owszem, mamy do czynienia z filmem trudnym i przez to niewykorzystującym swego potencjału do stworzenia międzynarodowego, wielkiego hitu. Nie spełniono więc oczekiwań, nie da się ukryć. Równocześnie jednak to wciąż bardzo dobra produkcja, niosąca w sobie i wizualne piękno, i dość ważne przesłanie moralne. Myślę, że swoje spóźnione kilka minut chwały, zwłaszcza tej frekwencyjnej, będzie miała, gdy trafi już do serwisów streamingowych. Gdy bowiem będzie się do niej łatwiej dostać, widz kanapowy da jej szansę, której nie dał mu jego kinowy odpowiednik. A wtedy być może pożałuje nawet, że niektórych, że szczególnym rozmachem zrealizowanych scen nie widzi jednak na wielkim ekranie. Po drodze frekwencję podbudują jeszcze szkoły i zagranica. Warto też dla porządku zauważyć, że krytycy, z nielicznymi wyjątkami, są dla obrazu Kwiecińskiego mniej łaskawi niż zwykli kinowi widzowie. 23 krytyków piszących dla Filmwebu oceniło film na 5,3 (w skali do 10), średnia ocen prawie 4 tys. widzów to już 6,4.

Bez zgorszeń i propagandy

Na koniec trzeba jeszcze wspomnieć o tym, o czym większość liberalnej krytyki będzie raczej milczeć. Przed premierą część potencjalnych widzów obawiała się, że w zgodzie z obecną modą i prądami artystycznymi filmowcy mogą chcieć pokazać Fryderyka Chopina jako kogoś, kim Fryderyk Chopin nie był – zarówno w kwestiach wyborów obyczajowych i moralnych, jak i politycznych. Nic z tych rzeczy nie ma tu miejsca. Bohater jest po prostu trochę przytłoczonym najpierw powodzeniem, a potem chorobą i cierpieniem, sympatycznym i robiącym dobre wrażenie młodym człowiekiem. Choć nie powtarza na każdym kroku o swojej polskości, nie zapomina o niej. Polska i jej los przewijają się przez film, przez opowiadane przez Chopina żarty i składane bardzo poważne deklaracje, choćby wolę pochowania jego serca w Warszawie. A kwestie obyczajowe? Ma kilku przyjaciół, w tym Franciszka Liszta, z którym tworzy zgrany duet towarzysko-artystyczny, ale żadnych dodatkowych emocji i niepotrzebnych kontekstów się obu bohaterom nie dopisuje. Kobiety są natomiast obecne cały czas, przewijają się przez świat artysty arystokratki, fanki, polskie szlachcianki i paryskie uczennice, choć trudno uznać, by kompozytor miał do nich szczęście.

Choć Chopin nie powtarza na każdym kroku o swojej polskości, nie zapomina o niej. Polska i jej los przewijają się przez film, przez opowiadane przez niego żarty i składane poważne deklaracje, choćby wolę pochowania jego serca w Warszawie.

Jakby więc to wszystko podsumować? Superprodukcja, której trudno będzie być przebojem. Film piękny, choć w niektórych aspektach rozczarowujący. Dający nam bardzo dużo, a zarazem niekoniecznie dający to, co chcieliśmy dostać. Mimo wszystko myślę, że warto dać mu szansę, może nawet poprawiając trochę te umiarkowanie dobre statystyki, i zagrać na nosie recenzentom – choć może z mniejszą od Chopina klasą. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3

Marek Kalinowski

Słoneczne bolera w deszczowej Warszawie

Nagrywał już sonaty Beethovena i nokturny Chopina, choć największą popularność przyniosła mu bigbandowa przygoda z Janem Młynarskim i repertuarem przedwojennych polskich szlagierów. Tym razem pianista Marcin Masecki daje się poznać również jako wokalista, odkrywając niezwykły świat południowoamerykańskich walców i boler.

Jest późny jesienny wieczór. Ponure zaułki podziemnego przejścia przy Dworcu Centralnym w Warszawie niespodziewanie rozświetlają znajome dźwięki pianina. Melodia dobiega z mieszczącego się tu sklepu z płytami – choć tym razem, jak się okaże, wcale nie pochodzi z odtwarzacza. Za pianinem zasiadł Marcin Masecki, który z właściwą sobie lekkością i fantazją płynie przez muzyczne światy Theloniousa Monka. Kiedy w tym samym czasie w Warszawie trwają przesłuchania konkursu chopinowskiego, ten spontaniczny występ znanego pianisty pozwala muzyce płynąć zdecydowanie swobodniej, a przecież równie dobrze mógłby sięgnąć po któryś z nokturnów Chopina, które ma już dawno nagrane.



Marcin Masecki, BOLEROS Y MASECKI, Toinen Music

Przysłuchując się dobiegającym ze sklepu dźwiękom, już wiem, jaką płytę dziś Państwu przyniosę. Nie będzie to jednak ani Monk, ani Chopin, tylko premierowe wydanie albumu „Boleros y Masecki", który pianista nagrał wraz z towarzyszącym mu mini-jazzbandem, zabierając nas w świat południowoamerykańskiego walca i bolera.

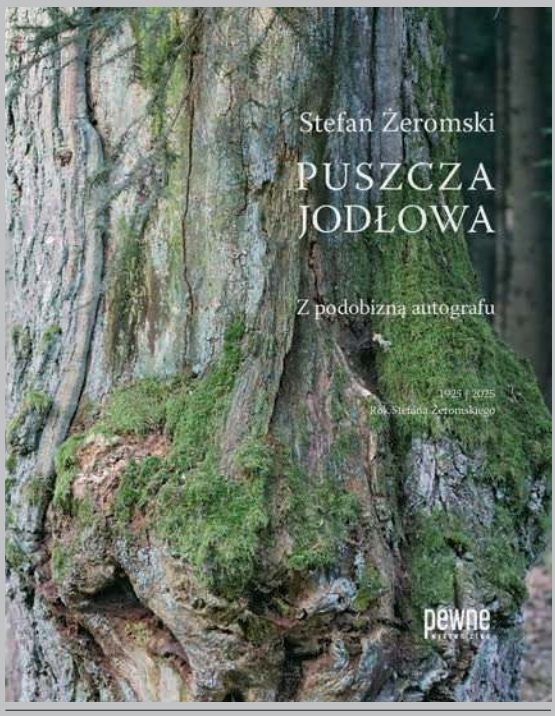
Trudno znaleźć osobę, która nie znałaby piosenki „Bésame Mucho", tym bardziej że lista wykonawców, którzy sięgali po ten przebój, jest naprawdę imponująca. Mało kto jednak pamięta, że autorką kompozycji była zaledwie szesnastoletnia Consuelo Valesquez, wówczas, w latach 30. ubiegłego wieku, uczennica prowadzonej przez zakonnice szkoły w Mexico City. I choć później została solistką Narodowej Orkiestry Symfonicznej w Meksyku i napisała dziesiątki utworów, żaden nie dorównał popularnością tej pierwszej młodzieńczej próbie. Inspiracją miał być ponoć widok całującej się pary, a Marcin Masecki jakby wraca do jej źródeł, zamieniając chwytliwy przebój w niespieszny, ponaddziesięciominutowy, namiętny, miłosny list.

Na płycie znajdziemy jeszcze jeden znany latynoamerykański hit – chwytliwe „Cachito", dla większości słuchaczy reszta repertuaru będzie jednak całkowitym odkryciem. Pianista włożył sporo wysiłku w dotarcie do źródeł tych pieśni, jest to również dla niego bardzo osobista podróż. W repertuarze Ameryki Łacińskiej debiutuje bowiem jako wokalista, a jego hiszpański brzmi równie naturalnie jak polski – dzieciństwo spędził w kolumbijskiej miejscowości Popayán.

Pomysł na płytę przywodzi na myśl niedawne nagrania Bastardy z João de Sousa, w których muzycy przenieśli portugalskie pieśni fado w polski, rodzimy krajobraz. Mimo że Marcin Masecki sięga po kompletnie inny repertuar, sama idea jest łudząco podobna. Wyobrażam sobie, że dość łatwo można byłoby zepsuć te niezwykłe utwory, zwłaszcza przy próbie zbyt dokładnego ich przepisania. Na szczęście takie podejście obce jest artyście, który, jak zwykle, odczytuje pożyczone utwory w sposób bardzo osobisty. W efekcie otrzymujemy płytę otwartą na nowe spotkania – tam, gdzie nasza, może nieco deszczowa melancholia napotyka spalone słońcem odległe zakątki świata. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 8a2e544ff3



Stefan Żeromski, „Puszcza jodłowa", wydanie jubileuszowe, Pewne Wydawnictwo, Kielce 2025.

Krzysztof Wołodźko



Żeromski i patriotyzm krajobrazu. Debata, której nie ma

„W uszach moich trwa szum twój, lesie dzieciństwa i młodości – choć tyle już lat nie dano mi słyszeć na jawie!" – tak zaczyna się „Puszcza jodłowa" Stefana Żeromskiego, poemat pisany prozą, literacka miniatura w jedno łącząca świat kultury i natury, perła zapoznanego niemal w Polsce patriotyzmu krajobrazu, pochwała Gór Świętokrzyskich i Kielecczyzny. „To ostatnie słowo pisarza" – mówi „Nowemu Państwu" Adam Cedro, którego staraniem w Roku Żeromskiego ukazało się piękne wydanie tego utworu z podobizną autografu pisarza.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Mamy – obchodzony dość skromnie – Rok Żeromskiego, ustanowiony dla upamiętnienia 100. rocznicy śmierci pisarza. Trzeba oddać zasłużonemu, konserwatywnemu przecież, środowisku Teologii Politycznej, że nie zapomniało o autorze kojarzonym na ogół z dawną lewicą. W październiku poświęciło autorowi „Przedwiośnia" swoją coroczną, sztandarową imprezę: IX edycję festiwalu. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że państwo polskie zapomniało o pisarzu, który przez dekady był jedną z najważniejszych postaci rodzimej inteligencji. To nie czasy, by wierzyć w szklane domy dla ludu, „czysta żeromszczyzna" to termin z lamusa, literatura stawia sobie dzisiaj na ogół inne cele, czego innego oczekują wydawcy i czytelnicy. Są jednak ludzie, którzy chcą Żeromskiego pamiętać, czytać i wydawać.

„Puszcza jodłowa" i początki polskiej ekologii

Niedługi esej, literacka miniatura, świadectwo pisarskiego kunsztu – tym jest „Puszcza jodłowa" Stefana Żeromskiego. Kielecczyzna, Góry Świętokrzyskie, kraina dziecięcych i młodzieńczych lat pisarza poddana literackiej sublimacji – mrok i jasność starej puszczy, pradawnej rzeki Nidy, odwiecznych gór, polskiej historii. Łysica i źródło świętego Franciszka, leśne kaplice pamiętające benedyktyńskich eremitów i krwawe ślady stóp na ścieżkach wydeptanych przez styczniowych powstańców… O tym myślał i to u kresu życia chciał raz jeszcze powiedzieć sobie i światu pisarz, który opisał dzieje grzechu i trud społecznej i kulturowej walki o polskość pod zaborami, którego bohater literacki rzucał w „Przedwiośniu" w twarz budowniczym II Rzeczypospolitej obrazoburcze słowa: „Macież wy odwagę Lenina, żeby wszcząć dzieło nieznane, zburzyć stare i wszcząć nowe?".

„Puszcza jodłowa" brzmi innymi tonami, choć pojawiają się tam harde słowa, przestrogi przed niszczeniem skarbów ojczystej przyrody. To przede wszystkim opowieść łącząca w jedno patriotyzm i krajobraz – pisana w czasach, gdy aktualna była pamięć choćby o wielkim sporze o Morskie Oko, którego polskość została uznana sądownie wielkim wysiłkiem i arcypolskim, pozytywistycznym staraniem (nie tylko finansowym) Władysława Zamoyskiego. To opowieść z czasów, gdy prekursor rodzimej ekologii, endek Jan Gwalbert Pawlikowski, zabiegał o ocalenie piękna polskich Tatr w nienaruszonej postaci i ustanowienie na ich obszarze parku narodowego, „zachowanie ich w pierwotnej nieskażonej krasie dalekim pokoleniom". Więzi łączące autora „Popiołów" z Zakopanem i Tatrami były zresztą głębokie, przeniknęły nie tylko do jego twórczości. Obszerny opis tych spraw daje książka Macieja Pinkwarta pod wymownym tytułem „Stefan Żeromski. Prezydent Rzeczpospolitej Zakopiańskiej".

Dla pisarza piękno świętokrzyskiej przyrody idzie w parze z historycznym znaczeniem tamtejszej architektury: „Przyszła znowu na swe miejsce Polska. Nie zamienili Moskale klasztoru Świętej Katarzyny na koszary konnicy, jak było w ich planie, i nie przyłożył Austriak siekiery do korzenia lasów. Stoi oto wciąż dom Boży. Widać ze wszech stron białą jego wierzę w dolinie fiołkowej od lasów, co z dala i z bliska ciągną ku niemu wielkimi pasmami".

Puszcza boża i święta

Autor „Ludzi bezdomnych" pisząc o jodłowej puszczy, świętokrzyskiej ziemi, miał świadomość zagrożeń dla integralności odwiecznej kniei, jej fauny i flory. Nie bez powodu, rzucając gromy na byłych zaborców, Rosjan i Austriaków, którzy chcieli trzebić i karczować starodawne lasy, pisał u początków II Rzeczypospolitej: „Żyj wiecznie, świątnico, ogrodzie lilii, serce lasów! Przeminęły nad tobą czasy złe, zlane ludzką krwią. Ciągną inne, inne. Lecz któż może wiedzieć, czy z plemienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu lub czyjegoś niezbędnego zysku. Jakie bądź byłoby prawo, czyjekolwiek by było, do tych przyszłych barbarzyńców poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: – nie pozwalam! Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków, jako las nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którym święty jeleń chodzi – jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i żywa pieśń wieczności. Puszcza jest niczyja – nie moja ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!".

Ostatnie zdania niewielkiego eseju, płomienne i gwałtowne, patetyczne i kasandryczne pewnie brzmią dziś staroświecko, irytują wielu – nie inaczej – czystą żeromszczyzną. Mniej oczywistą żeromszczyzną, bo czytany na ogół jako pisarz społeczny, polityczny, historyczny, obyczajowy Żeromski jest zapomniany właśnie jako piewca rodzimej przyrody, jej przedstawień wyrugowanych niemal z literatury naszej czasów; opisów zbyt głupio, ze zbytnią łatwizną ośmieszonych przez belfrów i uczniów, nierzadko pospołu kwękających nad literackimi pejzażami opisującymi piękno rodzimej natury. Maestria tych scen (już w czasach mojej edukacji lekko deprecjonowanych przez samych nauczycieli, puszczających oko do młodzieży, że i dla nich to poczciwe ramoty) zachwyca realizmem, kunsztem operowania perspektywą, prze-

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 8a2e544ff3

chodzenia od dali do bliży, słownictwem dawno zapoznanym, malowniczym, nieledwie fotograficznym. To mistrzowie i mistrzynie polskiej literatury przechowali dla nas tamtejszą przyrodę, nieistniejące już często ojczyste krajobrazy dawnej Rzeczypospolitej, tamte strony, pośród których ludzie chcieli żyć i za które chcieli umierać. A przecież dziś, gdy sięgnąć choć na moment po stronice dawnych autorów i autorek, klasyków XIX-wiecznej literatury pięknej, wyobraźnia przenika do zmysłów, umysł karmi się dawno zapomnianymi przez nas słowami i miejscami, które trudno sobie dzisiaj wyobrazić w ich niegdysiejszym kształcie.

To nie tylko „Nad Niemnem" Elizy Orzeszkowej. To również Stefan Żeromski w tragicznych, niedocenionych, sprowadzonych do filmu Andrzeja Wajdy „Popiołach": „Ogary poszły w las. Echo ich grania słabło coraz bardziej, aż wreszcie utonęło w milczeniu leśnym. […] Gdy powiew wiatru nacichał, wynurzała się cisza bezdenna i nieobjęta na podobieństwo błękitu nieba spomiędzy obłoków i wówczas nie słychać było nic a nic. […] Naokół stały jodły ze spłaszczonymi szczytami jakoby wieże strzeliste, nie wyprowadzone do samego krzyża. Ich pnie sinawe jaśniały w mroku. Mchy stare zwisały z olbrzymich gałęzi. […] Wielkie jedle chwiały królewskie swe szczyty w przeciągu niejednego już wieku pomiędzy mgłami Łysicy. […] Rafał, plecami oparty o pień grubego buka, stał i nasłuchiwał". Do postaci głównego bohatera „Popiołów", czyli Rafała Olbromskiego, Żeromski wraca u kresu życia, właśnie w „Puszczy jodłowej", gdy pisze, że nie jest pewien własnych wspomnień i nie rozpoznaje dzisiejszego siebie w tamtym młodzieńcu: „to Rafał albo inny jaki bujał niegdy tamoj po górach".

Znamy z polskiej literatury opis podobnego zdumienia kruchością istnienia i pamięci ludzkiej, niemal metafizyczne poczucie, że świat cały, historia krwawa i zła, szczęśliwa i nieszczęśliwa były tylko iluzją. To nieco inny kontekst, ale pamiętamy, że stary subiekt Ignacy Rzecki z „Lalki" Bolesława Prusa umierając, patrzy na marionetki bawiące ludzi i myśli o rzeczach błahych i bitwach, Napoleonie i dziecięcym widoku stołecznej Pragi: „Czy ja to wszystko istotnie widziałem, czy mi się tylko śniło?… Boże miłosierny…". Zostawmy literackie skojarzenia, pamiętając, że wrócą do nas podobnymi romantycznymi toposami, ilekroć przypomnimy sobie o najważniejszych polskich autorach tamtych czasów.

Wymowny brak zainteresowania

Mamy zatem piękne, nowe wydanie „Puszczy jodłowej". Nie byłoby tej cennej pamiątki na Rok Żeromskiego bez pracy Adama Cedro, norwidologa, redaktora naczelnego Wydawnictwa Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. W krótkiej rozmowie z „Nowym Państwem" założyciel Pewnego Wydawnictwa opowiada, że mając świadomość zbliżającej się rocznicy śmierci pisarza, odpowiednio wcześnie zaczął starania o uzyskanie ze Lwowa podobizny autografu „Puszczy jodłowej". I przypomina: „Był ten rękopis co prawda kiedyś już reprodukowany, ale ówczesna jakość państwowej poligrafii nie pozwoliła uzyskać oddającego rzeczywiste kolory i czytelnego duktu pisma pisarza. Dopiero teraz było to możliwe. Oprócz reprodukcji tomik przynosi nową edycję tekstu, z wprowadzeniem kilku poprawek w miejscach zniekształconych przez poprzednich wydawców i edytorów. Dodałem też kilkanaście własnych zdjęć krajobrazu i przyrody związanych z krainą Żeromskiego". Ściśle edytorskie uwagi mogą brzmieć hermetycznie dla części czytelników i czytelniczek, stąd Cedro wskazuje na szerszy kontekst: „W dorobku oficyny jest już kilka tomów, które reprodukują autografy znanych dzieł. Wydałem podobiznę Norwidowego »Vade-mecum«, »Marii« Antoniego Malczewskiego, wielu rękopisów Adama Mickiewicza. Tego typu publikacje mają ogromne znaczenie dla filologów, pozwalając edytorom czy miłośnikom literatury na niemal intymne towarzyszenie autorowi, na przykład w odtwarzaniu procesu powstawania czy szlifowania wersji utworu".

Niedługi esej, literacka miniatura, świadectwo pisarskiego kunsztu – tym jest „Puszcza jodłowa". Kielecczyzna, Góry Świętokrzyskie, kraina dziecięcych i młodzieńczych lat Żeromskiego poddana literackiej sublimacji – mrok i jasność starej puszczy, pradawnej rzeki Nidy, odwiecznych gór, polskiej historii.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Szef Pewnego Wydawnictwa zdradza, że zamierzał wydać „Puszczę jodłową" w większym nakładzie: „To znakomity tekst, który mógłby stanowić bazę dla regionalnego programu ochrony przyrody, rozwoju turystyki, uczenia o historii i kulturze regionu. Rok Żeromskiego był ku temu kapitalną okazją". Dlaczego się nie udało? Cedro ubolewa: „Niestety, żadna z lokalnych instytucji, do których się zwracałem (państwowych i samorządowych), nie wykazała zainteresowania opowieścią Żeromskiego. Pozostało mi wydrukowanie jubileuszowej edycji w niewielkim nakładzie. Publikacja jest zatem moim osobistym hołdem dla pisarza, gdyż i moje życie jest związane z regionem świętokrzyskim". W jego opinii ta sytuacja w jakimś stopniu ukazuje, jak w rzeczywistości podchodzimy do dziedzictwa po pisarzu: „Lokujemy go (jednak) na antykwarycznej półce. Tym wspaniałym tekstem, na pół poematem, na pół uroczystą mową, wręcz ostatnim słowem pisarza w świętokrzyskim regionie zainteresowało się jedynie Stowarzyszenie Absolwentów Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego w Kielcach".

„Nie wszystek umarł" Żeromski

Na szczęście „nie wszystek umarł" Żeromski – piewca i strażnik polskiej przyrody, patriota krajobrazu. Adam Cedro mówi, że po współpracy z Wydziałem Prawa i Administracji Uniwersytetu Szczecińskiego „Puszcza jodłowa" ukazała się w Roku Żeromskiego jako pierwszy tom nowej serii wydawniczej, zatytułowanej „Ku Ekologii Biosfery", zainicjowanej i redagowanej przez prof. Pasquale Policastro. To włoski naukowiec, który znaczną część życia spędził w Polsce. Cedro wyjaśnia „Nowemu Państwu": „Tekstowi poematu towarzyszy esej pomysłodawcy wydania, pokazujący odkrywczość refleksji pisarza i tożsamość wielu wątków dzieła Żeromskiego ze współczesnymi próbami myślenia o przyrodzie, świecie, historii, kulturze i człowieku". I puentuje: „Może zatem choć w dziedzinie głęboko pojętej ekologii pozostanie pamięć o człowieku, który tak mocno kochał swą ojczystą krainę. Dla mnie ten i taki Żeromski, po pracy nad opracowaniem tekstu »Puszczy jodłowej«, stał się najważniejszy". Dodajmy, że ekologiczny nurt pisarstwa autora „Wiernej rzeki" jest dobrze zauważany przez badaczy jego twórczości. W wydanej przez Narodowe Centrum Kultury w ubiegłym roku pod redakcją Marii Jolanty Olszewskiej pracy „Żeromski. Powroty" znajdziemy osobny rozdział poświęcony temu zagadnieniu. Jeden z autorów tomu, Dariusz Piechota, przypomina, że pisarz znał podobno 400 gatunków roślin, w tym kwiatów, drzew, pnączy. Świat przyrody, w tym świat flory, służył Żeromskiemu nie tylko do pieczołowitego malowania krajobrazów i żywiołów potężniejszych od człowieka, lecz także do budowania scen miłosnych i batalistycznych oraz kreowania „pejzaży duszy" odzwierciedlających przeżycia bohaterów.

W „Puszczy jodłowej" przyroda jest bytem niemal mistycznym, sakralnym. I to podwójnie: pogańskim i chrześcijańskim zarazem. Jest przystanią benedyktynów, przybyszy z Włoch, zmagających się z żywiołami północy, a później bernardynek, które „nauczyły lud okolicznych wsi czytać i pisać, robót ręcznych i rzemiosł". Siostry zakonne „zasadziły za klasztorem swym ogród ozdobny, gdzie lilie najcudniejsze na ziemi zakwitają w czerwcowe niedziele, ażeby zdobić ołtarz wielkiej męczennicy Katarzyny – i gdzie wychylały się ponad mur wysoki kwitnące drzewa jabłoni. Potok, w łożysko ujęty, ze szmerem przelewał swe wody wskróś ogrodu, a wielki, ciemny las trzymał w swym łonie ten rozkwitły wirydarz". A równocześnie Góry Świętokrzyskie z czasów Żeromskiego (początków XX wieku!) to wciąż jeszcze dawniejszy, pierwotniejszy świat, pełen klechd ludowych: „Lecz stare bóstwa domowe, leśne i polne nie pomarły. Strzygi i zmory, kostusie i mokrzyska siedzą u progów, w węgłach i na poddaszach. Zły hasa drogami, czatuje na krzyżowych i wałęsa się wokoło domostw. […] Grasują wciąż jeszcze czarownice, cioty i widmy, latają na szczyt Łysicy po tajemnicze zioła, rzucają urok i sprowadzają nieszczęście. Odczyniają wszelkie choroby i uroki nieomylni, rodowici wróże, lecząc starymi sposoby – zamawianiem według form dawnych, niezrozumiałych, na podstawie splotów włosów, kawałków odzieży z wisielca, widełek nietoperza, mchu z krzyża na rozstajnej drodze, wody wrzącej, węgli lub chleba".

Wielkie wołanie Żeromskiego o cześć i szacunek dla rodzimej przyrody, choć przekraczało romantyczne tradycje, bliskie było słynnym frazom Adama Mickiewicza z „Pana Tadeusza". Warto je przypomnieć: „Pomniki nasze! ileż co rok was pożera / Kupiecka lub rządowa, moskiewska siekiera! / Nie zostawia przytułku, ni leśnym śpiewakom, / Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom". Patriotyzm krajobrazu nie powinien być pojęciem z literackiego lamusa, nie powinien być wyłącznie estetycznym wspomnieniem choćby o twórczości Józefa Chełmońskiego (w Muzeum Narodowym w Krakowie wciąż można zobaczyć znakomitą wystawę dzieł malarza). To cenny punkt odniesienia o debacie o współczesnej polskości, osadzający niejedną abstrakcję w tym, co żywe, piękne, bezcenne. „Puszcza jodłowa", jej wydanie, o którym była tutaj mowa, to ważny głos w tej debacie. Dyskusji publicznej, której właściwie dzisiaj w Polsce nie ma. ■

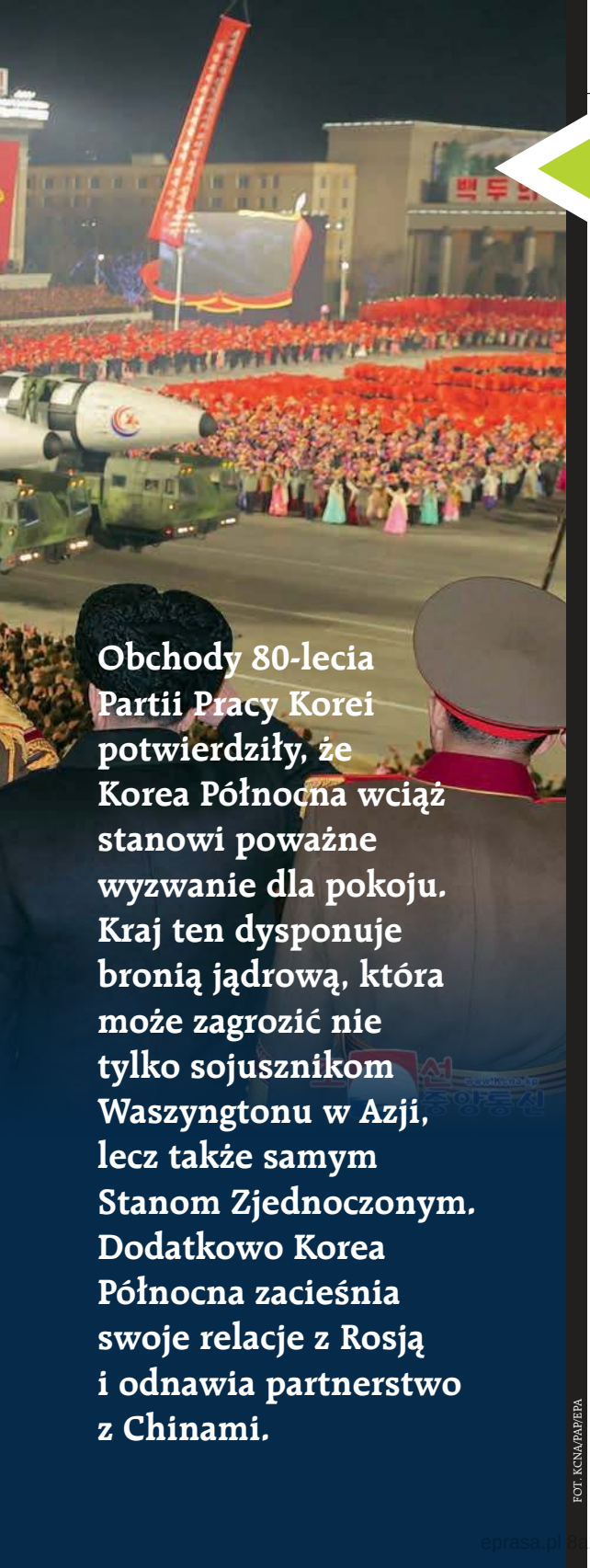
eprasa.pl 8a2e544ff3



Hanna Shen

Korea Północna – wyzwanie dla pokoju

eprasa.pl 8a2e544ff3



Obchody 80-lecia Partii Pracy Korei potwierdziły, że Korea Północna wciąż stanowi poważne wyzwanie dla pokoju. Kraj ten dysponuje bronią jądrową, która może zagrozić nie tylko sojusznikom Waszyngtonu w Azji, lecz także samym Stanom Zjednoczonym. Dodatkowo Korea Północna zacieśnia swoje relacje z Rosją i odnawia partnerstwo z Chinami.

FOT. KCNA/PAP/EPA

Korea Północna (KRLD) niedawno obchodziła 80. rocznicę powstania rządzącej krajem Partii Pracy Korei (PPK). Główne obchody tego wydarzenia miały miejsce w dniach 9–10 października w Pjongjangu i obejmowały pompatyczną ceremonię, działania dyplomatyczne oraz demonstrację potęgi militarnej.

Bajki Kima

Mimo że KRLD jest jednym z najbardziej odizolowanych i zamkniętych państw na świecie, zmagającym się z poważnymi trudnościami gospodarczymi, jej przywódca Kim Dzong Un w dwugodzinnym przemówieniu wygłoszonym na Stadionie 1 Maja w Jongjandu mówił o rosnącym „międzynarodowym prestiżu" Korei Północnej oraz jej roli jako „bastionu niepodległości" w obliczu wpływów Zachodu. Kim stwierdził, że partia rządząca przekształciła „rozpacz w radość", i zapewnił, że „żadna rodzina nie głoduje pod opieką PPK". Przywódca KRLD chwalił się, że pomimo „brutalnej blokady imperialistów" udało mu się osiągnąć sukcesy, budując prosperujący naród.

Jednak temu bajkowemu obrazowi przeczą doniesienia dezerterów z Korei Północnej oraz analizy ekspertów. Zgodnie z raportem opublikowanym w ubiegłym roku przez Ministerstwo ds. Zjednoczenia Korei Południowej, opartym na wywiadach przeprowadzonych z ponad 6300 uciekinierami z KRLD w latach 2013–2022, Pjongjang zmaga się z poważnymi niedoborami żywności, które są często pogłębiane przez klęski żywiołowe, a sankcje międzynarodowe negatywnie wpływają na gospodarkę. Ponad 72 proc. ankietowanych uciekinierów, którzy opuścili Koreę Północną między 2016 a 2020 rokiem, stwierdziło, że nigdy nie otrzymali rządowych racji żywnościowych w rodzimym kraju z powodu braku towarów. Dla porównania spośród tych, którzy uciekli przed 2000 rokiem, 62 proc. osób nie otrzymało takiego podstawowego wsparcia. Około połowa osób, które zdezerterowały w latach 2016–2020, zadeklarowała, że w Korei Północnej nie otrzymywała żadnych wynagrodzeń ani żywności w zamian za pracę. Przed rokiem 2000 ten odsetek wynosił około jedną trzecią.

Należy również zwrócić uwagę na łamanie praw człowieka na niespotykaną dotąd skalę. Te nadużycia dotyczą niemal wszystkich 26 mln obywateli KRLD i są egzekwowane poprzez całkowitą kontrolę państwa, nadzór oraz systemy represji. Raport Komisji Śledczej ONZ (COI) z 2014 roku udokumentował „niewypowiedziane okrucieństwa", w tym eksterminację, niewolnictwo i prześladowania, które

eprasa.pl B2e544ff3

nie mają precedensu we współczesnym świecie. Dekadę później, w 2025 roku, raporty ONZ potwierdzają, że sytuacja nie uległa poprawie, a wręcz pogorszyła się w wielu obszarach. „Socjalistyczny raj" Kima dobrze wygląda jedynie w jego przemówieniach; z relacji uciekinierów wynika, że to piekło na ziemi.

Główni wrogowie: Waszyngton i Seul

Październikowe uroczystości w Pjongjangu uwydatniły determinację reżimu w zakresie odstraszania nuklearnego, zwłaszcza w kontekście trwających sankcji. W północnokoreańskiej ideologii oraz propagandzie państwowej Stany Zjednoczone i Korea Południowa są oficjalnie określane jako „główni wrogowie" KRLD. Ta doktryna, zawarta w konstytucji z 2013 roku (art. 60), przedstawia Waszyngton i Seul jako „imperialistyczny sojusz agresorów", dążący do inwazji, zmiany reżimu oraz nuklearnej zagłady. Przywódca Kim Dzong Un podkreślił to w swoim przemówieniu z 9 października 2025 roku, nazywając USA i Koreę Południową „okrutnymi gangsterami" oraz „marionetkowymi zdrajcami", którzy zagrażają „socjalistycznej suwerenności".

Ale tak jak Waszyngton od zawsze był postrzegany jako wróg numer jeden, narracja Kima wobec Seulu uległa znacznemu zaostrzeniu. Przywódca Korei Północnej kategorycznie odrzucił ideę zjednoczenia obu Korei na jakichkolwiek pokojowych lub równoprawnych warunkach, określając ją jako „przestarzałą i martwą". Obecnie postrzega Republikę Korei jako „obce, wrogie państwo", które ma być „całkowicie okupowane i podporządkowane" jako „prowincja nr 8" KRLD. Oznacza to koniec ponad 70-letniej retoryki „jeden naród, dwa systemy" i zastąpienie jej przymusem nuklearnym, mającym na celu wymuszenie kapitulacji Korei Południowej. W swoim przemówieniu z okazji 80. rocznicy powstania Partii Pracy Korei Kim grzmiał: „Zjednoczenie pod rządami zdradzieckich marionetek? Absurd! Dżucze Korei wyzwoli Południe siłą – Hwasong-20 to gwarantuje!". Ta ostra narracja ma na celu uzasadnienie odstraszania nuklearnego, wydatków wojskowych wynoszących 25 proc. PKB oraz całkowitej mobilizacji w obliczu zagrożeń egzystencjalnych. W swojej mowie Kim Dzong Un stwierdził również, że „nasz Hwasong-20 i hipersoniczne skarby zmiażdżą każdego agresora! Są wiecznymi gwarantami pokoju na Półwyspie Koreańskim i poza nim!". Obecnie Korea Północna dysponuje siedmioma seriami gotowych do użycia międzykontynentalnych pocisków balistycznych (ICBM) oraz około 50 głowicami. Podczas parady, która miała miejsce 10 października 2025 roku, Pjongjang po raz pierwszy zaprezentował pocisk Hwasong-20, określany przez północnokoreańską agencję KCNA jako „najpotężniejszy strategiczny system broni jądrowej". Seria międzykontynentalnych pocisków balistycznych Hwasong daje Korei Północnej możliwość zaatakowania dowolnego miejsca na terytorium kontynentalnym Stanów Zjednoczonych. Niemniej wciąż istnieją wątpliwości co do stopnia zaawansowania systemu naprowadzania, który umożliwiałby precyzyjne trafienie w cel, oraz co do zdolności głowicy bojowej pocisku do przetrwania momentu wejścia w atmosferę. „Hwasong-20 jest na razie uosobieniem ambicji Korei Północnej w zakresie zdolności do przenoszenia broni jądrowej o dalekim zasięgu. Możemy spodziewać się przetestowania tego systemu przed końcem roku" – powiedział Ankit Panda z amerykańskiego think tanku Carnegie Endowment for International Peace w rozmowie z agencją Reuters.

Przywódca Korei Północnej kategorycznie odrzucił ideę zjednoczenia obu Korei na jakichkolwiek pokojowych lub równoprawnych warunkach. Obecnie postrzega Republikę Korei jako „obce, wrogie państwo", które ma być „całkowicie okupowane i podporządkowane" jako „prowincja nr 8" KRLD.

Jeśli chodzi o technologię hipersonicznych pocisków balistycznych, to Korea Północna aktywnie rozwija ją od 2021 roku. Pociski te, poruszające się z prędkością przekraczającą 6116 km/h i zdolne do manewrowania w trakcie lotu, są przez Pjongjang przedstawiane jako broń „nieprzechwytywalna", która unika systemów obrony USA i ich sojuszników, takich jak THAAD i Aegis. Kim Dzong Un osobiście nadzorował liczne testy tych pocisków, podkreślając ich znaczenie w przeciwdziałaniu „impe-

eprasa.pl 8a2e544ff3

rialistycznej agresji". W 2025 roku Korea Północna przeprowadziła co najmniej trzy istotne testy hipersoniczne.

Sojusz z Rosją i Chinami

W obchodach 80-lecia powstania partii rządzącej KRLD w Pjongjangu głównymi gośćmi byli premier Chin Li Qiang oraz wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Rosji Dmitrij Miedwiediew. Była to niewątpliwa demonstracja pogłębiającego się partnerstwa strategicznego Pjongjangu z Pekinem i Moskwą. W swoim przemówieniu Kim Dzong Un wychwalał więzi z Rosją i Chinami, określając je jako „żelazną obronę przed imperialistyczną agresją". Przypomniał również o swojej obecności we wrześniu 2025 roku u boku Xi Jinpinga i Władimira Putina na paradzie zwycięstwa w Pekinie, z okazji triumfu Chin nad Japonią w II wojnie światowej.

Można stwierdzić, że rosyjska agresja na Ukrainę przyspieszyła proces zacieśniania relacji między państwami nowej osi zła. Pjongjang odnowił swoje stosunki z Moskwą, podpisując w czerwcu 2024 roku kompleksową umowę o partnerstwie strategicznym. Korea Północna zarobiła miliardy dolarów i ożywiła swój przemysł zbrojeniowy, dostarczając amunicję Putinowi. Według emerytowanego generała i byłego dowódcy Dowództwa Specjalnych Sił Bojowych Republiki Korei In-bum Chuna: „(…) ilość amunicji, jaką Korea Północna dostarczyła Rosji, jest równa tej, którą cały wolny świat przekazał Ukrainie". Pjongjang postanowił również wysłać wojska w celu wsparcia rosyjskiej ofensywy na Ukrainie. Podczas październikowej parady wojskowej w Pjongjangu uhonorowano „bohaterskich bojowników KRLD w Kursku", co miało na celu podniesienie morale.

Istnieje też jeszcze poważniejszy problem: transfer rosyjskich technologii przyspiesza północnokoreańskie programy nuklearne, rakietowe oraz rozwój zaawansowanej broni. Według Waszyngtonu te transfery stanowią bezpośrednie zagrożenie dla globalnej stabilności. I tak na przykład współpraca między rosyjskimi a koreańskimi specjalistami znacząco poprawiła celność pocisków balistycznych krótkiego zasięgu KN-23 (Hwasong-11). Transfer technologii związanej z budową dalekozasięgowych dronów kamikadze, takich jak Shahed, oraz ich rosyjskich odpowiedników – Garpiya i Gerań – sprawia, że dzięki Moskwie Pjongjang zyskuje możliwość masowej produkcji tego typu bezzałogowców. To z kolei może wpłynąć na równowagę militarną w regionie między Koreą Północną a Koreą Południową. Jednak to nie koniec tej współpracy. We wrześniu bieżącego roku południowokoreański wywiad ujawnił, że już w pierwszej połowie tego roku Rosja przekazała KRLD kluczowe komponenty do budowy okrętów podwodnych o napędzie jądrowym. Seul nieustannie bada te doniesienia, a ich ostateczne potwierdzenie mogłoby oznaczać, że Rosja przekroczyła „czerwoną linię", łamiąc Układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

Kim Dzong Un podjął również działania mające na celu poprawę relacji z Chinami. Jego szczyt z Xi Jinpingiem, który odbył się we wrześniu 2025 roku w Pekinie, zakończył sześcioletnią przerwę w kontaktach między przywódcami. Chiny stanowią główne źródło handlu Korei Północnej i są praktycznie jedynym filarem jej gospodarki. Chiński eksport do Korei Północnej obejmuje żywność, paliwo, maszyny oraz inne towary pierwszej potrzeby. W zamian Korea Północna eksportuje minerały, owoce morza i tekstylia. Chiny są często oskarżane o przymykanie oka na nielegalny handel transgraniczny, który wspiera gospodarkę Korei Północnej. Pomimo międzynarodowych sankcji, zwłaszcza po wielokrotnych próbach nuklearnych przeprowadzonych przez Koreę Północną, Chiny nadal oferują wsparcie polityczne i dyplomatyczne dla KRLD. Jako stały członek Rady Bezpieczeństwa ONZ, Pekin wykorzystuje swoją pozycję do łagodzenia lub opóźniania sankcji wobec Pjongjangu.

Kim czuje się panem sytuacji

Według Bruce'a Killingera, eksperta ds. Korei z Mansfield Foundation, think tanku specjalizującego się w relacjach USA z Azją, Korea Północna, Chiny oraz Rosja wspólnie uczestnicząc w paradach wojskowych w Pekinie i Pjongjangu, zademonstrowały silny sprzeciw wobec świata zachodniego. Kim Dzong Un prawdopodobnie uważa, że Korea Północna jest teraz najsilniejsza w swojej historii. W wyniku inwazji na Ukrainę Rosja stała się bardzo uzależniona od północnokoreańskich dostaw wojskowych. Oprócz transferu technologii Pjongjang otrzymał od Moskwy około 20 mld dolarów w zamian za wsparcie militarne. W ślad za zbliżeniem na linii Pjongjang –Moskwa nastąpiło też ocieplenie stosunków z reżimu Kima z Chinami. Według Killigera: „Kim prawdopodobnie uważa, że nie musi już zabiegać o korzyści ze strony USA, jak to miało miejsce w latach 2018 –2019. Otrzymuje od Rosji więcej korzyści na znacznie słabszych warunkach niż te, które mogłyby być stawiane przez USA i Koreę Południową". Przywódca Korei Północnej jest przekonany o swojej silnej pozycji negocjacyjnej. To czyni Koreę Północną jeszcze poważniejszym wyzwaniem dla pokoju. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3

opracował Antoni Rybczyński

Wojna w cieniu. Hybrydowe działania Rosji

Ataki na infrastrukturę, „nieznane" drony, zrywane podmorskie kable, podpalenia, a nawet zamachy. Rosja rozpętała prawdziwą hybrydową wojnę z Europą. To już nie jest tylko pomocniczy front wojny z Ukrainą, mający na celu osłabienie wsparcia Zachodu dla Kijowa. To już jest działanie mające na celu rozbicie jedności i destabilizację europejskiej części NATO.

Wojna hybrydowa to strategia łącząca konwencjonalną siłę militarną z tajnymi sabotażami, atakami cybernetycznymi, dezinformacją, presją ekonomiczną i innymi środkami niewojskowymi w celu osłabienia przeciwników, działając tuż poniżej progu otwartego konfliktu, unikając w ten sposób reakcji zbrojnej [„Beyond the Drones: Confronting Russia's Expanding Hybrid War on Europe", The Soufan Center, 8 października 2025]. Na przykład dywersje, ataki hakerskie, naruszenia przestrzeni powietrznej i tak dalej. Do takich działań NATO zalicza przypadki uszkodzenia kabli w Morzu Bałtyckim w latach 2023–2025. Nie oskarża się o to bezpośrednio Rosji, ale sekretarz generalny NATO Mark Rutte w swoim przemówieniu 4 września faktycznie powiedział, że za uszkodzeniami kabli stoi Rosja [Paweł Aksjonow, Ilja Abiszew, „Europa zaczęła przygotowywać się do ewentualnej wielkiej wojny. 10 najważniejszych pytań", BBC Russian, 3 października 2025]. Często operacje te mają na celu odwet na krajach za ich wsparcie dla Ukrainy lub zakłócenie codziennego życia w celu podważenia zaufania społeczeństwa do rządu w zakresie zapewnienia bezpieczeństwa obywatelom – taktyka ta jest stosowana najbardziej agresywnie w Europie Wschodniej [„Beyond the Drones…"].

Nie chodzi tylko o Ukrainę

Od czasu aneksji Krymu w 2014 roku rosyjskie agencje wywiadowcze eksperymentują z operacjami sabotażowymi za granicą jako sposobem wywierania presji na Zachód. Początkowo obejmowało to sporadyczne ataki, takie jak wysadzenie przez agentów GRU składów amunicji w Czechach, które zaopatrywały siły ukraińskie walczące wówczas z Rosją w Donbasie. Po tym, jak w 2022 roku inwazja na Ukrainę utknęła w martwym punkcie, Moskwa została początkowo odcięta od Zachodu, jej dyplomaci zostali wydaleni, a szpiedzy zmuszeni do przegrupowania się. Jednak w 2023 roku jej służby wywiadowcze, w tym Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB), Służba Wywiadu Zagranicznego (SWR) i GRU, rozpoczęły ponowne rozmieszczanie się w Europie w ramach nowej kampanii wojny hybrydowej. Po trzech latach wojny na pełną skalę na Ukrainie rosyjskie służby są obecnie w pełni zmobilizowane w Europie i włączyły sabotaż i wojnę hybrydową do swojej kompleksowej strategii. Ataki te nie mają na celu jedynie wytrącenia europejskich rządów z równowagi. Mają one również na celu osłabienie poparcia Europejczyków dla Ukrainy poprzez podnoszenie kosztów

eprasa.pl 8a2e544ff3

ponoszonych przez rządy i przemysł w sposób, który nie jest łatwy do przeciwdziałania, nękanie ludności i poszukiwanie słabych punktów w europejskiej obronności [Andriej Sołdatow, Irina Borogan, „Podpalacz, zabójca, sabotażysta, szpieg", „Foreign Affairs", 20 marca 2025].

Moskwa stosuje wiele taktyk, które mogą się różnić w zależności od kraju. Jednak jej podstawowy cel pozostaje niezmienny: osłabienie instytucji demokratycznych i erozja spójności społecznej na Zachodzie. Dla Kremla działania te są częścią tego, co postrzega jako trwającą wojnę z samym NATO (i Zachodem). Zachodnie wsparcie dla Ukrainy – od transferu broni po wymianę informacji wywiadowczych – jest postrzegane przez Moskwę jako nie mniej groźne niż bezpośredni udział w konflikcie. Utrzymując stałą, niewielką presję, Rosja stara się sprawdzić determinację NATO i dać do zrozumienia, że może podjąć działania odwetowe daleko poza polem bitwy na Ukrainie [„Beyond the Drones…"]. Rosja nie tylko dostrzegła szansę na wywarcie presji na Ukrainę, odstraszając od niej Europę. Sam obraz zwycięstwa po kilku miesiącach prezydentury Trumpa również uległ zmianie. Moskwa szuka teraz możliwości zmiany porządku: zamiast zwycięstwa nad Ukrainą, a w jej imieniu nad zbiorowym Zachodem, zamierza zadać coś w rodzaju hybrydowej, militarno-propagandowej porażki samemu zbiorowemu Zachodowi – Europie i NATO, a tym samym, okrężną drogą, Ukrainie [„Rosja straszy Europę dronami i chce udowodnić, że artykuł NATO o zbiorowej samoobronie nie ma już zastosowania. Jednak na razie sojuszowi udaje się zachować twarz", Meduza.io, 8 października 2025].

Jednorazowi agenci

Wojna na Ukrainie utrudniła Rosjanom prowadzenie własnych operacji w Europie, a ostatnie zmiany w technikach szpiegowskich – takie jak zlecanie operacji obywatelom europejskim w ramach jednorazowych zadań, poza ustalonymi sieciami szpiegowskimi w krajach docelowych – pomogły im obejść tę trudność [A. Sołdatow, I. Borogan, „Podpalacz, zabójca, sabotażysta, szpieg…"]. Rosyjska taktyka wojny hybrydowej regularnie opiera się na wykorzystaniu „jednorazowych" agentów, osób wykorzystywanych do pojedynczych misji. Agenci ci są rekrutowani i otrzymują instrukcje głównie za pośrednictwem platform mediów społecznościowych. Następnie są wykorzystywani do przeprowadzania szeregu operacji sabotażowych i wpływowych w Europie w imieniu Rosji. Los tych agentów nie interesuje Moskwy, ponieważ ich pojedyncze misje uniemożliwiają im poznanie konkretnego zakresu i głębokości działań rosyjskiego wywiadu (John C.K. Daly, „Szwedzka agencja SÄPO informuje, że Rosja rozwija taktyki sabotażowe", „Eurasia Daily Monitor", 9 kwietnia 2025].

Rosja rekrutuje „gangi przestępcze lub nieświadomą młodzież lub migrantów" do przeprowadzania wielu z tych operacji. Na przykład w marcu 2024 roku dwóch Brytyjczyków zostało aresztowanych za podpalenie magazynu przesyłek kurierskich powiązanego z Ukrainą we wschodnim Londynie – atak ten był powiązany z paramilitarną firmą Wagnera, tradycyjnie będącą przykrywką dla rosyjskiej agencji wywiadu wojskowego. Jednym z powodów jest to, że lokalni przestępcy mogą być rekrutowani za pośrednictwem mediów społecznościowych do jednorazowych zadań, nie wiedząc nawet, dla kogo pracują, co utrudnia przeciwdziałanie, a infiltracja obywateli rosyjskich do tych krajów stała się trudniejsza [A. Sołdatow, I. Borogan, „Podpalacz, zabójca, sabotażysta, szpieg…"]. Szwedzka służba bezpieczeństwa (Säkerhetspolisen, SÄPO) poinformowała w marcu, że Rosja wdraża nową taktykę szpiegowską. Rosyjskie służby wywiadowcze poszukują potencjalnych rekrutów cierpiących na uzależnienie od substancji psychoaktywnych, którzy mieliby przeprowadzać ataki sabotażowe w Szwecji, w związku z czym policja została wezwana do wzmożenia nadzoru. Uzależnieni od narkotyków są podobno poszukiwani ze względu na ich niski status społeczny i wynikającą z tego skuteczność w pozostawaniu niewidzialnymi, co jest cenioną cechą w działalności szpiegowskiej. Wykorzystywanie przez Moskwę osób uzależnionych od substancji psychoaktywnych jako narzędzi szpiegostwa świadczy o jej zwiększonym zainteresowaniu taktyką „wojny hybrydowej", czyli wykorzystaniem „szeregu różnych metod walki" przeciwko Europie (J.C.K. Daly, „Szwedzka agencja SÄPO informuje…"].

Fałszywa flaga i zakładnicy

W pierwszej dekadzie tego stulecia, kiedy rosyjskie agencje wywiadowcze przeprowadzały zabójstwa za granicą, ataki te miały wyraźny charakter rosyjski, na przykład, gdy napastnicy używali polonu lub wojskowego środka paralityczno-drgawkowego nowiczok. Jednak obecnie tak nie jest. Większość operacji sabotażowych przeprowadzonych przez Kreml w ciągu ostatnich dwóch lat nie ma bezpośrednich powiązań z Rosją. Wiele z nich angażuje lokalnych sprawców, którzy zostali zwerbowani za pośrednictwem mediów społecznościowych do jednorazowych zadań za kilkaset dolarów. Obecnie jednak transgraniczne represje Rosji stają się coraz bardziej wyrafinowane i często wiążą się z próbami zrzucenia winy na inne strony. Na przykład na początku

eprasa.pl 8a2e544ff3

lutego SWR publicznie oskarżyła ukraińskie agencje wywiadowcze o „przygotowywanie ataków" na rosyjskich działaczy opozycyjnych lub biznesmenów, którzy szukali schronienia za granicą. SWR twierdziła, że potencjalni napastnicy w przypadku aresztowania „obwiniliby rosyjskie służby specjalne, rzekomo na których polecenie przygotowywano te ataki". Rosyjskie społeczności na uchodźstwie w całej Europie szybko zrozumiały znaczenie tego oświadczenia: SWR przygotowywała grunt pod nową rundę ataków na rosyjskich uchodźców, z góry obarczając winą Ukrainę. Praktyka Moskwy polegająca na obarczaniu Ukrainy winą za rosyjskie operacje na Zachodzie wydaje się tylko nasilać. Od tej pory za ataki te, w tym próby zabójstw, podpalenia i ataki na infrastrukturę, prawdopodobnie będzie obwiniać się ukraiński wywiad, aby zwrócić europejską opinię publiczną przeciwko Ukrainie (A. Sołdatow, I. Borogan, „Podpalacz, zabójca, sabotażysta, szpieg…"].

Kolejnym elementem nowej strategii Rosji jest coraz częstsze wykorzystywanie zakładników. Nigdy wcześniej w Rosji nie porywano tak wielu obcokrajowców posiadających paszporty europejskie i amerykańskie jak obecnie. Od początku inwazji rosyjska Federalna Służba Bezpieczeństwa zaczęła aresztować wielu obywateli krajów docelowych pod różnymi pretekstami – na przykład za znalezienie gumy z marihuaną w torebce lub za znalezienie darowizny w wysokości kilkuset dolarów na rzecz ukraińskiej organizacji charytatywnej w smartfonie zatrzymanego. W czasie zimnej wojny wymiana więźniów ograniczała się głównie do cichych transakcji między rywalizującymi zachodnimi i sowieckimi agencjami wywiadowczymi, które miały miejsce na marginesie geopolityki. Od początku wojny na Ukrainie sytuacja uległa zmianie. Po negocjacjach w sprawie uwolnienia zatrzymanej amerykańskiej gwiazdy koszykówki Brittney Griner rosyjskie agencje wywiadowcze – zwłaszcza SWR i FSB – uznały, że wymiana zakładników może mieć silny wpływ na opinię publiczną w krajach docelowych. W rezultacie Moskwa przekształciła schwytanych obcokrajowców, w tym z Francji, Niemiec i ze Stanów Zjednoczonych, w istotną formę nacisku w negocjacjach geopolitycznych (A. Sołdatow, I. Borogan, „Podpalacz, zabójca, sabotażysta, szpieg…"].

Wojna hybrydowa w powietrzu

10 września doszło do zakrojonej na szeroką skalę inwazji dronów na Polskę, a następnie na Rumunię, wkrótce po czym trzy rosyjskie myśliwce MiG-31 wdarły się w przestrzeń powietrzną Estonii. Od tego czasu w krajach skandynawskich odnotowano liczne loty dronów o nieznanym pochodzeniu, w szczególności 22 września „atak", który spowodował zamknięcie lotniska w Kopenhadze, najruchliwszego w regionie. Rosja nie została obarczona winą za wszystkie wtargnięcia, ale na tym polega istota wojny w cieniu. Ofiary rozumieją, kto za tym stoi (Dania wskazała, że jej zdaniem winna jest Rosja, przypisując to „profesjonalnemu aktorowi"), ale nie mogą od razu przedstawić dowodów. Tymczasem zakłócenia są ogromne, ofiara wygląda na bezsilną, a zaufanie do rządu może ulec zachwianiu. Włączenie przez Rosję bezzałogowych statków powietrznych (UAV) do swojej strategii wojny hybrydowej podkreśla ulepszenie technologii dronów, co ma również wpływ na pola bitewne na Ukrainie [Fuad Shahbazov, „Przyspieszenie cichej wojny Putina", CEPA, 1 października 2025]. Incydenty te odzwierciedlają coraz bardziej złożoną sytuację bezpieczeństwa na wschodniej flance NATO. Połączenie aktywności dronów i przelotów samolotów podkreśla wyzwania związane z zarządzaniem bezpieczeństwem przestrzeni powietrznej w erze zagrożeń hybrydowych. Jednocześnie użycie nieoznakowanych dronów, krótkotrwałe wtargnięcia i wyłączone transpondery utrudniają przypisanie odpowiedzialności i pozostawiają pole do różnych interpretacji intencji [Yunis Gurbanov, „Rosja testuje wschodnie systemy obronne NATO", „Eurasia Daily Monitor", 9 października 2025].

Przypadki z dronami i myśliwcami można uznać za działania hybrydowe, jeśli były to aparaty wojskowe i naruszały granice państwowe, jak twierdzi wojsko NATO. Jednak samoloty nie przekroczyły „linii", za którą można by uznać to za agresję, dlatego protokół o użyciu broni nie został uruchomiony. Szara strefa w tym przypadku polega również na tym, że bardzo trudno jest udowodnić intencje Rosji – teoretycznie istnieje bowiem prawdopodobieństwo, że zarówno drony, jak i myśliwce znalazły się w obcej przestrzeni powietrznej przez pomyłkę [P. Aksjonow, I. Abiszew, „Europa zaczęła przygotowywać się do ewentualnej wielkiej wojny. 10 najważniejszych pytań…"]. Wysyłając drony do krajów europejskich, Rosja przekroczyła ważną symboliczną granicę. Ale przekroczyła ją w taki sposób, aby zachować możliwość wycofania się – i jak zwykle rozpuszczać fakty w zaprzeczeniach, kpinach i wersjach. Same drony nigdzie nie znikają i wydają się skutecznie przekazywać zaplanowane przesłanie. Zadaniem ataków jest nie tylko odstraszenie Europejczyków od Ukrainy. Po czterech latach wojny rosyjskie zwycięstwo na Ukrainie, o ile w ogóle jest możliwe, będzie miało zupełnie inne znaczenie niż na wcześniejszym etapie. Część rosyjskich przywódców politycznych i wojskowych doszła do wniosku, że obecny wynik przedłużającej się wojny z Ukrainą coraz bardziej odbiega od pierwotnego zamierzenia [„Rosja straszy Europę dronami…"].

eprasa.pl 8a2e544ff3

Reakcja Zachodu

Europejscy urzędnicy wywiadu uważają, że Niemcy, wraz z Polską i Wielką Brytanią, pozostaną jednym z głównych celów Moskwy. Biorąc pod uwagę dużą populację imigrantów z byłych republik sowieckich, w tym z Rosji i Ukrainy, oraz rosnące napięcia związane z imigracją, rosyjskie agencje wywiadowcze mogą dostrzegać szczególny potencjał wpływania na sytuację polityczną i opinię publiczną [A. Sołdatow, I. Borogan, „Podpalacz, zabójca, sabotażysta, szpieg…"]. Kreml jest przekonany, że połączenie zastraszania i operacji hybrydowych pozwoli stworzyć bezpieczną strefę buforową w pobliżu jego granic i utrzymać ogromne wpływy w regionie postsowieckim. Nie jest jeszcze jasne, czy NATO jest w stanie wywołać zdecydowaną reakcję. [F. Shahbazov, „Przyspieszenie cichej wojny Putina…"]. W odpowiedzi na wzrost liczby rosyjskich inwazji dronów i innych zagrożeń hybrydowych, europejscy przywódcy zaczęli badać nowe środki obronne. Podczas dwóch szczytów wysokiego szczebla w Kopenhadze przedstawiciele UE i NATO poparli koncepcję utworzenia „ściany dronowej" obejmującej cały kontynent. Propozycja ta przewiduje stworzenie sieci mobilnych radarów, czujników i baterii szybkostrzelnych systemów obrony powietrznej, przeznaczonych do wykrywania i neutralizowania nisko latających dronów. Niektórzy członkowie NATO inwestują również w nowe technologie, takie jak broń laserowa o wysokiej energii, podczas gdy państwa na pierwszej linii frontu, takie jak Polska, już upoważniły swoje siły zbrojne do zestrzelenia nieautoryzowanych dronów [„Beyond the Drones…"].

NATO jest czasami krytykowane za niezdolność do radzenia sobie z zagrożeniami hybrydowymi. Na przykład, do przechwycenia dronów wystartowały myśliwce polskich i holenderskich sił powietrznych – zestrzeliły one kilka dronów rakietami, których koszt znacznie przewyższał wartość dronów. Przelot rosyjskich myśliwców w przestrzeni powietrznej Estonii przez 12 minut również nie został powstrzymany, ale towarzyszyły im włoskie F-35. Zdjęcia rosyjskich MiG-ów w powietrzu zostały wykonane w neutralnej przestrzeni powietrznej przez szwedzkich pilotów wojskowych, którzy dołączyli do eskorty rosyjskich samolotów. Nie było formalnych podstaw do użycia broni wobec rosyjskich samolotów bojowych. Niemniej po tym incydencie europejscy politycy otwarcie dyskutowali nad kwestią, czy zestrzeliwać rosyjskie samoloty w przypadku przekroczenia przez nie granic krajów NATO [P. Aksjonow, I. Abiszew, „Europa zaczęła przygotowywać się do ewentualnej wielkiej wojny. 10 najważniejszych pytań…"].

Hybrydowy kij ma dwa końce

Problem hybrydowych ataków jest oczywisty: dają one taki sam hybrydowy efekt. To znaczy przekonują tych, którzy są już gotowi się przekonać, a pozostałym dają możliwość ich zignorowania. Ataki hybrydowe wydają się przekraczać czerwoną linię agresji wojskowej przeciwko krajom członkowskim NATO, ale robią to ostrożnie, niepewnie i nieostatecznie. A to oznacza, że nie są w stanie przynieść ostatecznie przekonującego rezultatu. Hybrydowy charakter ataków ma wpływ na przekonującą siłę ich rezultatów. UE i NATO mają możliwość reagowania w sposób mieszany: wykorzystać rosyjskie ataki jako pretekst do mobilizacji, ale nie uznawać ich za ataki aktywujące piąty artykuł. Takie inwazje mogą pomóc Kremlowi w realizacji pierwszego zadania – zemścić się na Europejczykach za wsparcie Kijowa, zepsuć im życie, a nawet stworzyć propagandowy obraz ich zbiorowej bezradności. Nie wystarczą one jednak, aby rządy europejskie uznały tę bezradność lub aby stała się ona oczywista dla wszystkich. Ostrożny, hybrydowy, zamaskowany charakter rosyjskich ataków nie pozwala osiągnąć pożądanego zastępczego zwycięstwa terapeutycznego nad Zachodem zamiast wciąż nieosiągalnego zwycięstwa nad Ukrainą. Chęć osiągnięcia jasności, bardziej przekonującego udowodnienia swojej tezy może doprowadzić Rosję do punktu, po przekroczeniu którego trudno będzie jej się wycofać. Nie ma gwarancji, że rosyjski błąd z 2022 roku się nie powtórzy. Wtedy Kreml wychodził z założenia, że Ukraina jest słaba i nieistotna, podobnie jak jej armia, ludność i nieprawdziwy prezydent aktor. Obecnie opierają się na słabości i rozbiciu NATO, jego niezdecydowaniu i braku nowych, wyobrażonych de Gaulle-'ów na kontynencie, dosłownie cytując, podobnie jak w przededniu pełnej inwazji na Ukrainę, własną propagandę [„Rosja straszy Europę dronami…"].

Stosunki między Rosją a NATO rozwijają się obecnie na wielu poziomach. Moskwa stosuje stopniową presję i taktykę hybrydową, aby sprawdzić granice, a NATO balansuje między potrzebą wiarygodnego odstraszania a ryzykiem nadmiernej eskalacji. Patowa sytuacja nie jest krótkotrwałym sporem, lecz zjawiskiem wpisującym się w szerszy cykl rywalizacji, w którym każda ze stron uczy się reagować na działania drugiej. Stopień zaangażowania Sojuszu w utrzymanie jedności i wiarygodności zadecyduje o kierunku tej konfrontacji. Jeśli NATO pozostanie nieugięte, może zyskać nowy cel dzięki dzisiejszym napięciom. Jeśli podziały się pogłębią, Moskwa może osiągnąć strategiczną przewagę bez faktycznej eskalacji [Y. Gurbanov, „Rosja testuje wschodnie systemy obronne NATO…"]. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3





Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Polowanie na anakondę

Trochę szkoda filmu „Anakonda". Sławny thriller zasłynął mało wiarygodną fabułą, przez co temat największego węża wodnego na długi czas trafił do lamusa. A przecież wystarczy zapytać pierwszego lepszego mieszkańca wenezuelskiego llanos, aby dowiedzieć się, że nie ma dziś tu straszniejszego drapieżnika niż właśnie ten.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Jedziemy już jakiś czas. Telefon dawno wyładowany. Nie wiem, która godzina. W tej latynoskiej rzeczywistości czas płynie jakby inaczej. Na pewno jest już po południu. Ale czy ta droga przez pustkowie trwa już dwie godziny, czy cztery – tego nie jestem w stanie ocenić. Wszystko wokoło wszak wygląda od pewnego czasu jednakowo. Dokoła równiny llanos. To taka południowoamerykańska odmiana sawanny. Z tą różnicą, że zamiast antylop gnu i lwów wśród wysokich traw pasie się bydło. Są krowy, są byki. Co pewien czas przez horyzont przeleci jakiś większy ptak. Gdzieniegdzie trawy ustępują trzcinom i wilgotnym zaroślom. Za nimi zaś rozciągają się płytkie rozlewiska. Środowisko dla zwierząt nieco mniej przyjaznych od wspomnianych krów czy byków. Tutaj pływa wszelkie robactwo. Tutaj pełzają pijawki. Piranie, żmije wodne, anakondy… Na kajmanach kończąc.

Gorąca kuchnia

Za dnia rozlewiska wyglądają ciut przyjaźniej. Co wcale nie zmienia faktu, że na kąpiel nadal nie mam ochoty. Choć pot leje się strumieniami. Choć skąpane upałem powietrze praktycznie stoi. Choć jest w tej chwili grubo ponad 30 stopni Celsjusza. W cieniu… Pomimo tego wszystkiego. Nie, nie ma mowy. Nie wejdę do tej wody.

– To tu, jesteśmy na miejscu – przerywa moje cieplne katusze nasz kierowca, były generał wenezuelskiej armii.

Czym prędzej wyskakuję z auta w nadziei na jakieś podmuchy powietrza. I na jakikolwiek cień. Jesteśmy na farmie jednego z przyjaciół pana generała.

– Tutaj jest kuchnia llanero – objaśnia wojskowy, oprowadzając mnie po, co tu wiele ukrywać, dość zrujnowanym gospodarstwie. – Widzisz te płyty, tam w głębi?

Spoglądam na pobliską budkę odgrywającą rolę kuchni. Zbite z blachy ściany. Wejście przyozdobione kiścią bananów. Obok brudny stół z podziurawioną ceratą. W tle natomiast tlące się palenisko pod kuchnią.

– Tak, tak, widzę – odpowiadam, unikając zdeptania wałęsającej się między naszymi nogami kury.

– U llaneros jest taki zwyczaj…

– Ty, generał! – przerywa mu gospodarz. – Przestań ty, co?!

– Co „przestań", co „przestań"?! Niech chłopak wie, jakie są zasady! – odkrzykuje zdecydowanie generał.

– Na pewno go to interesuje…

– Nie słuchaj go – kontynuuje generał nieco ciszej. – Płyty muszą być cały czas gorące. Gdy llanero wraca z polowania bądź wypasu bydła… i chce zjeść zupę… – zawiesza na chwilę głos – …to ma być zupa! I koniec.

– A jak na ranczo nie ma nikogo?

– Jak to nie ma nikogo? – dziwi się były wojskowy.

– No, po prostu. Jeśli wszyscy są na przykład w pracy – wypalam, by po chwili zdać sobie sprawę, że tym pytaniem wystawiłem sobie właśnie najgorszą z możliwych cenzurkę. Surowy gospodarz patrzy na mnie coraz bardziej pobłażliwie.

– Tutaj nikt nie pracuje, kolego. Tutaj się żyje. Pracujecie wy. Mieszczuchy. My wolimy sobie pożyć – cedzi przez zęby, by po chwili milczenia dodać – No, chyba że pracą nazwiesz przyjemność wypasu bydła. Ha, ha! – zanosi się śmiechem, a ja oddycham z ulgą.

Czysty koń llanero

Po krótkim oprowadzeniu przez generała zostaję sam. Mój przewodnik wchodzi w żywą dyskusję z naszym przyjacielem Jorgem oraz z gospodarzem. Są na tyle zaabsorbowani rozmową, że niezręcznie byłoby im w tej chwili przerywać. Mam czas dla siebie. Czas, aby przyjrzeć się temu ranczo.

Z tyłu białej chaty dostrzegam werandę, a na niej ulokowane siodła. Są i inne konne rekwizyty. Na bocznej ścianie wisi lasso. Biednie tutaj. Swojsko, ale biednie. U nas powiedzielibyśmy, że „widać brak kobiecej ręki". Gdzieniegdzie walające się plastikowe osłonki. Popękane wiaderka. Trochę śmieci. Piaskownica dla dorosłych. Takich, którym na chwilę znudziła się zabawa i postanowili opuścić ją, aby napić się piwa.

O ile jednak domostwo llanero pogrążone jest w zaawansowanej ruinie, o tyle hodowane tutaj konie to klasa sama w sobie. Szanujący się wenezuelski kowboj traktuje je czasem lepiej jak syna. Umyte, uczesane, lśniące w słońcu. Piękne, zadbane wierzchowce. Dumne i silne. Obserwują mnie kątem oka. Gdy jestem za blisko, dyskretnie się odsuwają. Jeśli przekroczę określoną granicę, z pewnością wymierzą mi kopniaka. Wiedzą, kto jest ich panem. Resztą gardzą.

Rozmowa

Zaglądam wszędzie, gdzie tylko mogę. Obszedłem już całe ranczo. Przynajmniej kilka razy. Co zatem robimy dalej? Może coś wspólnie zjemy? Napijemy się? Porozmawiamy? Cokolwiek?

Nasz gospodarz siedzi nieopodal na pustej beczce po benzynie. Wpatrzony w horyzont. A może wcale nie w horyzont? Może w pasące się niedaleko nas bydło? Nie wiem. Nie widzę jego oczu.

– Jak leci? – zagaduję.

Cisza.

– Dużo tych krów u was… – podejmuję kolejną próbę. Coraz bardziej czuję się jak natręt.

Wciąż cisza.

eprasa.pl 8a2e544ff3



Kowboj llanero podczas codziennej pracy przy koniach.



Pogranicze Wenezueli, Kolumbii i Gujany to miejsce,

– Pewnie sporo pracy kosztuje taka opieka nad nimi, co?

– Gringo, czy tobie się nudzi? – wypala wreszcie. Czyni to jednak z kowbojską galanterią. Nie atakuje. Raczej troskliwe pyta. Z uśmiechem i pełną szczerością.

– No… Tak jakby, tak.

– A farmę już widziałeś?

– Obszedłem calusieńką.

– Dobrze…

– Napijemy się czegoś?

– Nalej sobie, proszę. Rondel stoi na kuchni. Już chyba wiesz, gdzie. Kapitan ci pokazywał.

– A ty nie chcesz? Przyniosę ci…

– Nie, dzięki.

– A właściwie co ty w tej chwili robisz? – pytam, zbierając się wreszcie na odwagę.

– Jak to co? Nic. Zupełnie nic.

Patrol włości

– Mierda – przeklina siarczyście, spluwając pod siebie. Niemy plusk śliny, która ląduje na tafli wody. Tej, jak okiem sięgnąć, jest po horyzont. Gigantyczna kałuża otacza jeźdźca ze wszech stron. Wierzchowiec brodzi, ile sił w kopytach. Do tego wszystkiego jest naprawdę gorąco. Mimo pełnego zachmurzenia, temperatura na pewno dobrze przekracza 30 stopni. W dodatku jeszcze ta duchota. Marcos ma serdecznie dosyć. Jego koń z całą pewnością również.

Jadą już dobre dwie godziny. A to przecież znacznie więcej niż zwykle. Przy normalnych warunkach jego mustang pokonywał tę trasę w góra 30 minut. Nie dziś jednak. Lało całą noc. Bezustannie. Znak, że pora deszczowa zaczęła się na dobre.

– Mierda! – powtarza głośniej Marcos. Od kilkudziesięciu minut nie powiedział do swego konia innego słowa. Jest już naprawdę zdenerwowany.

Pochyla się, by pogładzić dłonią łeb ukochanego wierzchowca. Wie, że ten boi się nie mniej niż on. Tym bardziej że sam świeżo w pamięci ma przygodę sprzed roku. Gdy brodzący przez wodę koń nastąpił na ukryty pod taflą kolczasty drut od ogrodzenia. Zranione kopyto zaczęło momentalnie krwawić. Nie minęło kilka minut, jak wokoło pojawiły się sporych rozmiarów ryby. Piranie. Marcos nie zdążył nawet krzyknąć, gdy koń zaczął wierzgać z bólu. Ławica krwiożerczych ryb co rusz atakowała otwartą ranę najwierniejszego przyjaciela kowboja. Mocno pociągając za lejce, postawił konia na dwie tylne nogi i obracając w przeciwnym kierunku, nakazał pędzić przed siebie. Wtedy się udało. Obaj szczęśliwie wrócili na ranczo. Teraz jednak, gdy warunki jako żywo przypominają te ówczesne, w oczach Marcosa znów pojawia się ta sama obawa…

Koń jest coraz bardziej zmęczony. Widać, że z każdym pokonywanym metrem bardziej powłóczy kopytami. – Biedaczysko – wzdycha Marcos. – Wybacz,

eprasa.pl 8a2e544ff3



gdzie najłatwiej spotkać anakondę.



Anakondy, bydło, kajmany i wszelkiej maści ptactwo. Na równinnych llanos nie narzekają na zwierzyny.

przyjacielu. Obiecuję, że jak dojedziemy dziś do domu, dam ci tyle siana, ile zapragniesz. Tylko wytrzymaj, proszę... – dodaje czule, ściskając grzywę wierzchowca. W głębi duszy dobrze jednak wie, że najwyższa pora na przerwę. Zresztą, nawet dobrze się składa. Po prawej mijają właśnie kępę drzew na wzniesieniu. Wymarzona miejscówka na chwilę odpoczynku.

Pomny ubiegłorocznych wydarzeń kowboj postanawia przywiązać konia do drzewa. A nuż wierzchowiec zobaczy wynurzone ponad taflę wody oczy kajmana i wpadnie w panikę? Ucieknie? Zresztą koń już teraz dziwnie się zachowuje. Fuka jakoś. Jakby coś widział. Marcos ogląda się, ale w otaczającej ich wodzie nie dostrzega żadnego ruchu. Przywiązuje lejce do gałęzi. Sam zaś wyciąga menażkę z siodła i idzie po wodę. „Brudna nie brudna – trudno. Pić trzeba". Nachyla się nad wodą.

Zaginiony i znaleziony

Szamotanina trwa kilka sekund. Przez moment słychać jeszcze krzyk. Przerażenie. Po chwili kilka pluśnięć, a po nich już tylko ona. Cisza.

Kilkanaście kilometrów od tej sceny życie toczy się spokojnie. Podwórko rancza. Kobieta rozwieszająca pranie. Kolorowe koszule w kratę. Skórzane pasy. Trzy siodła. Pod linką równo ustawione kalosze. Z sieni wypada na oko trzydziestoletni mężczyzna.

– Gdzie on się podziewa? Od rana mieliśmy dziś zwijać bydło. Woda się podnosi.

– Raul, wyluzuj, proszę... Co ty, brata nie znasz? – odpowiada ze stoickim spokojem kobieta. – Pewnie zajrzał do Eduarda i tam już został. Jakoś mnie to nie dziwi. Podaj mi, proszę, te dżinsy.

– Anielską cierpliwość masz. Jak ty możesz z nim wytrzymać? Jakbym ja był jego żoną...

– Dość, Raul! Dość! Idź. Zrób coś pożytecznego. Zobaczysz. Wkrótce wróci. Zbieraj siły. Bydło w tym roku mocno się rozpierzchło.

Miał wrócić. Tak wierzyła żona. Tak też w głębi duszy wierzył brat. Marcos jednak już nie wrócił. Po trzydniowych poszukiwaniach wreszcie go znaleźli. A raczej ją. Wielką, grubą. Bezradną. Ponieważ połknęła go w całości, nie była nawet w stanie się bronić. Dryfowała po powierzchni gigantycznego jeziora. Niedaleko miejsca, w którym wciąż rżał przerażony koń. Wojskowa ekipa poszukiwawcza podpłynęła nieco bliżej. Bestia nie miała sił uciekać. To dopiero trzy dni. Normalnie na strawienie takiej ilości pokarmu potrzebuje około trzech tygodni. Żołnierze ostrożnie złapali i bez większych oporów przywiedli ją na brzeg. Tu zabili i rozpruli. W środku był Marcos. A właściwie jego ciało.

Łowy

Anakonda. Była olbrzymia. Po półrocznym okresie suszy wyposzczona i głodna. Gdy na llanos nie pada, anakonda nie ma czego szukać. Wpływa do najgłęb-

eprasa.pl 8a2e544ff3



Odludzie, pustka i brak nadziei na lepsze jutro. Zamieszkane miejsca przedgranicza Puszczy Amazońskiej nie zachęcają.

szego bajora, które ma największą szansę przetrwać do pory deszczowej, i tutaj czeka na lepsze czasy. Na upragnione opady. Dopiero wówczas z bezbronnej i ślamazarnej na lądzie poczwary staje się prawdziwą bestią. Okrutną i bezlitosną. I śmiertelnie niebezpieczną. Dla każdego.

Opisana wyżej historia nie zdarza się często. Wenezuelskie media twierdzą, że zwykle raz na kilka lat. Anakonda woli mniejsze ofiary. Preferuje kapibary. Nie pogardzi tapirem. Ludzi unika. Chyba że zwietrzy prawdziwą okazję. I jest bardzo głodna. Musi jednak znaleźć naprawdę zmęczoną ofiarę. Taką jak Marcos. W normalnym stanie koncentracji ten wytrawny llanero na pewno dałby sobie radę. W końcu był prawdziwym kowbojem.

Jak większość z nich: dość małomównym. W końcu prawdziwy llanero to siłą rzeczy prawdziwy macho. A prawdziwy macho nie może przecież za wiele gadać. Ze schowanym za pazuchą nożem ślamazarnie przechadza się po podwórzu swego królestwa. On jest tutaj panem. Z ograniczonym kontaktem ze światem zewnętrznym, żyje po swojemu. Do miasta pojedzie tylko wtedy, kiedy musi. Na zakupy. Z mięsem bydła na sprzedaż. Do kolegów nie ma po co. Wszystkich ma tutaj. Niejako pod ręką. Na równinach. Na llanos. Stanowią coś na kształt rodziny. Z ograniczonymi do minimum kontaktami, ale za to z wiernością i honorem. Gdy trzeba będzie pomóc, stawią się wszyscy. Bez wyjątku.

Marcosowi także chcieli pomóc. Nie zdążyli. Ubiegła ich bestia. Ale już się zemścili. Steki z anakondy wystarczą na wiele tygodni. A to pyszne mięso. Problem jednak w tym, gdzie je schować. Przeciętna anakonda rośnie zwykle do siedmiu, ośmiu metrów długości. Zdarzają się jednak wyjątki. Takie jak ta złapana kilka lat temu. Miała podobno 14 metrów.

– To potwór. Silny jak byk. Ba! Nawet bardziej. Nieraz i pięciu osiłków nie poradzi sobie z rozdrażnioną anakondą. No, chyba że ta jest na lądzie. Wówczas to już inna bajka – generał mówi o tym z takim rozbawieniem na twarzy, jakby chodziło o zabawę z kotkiem w bezpiecznym i zacienionym ogródku u cioci.

▶ Anakonda

Żółte ślepia, pionowe, czarne, wąskie niczym nasionka źrenice. I to cielsko. Grubaśne, umięśnione, cętkowane. Ślamazarna i wolna na lądzie, bezlitośnie szybka w wodzie. Schowana gdzieś w niewielkim oczku, pośród bagien i torfowisk. Czyha na ofiarę. Z wystawionym ledwo łbem obserwuje taflę nieruchomej sadzawki. Potrafi tak czekać bardzo długo. Jeśli trzeba, nawet kilka dni. W tym czasie nie będzie marnować energii na zbędne ruchy. Poczeka na znak (będzie nim odpowiednie drżenie ziemi, po którym pozbawiona słuchu anakonda pozna, jakie zwierzę zbliża się właśnie do wodopoju). Gdy wreszcie nadejdzie, zacznie się…

W jednej krótkiej chwili eksploduje cała skumulowana w ciągu tych kilku dni energia. Z powolnego i apatycznego stworzenia anakonda staje się potworem. Bestią. Taką, z którą w tych warunkach nikt nie ma najmniejszych szans na równy pojedynek.

eprasa.pl 8a2e544ff3



Bydło. Obok kajmanów jeden z ulubionych przysmaków anakondy.

Dla Indian anakonda to wąż kultowy. Darzony należnym mu szacunkiem i podziwem. To właśnie wśród Indian rodzi się większość legend na temat 30-metrowych węży, które prócz nich widziało zaledwie kilkoro świadków. Jaka jest prawda? Zapytajcie Indianina…

W 1907 roku w trakcie swojej wyprawy nad Rio Negro angielski oficer Percy Fawcett miał zastrzelić anakondę, której długość oszacował na 19 metrów. A było to tak… Podczas eksploracji pogranicza Brazylii, Boliwii oraz Peru napotkał mieszkańca, który twierdził, że zabił anakondę mierzącą 58 stóp (17,7 metra) długości. Z początku oficer nie wziął całej tej historii na poważnie. Założył, że mężczyzna z pewnością podkoloryzował swoje myśliwskie umiejętności, aby zabłysnąć przed białym przybyszem. Kilka miesięcy później Fawcett zmienił zdanie. Wraz ze swoim oddziałem, rozlokowany w indiańskim czółnie, powoli przedzierał się przez jedną z ukrytych w amazońskiej gęstwinie lasu deszczowego rzek. Wtem ujrzał gigantyczny łeb węża przepływającego dokładnie pod jego czółnem. Wąż dopływał już do brzegu i zaczynał powoli wypełzywać na powierzchnię. Dopiero wtedy Fawcett rozpoznał, że to gigantyczna anakonda. Prędko chwycił za karabin, aby, jak to sam podaje w swoim pamiętniku, „twardo oczekiwać na cel – kręgosłup zwierza znajdujący się 10 stóp za jego łbem". Po wystrzale Fawcett polecił podpłynąć bliżej bestii. Część cielska nadal leżała pod wodą. Oszacował, że długość węża wynosiła 62 stopy (19 metrów). Jako dowód Fawcett spróbował wyciąć większy fragment skóry zwierza. Zranione zwierzę było jednak nadal żywe i czym prędzej umknęło.

Podczas tej samej wyprawy, gdy Anglik chciał poinformować o swym łupie brazylijski posterunek graniczny, dowiedział się od strażników, że im udało się już raz zabić osobnika mającego ponad 24 metry. Tutaj jednak to samo. Dowodów brak.

37 lat później, w 1944 roku, we wschodniej Wenezueli grupa geologów postrzeliła anakondę o długości 11,43 metra. Naukowcy uznając, że wąż jest już martwy, udali się po posiłki do obozu. Gdy wrócili, węża już nie było. Dowodów… brak.

Jeszcze później, bo w 1948 roku, w brazylijskiej prasie pojawiała się relacja oficera armii, którego oddział podczas operacji na rzece Oiapoc w pobliżu Fort Tabatinga miał zastrzelić anakondę mającą… 35 metrów.

Wszystkie relacje przebiła jednak opowieść o zabitym na Amazonce w pobliżu Manaus gadzie mającym mieć 39,9 metra długości, 80 centymetrów grubości i ważącym niespełna 5 ton (!). Co interesujące, istnieje fotografia dokumentująca owo „zjawisko". Zdjęcie postanowił zbadać Tim Dinsdale, angielski kryptozoolog, zajmujący się fenomenem potwora z Loch Ness. Wyniki analizy streścił w swojej książce „Monster Hunt". Dowodzi w niej, że zdjęcie anakondy musi być prawdziwe.

W styczniu 2008 roku brazylijskie gazety drukowały bijącą rekordy popularności historię pewnej siedmioletniej dziewczynki, której o mały włos nie zjadła gigantyczna bestia. 200-kilogramowa, niespełna 10-metrowa anakonda miała opleść nogi ofiary i pełznąć z nią w kierunku puszczy. Krzyk dziecka zaniepokoił pracującego nieopodal mężczyznę, który przybiegł z pomocą. Gdy za jakiś czas wąż został zabity, okoliczni mieszkańcy nie byli zaskoczeni jego wymiarami. Ponoć widzieli już większe. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny–Wielka Brytania

Fiasko wrześniowego śledztwa z 2025 roku przeciwko dwóm obywatelom brytyjskim, Christopherowi Cashowi i Christopherowi Berry'emu, oskarżonym o szpiegostwo na rzecz Chin, wywołało falę krytyki wobec działań lewicowego rządu premiera Keira Starmera, które zagrażają bezpieczeństwu narodowemu. Cała sprawa uwypukliła również skalę działalności chińskiego wywiadu w Wielkiej Brytanii. Na początku października dyrektor generalny MI5 Ken McCallum publicznie oświadczył, że Chiny stanowią „codzienne zagrożenie" dla bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii, wskazując na udaremniony proces Casha i Berry'ego jako dowód na to ciągłe niebezpieczeństwo.

Cash i Berry zostali aresztowani w maju 2023 roku, a zarzuty o szpiegostwo na rzecz Pekinu postawiono im w kwietniu 2024 roku. Prokuratorzy zarzucili im zbieranie poufnych informacji w parlamencie – w tym na temat spotkań parlamentarzystów z tajwańskimi urzędnikami, wewnętrznej dynamiki w partii torysów i pogłosek politycznych – i przekazywanie ich agentowi chińskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, znanemu jako „Alex". Jak donosi konserwatywny dziennik „Telegraph", Christopher Cash, pracując dla China Research Group (CRG) – think tanku powszechnie uznawanego za promującego bardziej „jastrzębią" politykę Wielkiej Brytanii wobec Chin – miał łatwy dostęp do brytyjskich parlamentarzystów. Cash miał również występować przeciwko parlamentarzystom należącym do Międzyparlamentarnego Sojuszu ds. Chin (Inter-Parliamentary Alliance on China, IPAC), grupy skupiającej posłów z różnych krajów, którzy dążą do stworzenia skoordynowanej polityki państw demokratycznych wobec Chin w kwestiach światowego handlu, bezpieczeństwa i praw człowieka. Jednym z założycieli IPAC jest obecny sekretarz stanu USA Marco Rubio.

Wszystkie informacje zebrane przez Casha i Berry'ego miały trafiać do Cai Qi, wysokiego rangą urzędnika Komunistycznej Partii Chin (KPCh) oraz członka wewnętrznego kręgu Xi Jinpinga. Dziś brytyjskie media informują, że to Cai stał za planem stworzenia siatki szpiegowskiej w kręgu brytyjskiego establishmentu. Dodatkowo 19 października „Sunday Times" ujawnił, że na sześć tygodni przed formalnym aresztowaniem Christopher Berry został po raz pierwszy zatrzymany na lotnisku Heathrow z walizką, w której znajdowało się 4 tys. funtów szterlingów, które Brytyjczyk otrzymał od swojego oficera prowadzącego, „Alexa".

***

We wrześniu bieżącego roku wybuchł jeszcze większy skandal, a rewelacje niemal codziennie ujawniane przez brytyjskie media sprawiają, że nie widać końca tej sprawy. Rozprawa przeciwko Cashowi i Berry'emu miała rozpocząć się w październiku, jednak miesiąc wcześniej Koronna Służba Prokuratorska niespodziewanie wycofała zarzuty wobec nich. Zarzuty postawiono, gdy Wielką Brytanią rządzili konserwatyści, a cofnięto, gdy u władzy byli już laburzyści. Jak twierdzi „Telegraph", lewicowy rząd potajemnie sabotował sprawę procesu szpiegów, odmawiając określenia Chin jako kraju „wrogiego". Za rządów konserwatystów prokuratura otrzymała zapewnienie, że wysoki rangą urzędnik państwowy złoży zeznania potwierdzające, że Pekin jest wrogiem Wielkiej Brytanii, co było warunkiem powodzenia oskarżenia. Jednak obecny rząd Partii Pracy poinformował prokuratorów, że nie chce, aby Chiny były przedstawiane w ten sposób, co doprowadziło do upadku sprawy.

eprasa.pl 8a2e544ff3

Jak donoszą brytyjskie media, kluczową rolę w umorzeniu sprawy odegrał Jonathan Powell, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego w rządzie Keira Starmera, oraz były szef sztabu Tony'ego Blaira. Powell aktywnie angażuje się w kwestie rządowe związane z Chinami. Brytyjscy konserwatyści przedstawiają go jako osobę nadmiernie ugodową, która priorytetowo traktuje relacje gospodarcze i dyplomatyczne z Pekinem, kosztem bezpieczeństwa narodowego. Rząd torysów określany jest jako „łagodny wobec Chin i słaby w kwestiach bezpieczeństwa narodowego".

***

Skandal szpiegowski, który obecnie wstrząsa Wielką Brytanią, ma znacznie szersze implikacje. Nakłada się na debatę dotyczącą nowej, ogromnej (największej w Europie) ambasady Chin, która ma powstać w dawnym budynku Królewskiej Mennicy (Royal Mint Court) w pobliżu twierdzy Tower of London. Przeciwnicy nowej ambasady argumentują, że dzięki tej przeprowadzce Pekin zyska możliwość swobodnej infiltracji brytyjskiego systemu finansowego, podłączając się do światłowodów przesyłających poufne dane z City – w pobliżu Tamizy znajduje się tunel, którym od 1985 roku biegną kable światłowodowe obsługujące setki biur. Pierwszy wniosek Pekinu o pozwolenie na zagospodarowanie terenu, na którym ma powstać nowa ambasada, został odrzucony przez radę miejską w 2022 roku. Po objęciu władzy w 2024 roku rząd Partii Pracy postanowił wyłączyć tę decyzję spod kompetencji samorządu i rozstrzygnąć ją na szczeblu ministerialnym. Początkowo decyzja miała zostać podjęta do 9 września, jednak termin ten został przesunięty na 21 października. Jednak w obliczu protestów i skandalu z chińskimi szpiegami termin przesunięto na 10 grudnia.

***

To jednak nie koniec chińskich skandali w Wielkiej Brytanii. Wkrótce po ujawnieniu informacji o działaniach rządu mających na celu zablokowanie procesu chińskich szpiegów, media zaczęły donosić o powiązaniach księcia Andrzeja, brata króla Karola III, z osobami podejrzewanymi o szpiegostwo na rzecz Chin. Jeden z powierników księcia, obywatel ChRL, okazał się szpiegiem Pekinu. Co więcej, brat króla spotkał się kilkakrotnie z Cai Qi, odpowiedzialnym za stworzenie siatki szpiegowskiej w Wielkiej Brytanii, w której skład wchodzili Christopher Cash i Christopher Berry.

▶ Tajwan

18 października główna partia opozycyjna Tajwanu, Kuomintang (KMT), wybrała nowego przewodniczącego. Wybór ten jest istotny, ponieważ po raz kolejny ukazuje siłę chińskich wpływów na wyspie oraz będzie miał wpływ na przyszłe relacje Tajwanu z USA. Jako partia rządząca KMT, wraz z koalicjantem, posiada większość w parlamencie i może blokować inicjatywy, które wspierają sojusz Tajpej z Waszyngtonem, takie jak zwiększenie wydatków na obronę.

Nową szefową Kuomintangu została 55-letnia Cheng Li-wun. Były prezydent Tajwanu, Ma Ying-jeou, który często odwiedza Chiny i jest orędownikiem zjednoczenia, poparł Cheng w wyborach. To wydarzenie interpretowane jest jako dowód na to, że wybór nowej przewodniczącej Kuomintangu (KMT) jest korzystny dla Komunistycznej Partii Chin. Jako kandydatka na szefa KMT Cheng prezentowała się jako rzekoma reformatorka, dążąca do ożywienia partii po trzech kolejnych porażkach w wyborach prezydenckich z rządzącą Demokratyczną Partią Postępową (DPP). Jej wybór oznacza z jednej strony zmianę w Kuomintangu na rzecz młodszego, bardziej dynamicznego przywództwa, z drugiej zaś wywołuje debatę na temat przyszłego kierunku partii, zwłaszcza w kontekście relacji między Tajwanem a Chinami. W swoim zwycięskim przemówieniu w siedzibie Kuomintangu w Tajpej Cheng wezwała DPP do porzucenia „karty antychińskiej", podkreśliła rolę KMT jako „mostu" do stabilności. Po ogłoszeniu zwycięstwa Cheng, wielu tajwańskich internautów zasugerowało, że Cheng Li-wun, będąca zagorzałą zwolenniczką zbliżenia z Chinami, może sprawić, że Kuomintang stanie się jedynie odnogą Komunistycznej Partii Chin. Cheng sprzeciwia się zwiększeniu wydatków Tajwanu na obronę, co Waszyngton uznaje za niezbędne. Jednocześnie promuje chińską narrację, według której Waszyngton traktuje Tajwan nie jako sojusznika, ale jako kartę przetargową w negocjacjach z Pekinem.

19 października – dzień po wyborze Cheng Li-wun na przewodniczącą Kuomintangu – prezydent Chin Xi Jinping telefonicznie złożył jej gratulacje, co oznaczało wyraźne poparcie ze strony Pekinu.

W trakcie wyborów na nowego przewodniczącego KMT pojawiły się też doniesienia o próbach wpływania przez Pekin na wynik głosowania. Internauci twierdzą wręcz, że zwycięstwo Cheng Li-wun nie byłoby możliwe bez wsparcia Komunistycznej Partii Chin (KPCh). Oskarżenia te padają nawet z ust członków KMT. Polityk i były dziennikarz Jaw Shaw-kong oskarżył Chiny o zalewanie mediów społecznościowych treściami wspierającymi Cheng. Powołał się przy tym na ponad 1000 filmów na Tik-Toku oraz 23 kanały YouTube, z których połowa pochodziła spoza Tajwanu. Tajwańskie media informowały również o sztucznym wzmacnianiu reformatorskiego wizerunku Cheng przez boty. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3

„Estończycy mają do czynienia z Rosjanami, a wcześniej mieli do czynienia z Sowietami, tak długo, że intuicyjnie rozumieją rosyjską kulturę wywiadowczą i to, jak działają Rosjanie”

John Schindler, były analityk wywiadu USA



Antoni Rybczyński

Lekcja estońskiego. Tak się łapie rosyjskich szpiegów

egazeta.pl 8a2e54df3

„Prawda. Oprócz tzw. technicznych pracowników – którzy oczywiście okazali się być szpiegami. Ale posłaliśmy ich do więzienia" – tak Toomas Hendrik Ilves, prezydent Estonii w latach 2006–2016 skomentował na platformie X wpis o tym, jak po odzyskaniu niepodległości Estończycy zastosowali opcję zerową w służbach specjalnych. Postawiono na młodych, zaangażowanych w działalność niepodległościową ludzi. Przy pomocy służb zachodnich, zwłaszcza brytyjskich, udało się zbudować sprawną Policję Bezpieczeństwa (Kaistepolitseiamet, w skrócie KAPO). Szybko okazało się, że niezwykle skuteczną na tle podobnych instytucji w innych państwach Europy Środkowej i Wschodniej.



FOT. MARIUSZ TROLIŃSKI

Ale opcja zerowa to nie wszystko. Ważnym czynnikiem zwiększającym skuteczność KAPO jest maksymalna transparentność działań kontrwywiadu. Estończycy nie wyciszają i nie bagatelizują przypadków zatrzymania oraz skazania lub deportacji szpiegów. W wydawanym co roku raporcie Kaitsepolitsei obnaża metody działania Rosji, wymieniając z nazw i nazwisk (oraz pokazując zdjęcia) osoby i organizacje podejrzewane o kontakty z rosyjskimi służbami. O tym, że Estonia ma jedną z najskuteczniejszych służb na kierunku wschodnim, przesądza też surowość wymiaru sprawiedliwości: szpiedzy dostają na ogół maksymalne wymiary kary, zaś w kodeksie karnym są paragrafy – których nie ma choćby w polskim – pozwalające skutecznie ścigać także tzw. miękką agenturę i agenturę wpływu.

Polowanie na szpiegów Moskwy

Na terenie najmniejszego z trzech bałtyckich krajów działalność prowadzą trzy rosyjskie służby: Federalna Służba Bezpieczeństwa (tzw. płytki wywiad przygraniczny), Służba Wywiadu Zagranicznego (kwestie polityczne, wywiad strategiczny), wywiad wojskowy GRU (kwestie militarne). Wszystkie te służby zbierają informacje o NATO. Interesują się polityką zagraniczną i bezpieczeństwa, planowaniem obronnym oraz wzajemną współpracą w obszarze obrony obcych państw oraz rozwojem sił zbrojnych, przemysłu obronnego, zbrojeń i wprowadzania nowych technologii w poszczególnych krajach. Jeśli chodzi o Estonię, Rosjanie szczególnie interesują się Estońskimi Siłami Obrony (regularna armia), Estońską Ligą Obrony (organizacja paramilitarna) oraz siłami sojuszniczymi oraz prowadzonymi przez nie ćwiczeniami oraz kluczowymi osobami i personelem sił obronnych. Rosyjskie służby specjalne są zainteresowane zarówno zbieraniem informacji, jak i wpływaniem na decyzje ważne dla Estonii. Podobnie jak w innych krajach, mniej więcej co trzeci pracownik placówek dyplomatycznych Rosji w Estonii to funkcjonariusz służb specjalnych: SWR, GRU, FSB. Wiadomo, że odegrali oni istotną rolę podczas burzliwych zamieszek ulicznych, które wywołali rosyjscy radykałowie pod pretekstem obrony pomnika sowieckich żołnierzy w Tallinie wiosną 2007 roku. Co prawda KAPO nie zdobyła dowodów, że to rosyjski wywiad kierował bezpośrednio operacją (choć wiadomo, że przeprowadził wtedy zmasowany, pierwszy taki w historii, cyberatak na Estonię), ale wiadomo, że dochodziło do tajemnych spotkań dyplomatów (oficerów służb) z lokalnymi rosyjskimi aktywistami. Wiadomo też, że w Estonii

B2e544ff3

w tym czasie wizytę złożyła delegacja rosyjskiego parlamentu, w której uczestniczył były szef FSB. Estońskie służby zwracają jednak w ostatnich latach uwagę na to, że zmienia się coraz wyraźniej sposób „przykrycia" agenta wywiadu. Obok klasycznego wykorzystania dyplomatów, coraz częściej Rosja korzysta z nielegałów (typowa zimnowojenna metoda, wymagająca wielkiego zaangażowania służby oraz – przede wszystkim – czasu), a także agentów udających biznesmenów i dziennikarzy.

Estońskie służby stworzyły niebezpieczny z punktu widzenia Moskwy precedens: po zdemaskowaniu lokalnych szpiegów Rosji na listę poszukiwanych zaczęły wpisywać też rosyjskich oficerów werbujących i oficerów prowadzących. A ci ostatni to grube ryby w rosyjskiej bezpiece. Choćby generał-major Jewgienij Tiażkun, wiceszef zarządu FSB w Moskwie i obwodzie moskiewskim w czasach, gdy prowadził – wspólnie z płk. Michaiłem Loginowem – szczególnie cennego szpiega w Estonii, byłego wysokiego rangą funkcjonariusza KAPO Aleksieja Dressena. W związku ze sprawą innego zdrajcy Hermanna Simma nadal poszukiwany jest Siergiej Jakowlew.

Wojna hybrydowa z Rosją

Oprócz kontrwywiadowczej walki z agenturą, KAPO szczególną wagę przywiązuje do monitoringu środowisk biznesowego i medialnego. Po przykrych doświadczeniach z rosyjskimi inwestorami w strategicznych gałęziach gospodarki – z tranzytem i portami na czele – estoński kontrwywiad bacznie monitoruje, kto chce inwestować i w co. Przy każdym istotniejszym przypadku badana jest szczegółowo struktura kapitałowa inwestora. Ta faktyczna, a nie na papierze. Przy czym od razu należy zastrzec, że tak małemu krajowi jak Estonia dużo łatwiej kontrolować tego rodzaju napływ kapitału. Ale nie mniej groźne są działania rosyjskie w mediach. To fundament wojny hybrydowej – o czym Estończycy przekonali się przecież na długo przed Ukraińcami. Jak swego czasu zauważył pewien wysoki rangą pracownik Kaitsepolitsei, „Rosja nie przeprowadzi żadnej wojskowej operacji bez wcześniejszego wytworzenia wrażenia zagrożenia wewnętrznego. Informacja jest tylko narzędziem. Celem są wpływy". Klasyczną metodą uprawiania takiej działalności przez rosyjski wywiad jest regularne wysyłanie do Estonii „korespondentów" rosyjskich mediów, którzy formalnie zgłaszają chęć opracowania jednego tematu, a w rzeczywistości tworzą fałszywe relacje i materiały pisane pod napisane wcześniej tezy. Wystarczy poczytać raporty KAPO, żeby przekonać się, ilu takich „dziennikarzy" wyrzucono lub choćby zdemaskowano.

To właśnie wydawane od 1998 roku raporty o stanie bezpieczeństwa państwa są symbolem skuteczności Estonii w wojnie informacyjnej z Rosją. Estończycy pierwsi postanowili zagrać z Rosjanami w otwarte karty. I publikują nazwiska, wizerunki, nazwy osób i organizacji, które działają na rzecz Rosji. Co ważne, często robią to, choć nie ma sądowego orzeczenia w tej czy innej sprawie. Taka maksymalna jawność okazuje się dość skutecznym narzędziem w walce z Rosją. Drugie skuteczne narzędzie to surowość kar. Jeśli już ktoś trafia przed sąd za działalność na rzecz Rosji, to zostaje skazany bardzo szybko (średnio kilka miesięcy od zatrzymania) i często na maksymalny wymiar kary. Bardzo istotne były szybko wprowadzone zmiany do prawa, poszerzające definicję działalności, którą uznaje się za szpiegowską. Wynikało to nie tylko z zagrożenia płynącego ze strony pozostałych po 1991 roku Rosjan oraz generalnie spuścizny postsowieckiej. W Tallinie szybko zrozumiano, jak bardzo zróżnicowane mogą być metody wywiadowcze stosowane przez Moskwę. Jak często mogą być to działania, których w świetle klasycznej definicji szpiegostwa nie dałoby się karać. Działania, o których tak dużo po 2014 roku mówi się jako hybrydowych. A przecież to nie Ukraina była pierwszą ofiarą działań hybrydowych Rosji. To właśnie Estonia, po zamieszkach i kryzysie wokół przeniesienia tzw. Pomnika Brązowego Żołnierza (wiosna 2007), wprowadziła pojęcie przestępstwa „konspirowanie przeciwko państwu Estonii". Osoby oskarżane o to przestępstwo nie poszukują państwowych tajemnic, jak typowy szpieg, ale robią coś, co wygląda na systematyczną działalność przeciwko Estonii i estońskiemu społeczeństwu. Tak szeroka definicja znacznie ułatwia pociąganie do odpowiedzialności karnej osób działających na rzecz Rosji.

KAPO, czyli opcja (prawie) zerowa

Jeśli o estońskim kontrwywiadzie mówi się, że należy do najskuteczniejszych w NATO, to należy od razu zapytać o źródła tej skuteczności. Na pewno pomogło zastosowanie opcji zerowej i głęboka lustracja i desowietyzacja aparatu bezpieczeństwa. Estonia odzyskała niepodległość w 1991 roku, gdy upadał ZSRS. Jednym z największych zagrożeń dla bezpieczeństwa była obecność funkcjonariuszy i oficerów sowieckich KGB, MSW oraz wojska. Część z nich pracowała i służyła później w instytucjach niepodległej Estonii. Władze republiki podjęły jednak szereg różnych kroków mających wyeliminować ryzyko związane z byłymi pracowni-

eprasa.pl 8a2e544ff3

kami KGB. W 1995 roku przegłosowano „Ustawę o procedurze rejestracji i ujawnienia osób, które służyły w lub współpracowały z wywiadowczymi lub kontrwywiadowczymi organizacjami organizacji bezpieczeństwa lub sił zbrojnych państw, które okupowały Estonię". Dzięki tej ustawie ujawniono wielu byłych agentów sowieckiej bezpieki. Estoński kontrwywiad, czyli KAPO, zbudowano od podstaw. Trudno sobie wyobrazić, że niepodległe władze Estonii zachowują republikańskie KGB, zmieniając mu tylko szyld. Mogło to się potoczyć inaczej – co pokazuje historia działań głównego agenta wpływu Rosji w Estonii, Edgara Savisaara.

Kiedy został w 1990 roku premierem rządu Estońskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, powołał niezależną od sowieckich Służbę Specjalną (Eriteenistus) opartą na byłych funkcjonariuszach MSW. Kiedy Estonia odzyskała niepodległość, Savisaar został automatycznie premierem republiki. W 1991 roku powstała Kaitsepolitsei (Policja Bezpieczeństwa), zupełnie nowa służba specjalna, nawiązująca do przedwojennych tradycji. Jednak Savisaar nie podporządkował jej Eriteenistus, a nawet zaczął tam zatrudniać byłych oficerów KGB. W styczniu 1992 roku Savisaar stracił jednak stanowisko premiera, zaś Eriteenistus została rozwiązana. Kilka lat później na jej kadrach Savisaar oparł prywatną agencję ochrony SIA, którą – będąc szefem MSW – wykorzystywał do inwigilacji członków rządu i prezydenta. Mimo ustawy z 1995 roku i radykalnych działań lustracyjnych i desowietyzacyjnych nie udało się w pełni wyeliminować zagrożenia w postaci weteranów bezpieki sprzed 1991 roku. W niemal każdej z najgłośniejszych afer szpiegowskich oficerami FSB lub SWR prowadzącymi lub werbującymi agentów w Estonii okazali się byli pracownicy KGB w tej republice (na przykład Hermana Simma i Vladimira Veitmana prowadzili Walerij Zencow i Nikołaj Jermakow). Choć służby specjalne budowano od nowa, to część personelu KGB zachowano: chodziło o jedynych w kraju specjalistów od technicznego gromadzenia informacji (podsłuchy itp.). Kierownictwo KAPO zdecydowało się po nich sięgnąć, ale trzymając z dala od planowania i zarządzania operacjami. Ich zadaniem była realizacja technicznych zadań, i to tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. To było zaledwie kilkanaście osób – i tak w ciągu następnych 20 lat okazało się, że niemal wszyscy byli jednak zdrajcami.

Vladimir Veitman był już na emeryturze, gdy w sierpniu 2013 roku zatrzymała go KAPO. Był specjalistą od podsłuchów w estońskim KGB. Przyjęto go do KAPO w grudniu 1991 roku. Dobrym znajomym Veitmana z pracy w KGB był Nikołaj Jermakow. Był obywatelem Rosji, ale z pozwoleniem na pobyt w Estonii. Po 1991 roku zajął się biznesem – często podróżując między Estonią i Rosją. Ale co najważniejsze, współpracował ze Służbą Wywiadu Zagranicznego (SWR). Przez długie lata Jermakow nie miał pojęcia, że Veitman pracuje w KAPO. Gdy się dowiedział, przekonał starego kolegę do współpracy – za pieniądze. Był rok 2002. Kontaktem Veitmana był Jermakow, zaś jego prowadził oficer SWR Walerij Zencow, także weteran estońskiego KGB. Współpraca trwała aż do przejścia Veitmana na emeryturę. Sąd skazał go za zdradę na 15 lat więzienia i konfiskatę 120 tys. euro, które zarobił za swą działalność szpiegowską. Ale to nie Veitman był najcenniejszym szpiegiem rosyjskim złapanym w Estonii.

▶ Szpiedzy z sowieckiej milicji

Największe szkody bezpieczeństwu nie tylko Estonii, lecz także NATO wyrządził Herman Simm. Funkcjonariusz MSW, w latach 80. XX wieku zaczął robić błyskotliwą karierę w milicji. Podczas studiów w Akademii Spraw Wewnętrznych ZSRS dorabiał, sprzedając w Moskwie przemycony towar z Finlandii. Kiedy wpadł, poszedł na współpracę z KGB. Po odzyskaniu niepodległości trafił do ministerstwa obrony, a KGB zostało rozwiązane. Rosjanie nie zapomnieli. W 1995 roku pojawili się u Simma oficerowie SWR. Estończyk zaczął współpracować. W 2001 roku Simm awansował na szefa świeżo powstałego departamentu bezpieczeństwa ministerstwa obrony. Po wejściu Estonii do NATO zyskał dostęp do tajemnic sojuszniczych. Regularnie gościł w siedzibie Sojuszu w Brukseli. Simm spotykał się w różnych krajach UE z dwoma oficerami SWR – znanym ze sprawy Veitmana Walerijem Zencowem i Siergiejem Jakowlewem. To przez wpadkę tego drugiego przy werbunku urzędnika w jednym z krajów NATO służby wpadły na trop Simma w 2006 roku. Wtedy stracił stanowisko szefa departamentu bezpieczeństwa w MON. Ale wciąż jako doradca ministra mógł kopiować i przekazywać Rosjanom poufne analizy. Przez trzy lata KAPO we współpracy ze służbami kilku innych państw NATO rozpracowywało Simma. We wrześniu 2008 roku został zatrzymany wraz z żoną. 25 lutego 2009 roku Simm dostał 12,5 roku więzienia i grzywnę 1,7 mln dolarów.

Drugim człowiekiem, który wyrządził największe szkody bezpieczeństwu Estonii, był również weteran sowieckiego MSW, Aleksiej Dressen. Ten funkcjonariusz milicji po 1991 roku automatycznie znalazł się w estońskiej policji. W 1993 roku udało mu się dostać do KAPO. Przez ponad dekadę pracował

eprasa.pl 8a2e544ff3

w pionie walki z przestępczością gospodarczą. Rosjanie wykorzystali fakt, że Dressen przyjeżdża na wakacje do krewnych żony w Rosji. Zaczął aktywnie współpracować z FSB od 2007 roku – wtedy zaczął w KAPO zajmować się rozpracowywaniem ekstremistów, w tym rosyjskich. Dressen pracował dla komórki FSB prowadzącej operacje wymierzone w służby bezpieczeństwa innych krajów. Główne role w jego zwerbowaniu, a potem prowadzeniu, odgrywali dwaj oficerowie: generał-major Jewgienij Tiażkun oraz pułkownik Michaił Łoginow. Początkowo Dressen jeździł do Moskwy, ale gdy trafił na nowe stanowisko, podobnie jak wielu jego kolegów w KAPO, miał formalny zakaz podróżowania do Rosji. Rolę kuriera przyjęła jego żona Wiktoria. Pod pozorem działalności biznesowej często jeździła do Moskwy. Z oficerem prowadzącym Dressen spotykał się natomiast w egzotycznych krajach, gdzie jeździł na wakacje. Małżeństwo pracowało za pieniądze. Nie szastali pozyskanymi środkami, lecz większość z nich gromadzili. Śledczy znaleźli podczas przeszukania domu Dressenów ukryte 20 tys. euro w gotówce. 22 lutego 2012 roku na lotnisku w Tallinie funkcjonariusze kontrwywiadu zatrzymali Aleksieja i Wiktorię. Kobieta, która wsiadała na pokład samolotu lecącego do Moskwy, miała przy sobie tajne materiały na przenośnym dysku pamięci, otrzymane chwilę wcześniej w hali odlotów od męża. Aleksiej Dressen dostał 16 lat więzienia, Wiktoria 6 lat w zawieszeniu na 5 lat. Ale już trzy lata później, we wrześniu 2015 roku, Dressen odzyskał wolność. Estonia wymieniła go na Estona Kohvera. Oficera KAPO, którego FSB zwabiła w pułapkę w lesie na granicy i porwała we wrześniu 2014 roku.

GRU, FSB i rosyjska V kolumna

Najcenniejsi szpiedzy Rosji, Veitman, Simm i Dressen, byli etnicznymi Estończykami i łatwiej było im działać w strukturach bezpieczeństwa. Jednak to mieszkający w Estonii Rosjanie są najczęściej werbowani przez Moskwę. Jak choćby Artem Zinczenko, pierwszy szpieg GRU złapany w krajach bałtyckich (2017). Co prawda obywatel Rosji z Petersburga, ale w Estonii robił biznesy – zbierając informacje dla wywiadu. Skazany na 5 lat, został wymieniony, a potem nieoczekiwanie zbiegł z Rosji… do Estonii. Głównym celem werbowników są jednak stali mieszkańcy Estonii odwiedzający Rosję. W tym tzw. wywiadzie z terytorium celuje FSB. Odcinkiem estońskim zajmują się obwodowe wydziały FSB w Pskowie i Sankt Petersburgu, choć w ważniejsze operacje (jak na przykład porwanie oficera KAPO Estona Kohvera w 2014 roku) angażuje się centrala w Moskwie. Grupą wysokiego ryzyka, z punktu widzenia KAPO, są rosyjskojęzyczni mieszkańcy terenów przygranicznych, którzy często jeżdżą do sąsiedniego kraju. Na przykład wśród pięciu szpiegów schwytanych w latach 2015–2016 trzech posiada podwójne obywatelstwo (estońskie i rosyjskie), jeden miał tylko paszport estoński, jeden był bezpaństwowcem. Ale żaden z nich nie był etnicznym Estończykiem. Popularną metodą werbunku stosowaną przez FSB w Estonii jest pozyskiwanie ludzi mających powiązania z kręgami przestępczymi. Nielegalne przekraczanie przez te osoby granicy, choćby w ramach przemytu, czyni je łatwym celem. Przykładem może być Aleksandr Rudnev. Ma podwójne obywatelstwo – estońskie i rosyjskie. Został zwerbowany i podpisał deklarację współpracy z FSB w 2013 roku. Przez ponad dwa lata donosił o aktywności sił zbrojnych Estonii i jej sojuszników. Przekazywał także informacje o straży granicznej i policji. W zamian dostawał gotówkę. Został aresztowany w marcu 2015 roku.

Na liście schwytanych w ostatnim czasie przez KAPO szpiegów rosyjskich są też osoby, które doskonale wtopiły się w estońskie środowisko. Profesor politologii Wiaczesław Morozow pracował na najlepszej uczelni wyższej, Uniwersytecie w Tartu, od 2010 roku. Przez kilkanaście lat wykazywał się aktywnością naukową, wydał dziesiątki artykułów, dostał z MSZ Estonii i z Brukseli pieniądze na swoje projekty, nawiązał mnóstwo kontaktów w środowiskach akademickich i dziennikarskich w całej Europie. Został zatrzymany w styczniu 2024 roku, a pół roku później skazany na 6 lat więzienia za współpracę z GRU. Niedawno opinią publiczną Estonii wstrząsnęła inna sprawa. Żołnierz Kaitseliitu (odpowiednik polskich WOT) został skazany na 4 lata i 11 miesięcy więzienia za przekazywanie przez dwa miesiące FSB informacji o ćwiczeniach wojskowych i o granicznym mieście Narwa. 24-letni Ivan Dmitrijev był aktywnym członkiem lokalnej społeczności rosyjskiej, na pierwszy rzut oka doskonałym przykładem integracji. Podczas gdy wiele osób w Narwie w ogóle nie mówi po estońsku, Dmitrijev posługuje się tym językiem bardzo dobrze. Startował nawet w wyborach z list estońskiej partii. Zaraz po rozpoczęciu wojny na Ukrainie, w lutym 2022 roku, potępił działania Rosji. Został zwerbowany podczas jednego z wyjazdów do sąsiedniego kraju. „Rozpoczęcie współpracy z rosyjskimi służbami specjalnymi jest jak wejście w ruchome piaski i są tylko dwa sposoby, aby się z nich wydostać – z pomocą służby bezpieczeństwa lub poprzez pobyt w więzieniu, po upływie czasu określonego przez sąd. Niestety, Ivan Dmitrijev wybrał tę drugą opcję" – tak tę sprawę skomentował wiceszef KAPO Taavi Narits. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3

Tomasz Sakiewicz

Dekapitalizacja systemu

Kiedy w połowie tego roku pisałem m.in. w „Nowym Państwie" o tym, że Rosja musi sięgnąć po rezerwy, patrzono na to jak na myślenie życzeniowe. Wszak wobec FR obowiązuje doktryna Zbigniewa Brzezińskiego, że nigdy nie jest tak silna i tak słaba, na jaką wygląda. Generalnie zgadzam się z tą opinią. Trzeba jednak zrozumieć jej realne znaczenie: Rosja może być raz słabsza, raz silniejsza tak jak inne państwa, ale my mamy problem z percepcją tych zjawisk. Mamy problem, bo nic nie toczy się tam jak w rejonach znanych nam z naszej cywilizacji.

Sytuacja w Rosji nie jest bezpośrednim efektem zjawisk społecznych, takich jak na przykład poziom zadowolenia ludzi. Nie jest i nie będzie, bo Rosja nie ma standardów demokratycznego społeczeństwa. Nie jest też wprost proporcjonalna do sytuacji gospodarczej. Wskaźniki gospodarcze są tam, po pierwsze, fałszowane, a po drugie, nie opisują dokładnie tych samym zjawisk. Jednak sama gospodarka jest tu lepszym tropem. Wszak wykończenie ekonomiczne sowietów doprowadziło do upadku ZSRS.

To jak postrzegać realną sytuację Rosji? Trzeba ocenić, na czym opiera się system polityczny, i patrzeć na kondycję owych filarów. System opiera się na propagandzie, strachu i maksymalnej kontroli. Jego ważnym elementem jest przekupstwo. Trzeba wszystkim coś dać. Im więcej dają, tym mniej trzeba straszyć. Straszenie i dawanie to kosztowne zjawiska, ale ostatecznie na ogół taniej jest zabić człowieka, niż go wykarmić. Zresztą apetyty bywają bardzo różne, a kula zawsze taka sama.

Czyli póki można skutecznie oszukiwać, straszyć i przekupywać, póty system się trzyma. Warto przyjrzeć się kolejnym rewolucjom w Rosji, żeby zorientować się, kiedy system się walił. Rewolucja 1905 roku wybuchła po kompromitująco przegranej wojnie z Japonią. Rewolucja 1917 roku rozpaliła się pod wpływem klęsk na froncie wschodnim.

Sowiety rozpadły się, gdy Gorbaczow, mając gospodarkę zrujnowaną przez nieudolne rządy i amerykańskie sankcje, wprowadził „jawność". Informacje o klęskach były silniejsze niż strach i propaganda. Na przekupstwo zabrakło środków.

Dzisiaj następuje dekapitalizacja kilku ważnych dziedzin dla rosyjskiego systemu polityczno-gospodarczego. Przede wszystkim niszczeją przemysł wydobywczy i rafinerie, od których zależy utrzymanie całego systemu. Przemysł podupada zarówno pod wpływem gigantycznych transferów finansowych na armię, jak i pod wpływem bezpośrednich ataków Ukraińców i sankcji. Dekapitalizacja już dotyka logistykę oraz słabo rozwinięte, lecz istniejące w miastach przedsiębiorstwa komunalne. Rosja od kilku miesięcy sięga po rezerwy, które zaraz się skończą. To wstęp do rozpadu całego systemu bezpieczeństwa i propagandy.

DZISIAJ NASTĘPUJE DEKAPITALIZACJA KILKU WAŻNYCH DZIEDZIN DLA ROSYJSKIEGO SYSTEMU POLITYCZNO-GOSPODARCZEGO. PRZEDE WSZYSTKIM NISZCZEJĄ PRZEMYSŁ WYDOBYWCZY I RAFINERIE, OD KTÓRYCH ZALEŻY UTRZYMANIE CAŁEGO SYSTEMU. DEKAPITALIZACJA JUŻ DOTYKA LOGISTYKĘ ORAZ SŁABO ROZWINIĘTE, LECZ ISTNIEJĄCE W MIASTACH PRZEDSIĘBIORSTWA KOMUNALNE. ROSJA OD KILKU MIESIĘCY SIĘGA PO REZERWY, KTÓRE ZARAZ SIĘ SKOŃCZĄ. TO WSTĘP DO ROZPADU CAŁEGO SYSTEMU BEZPIECZEŃSTWA I PROPAGANDY.

Sytuacji nie poprawia też to, co dzieje się na froncie. Wojna trwa już niemal tyle, co z Niemcami w czasie I i II wojny światowej. Tylko że Stalingradu ani Kurska nie było.

Putin wojny zakończyć nie może, bo zostanie uznany za pokonanego. Nie jest w stanie jej też wygrać. Czeka więc Rosję coraz większa erozja lub światowa eskalacja. ■

eprasa.pl 8a2e544ff3

InPost | GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO



Prenumerata Elektroniczna za **1 zł***

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska i Nowe Państwo – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!

prenumerata.swsmedia.pl/inpost

*Kupując roczną prenumeratę Gazety Polskiej lub Nowego Państwa, otrzymasz dostęp do wersji elektronicznej za jedyne 1 zł – na cały okres prenumeraty.

eprasa.pl 8a2e544ff3